Trump i przyjaciele • Zmierzch Kaczyńskiego? • Dwie jedne listy
Kłopoty Łatwoganga • Fitness – biznes • Trendy w Bondzie • Polska AI

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 48 (3592), 25.11–1.12.2026

ILUSTRACJA **MAGDALENA MAMAJEK-MICH**

ZABAWY Z BRONIĄ

Czego uczą na strzelnicach byli pracownicy służb specjalnych

Raport s. 14

ISSN 0032-3500
48
9 770032 350602
Wydanie w sprzedaży do 1.12.2026



© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

18
Zmierzch prezesa

Tematy tygodnia

10 Łukasz Wójcik **Trump, Putin, Xi: co na stole, co pod stołem**
14 Zbigniew Borek **Kto i czego uczy na strzelnicach**

Polityka

18 Michał Danielewski **Jarosław Kaczyński: koniec wszechwładzy**
21 Rafał Kalukin **Wspólna lista Tuska: czy to się może udać?**

Społeczeństwo

24 Marcin Piątek **Biznesy na fitnessie**
28 Katarzyna Kaczorowska **Niełatwe życie Łatwoganga**
32 Natalia Sawka **Centra danych koło domu**
35 Agata Szczerbiak **Tajemnica śmierci Emilii Koprowskiej**

Rynek

38 Joanna Solska **Patologie ochrony zdrowia – czy reforma coś tu zmieni**
41 Krzysztof Kropidłowski **Prezes Glapiński: między premierem a prezydentem**

Rozmowa POLITYKI

48 **Marek Magryś** o polskich modelach AI

Świat

51 Agnieszka Zagner IZRAEL **Losy rządu w rękach Arabów?**
60 Agnieszka Zielińska HISZPANIA **Czy wyborcy rozliczą socjalistów**
64 Kamil Kłysiński BIAŁORUŚ **Sukcesja po białorusku**

Nauka/projektpulsar.pl

68 Agnieszka Krzemińska **Co wolno poszukiwaczom skarbów**
71 Rozmowa z laureatem NAGRODY NAUKOWEJ POLITYKI dr. **Michałem Godziszewskim** o tym, co ma filozof do informatyki

Historia

74 Michał Przeperski **Mieczysław F. Rakowski: z POLITYKI do polityki**
78 Zbigniew Borek **Wybuchowa orka w PGR-ze**

Kultura

84 Jakub Demiańczuk **Kim jest nowy Bond**
88 Krzysztof Nowak **Wraca moda na koncerty przy świecach**
92 Bartek Chaciński **Jean-Michel Jarre: pół wieku z „Oxygène”**
96 Jakub Demiańczuk **„Blade Runner 2099”: w pogoni za ludźmi**

Ludzie i style

104 Wojciech Bońkowski **Wina owocowe**
105 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **80** Afisz • **100** Agata Passent
• **101** Orliński • **102**, **106** Galeria POLITYKI
• **102** Mizerski • **103** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

DODATEK NARCIARSKI
Nowy sezon 2026/27 s. 54

eprasa.pl 5016b9842e


ERSTE
Private Banking
Najlepszy Private Banking w Polsce
według The Banker 2026
PWM | THE BANKER
GLOBAL PRIVATE
BANKING AWARDS
2026
WINNER
Best Private Bank
Poland
Sukces?
To dopiero pierwszy
rozdział.
Wiemy, że nasi Klienci zawsze mają apetyt na więcej.
Twój profesjonalny doradca pomoże Ci zrealizować każdy scenariusz.



Chiński teatr cieni

Jerzy Baczyński

Obiekty latające, które rozbiły się na Podkarpaciu i Lubelszczyźnie, zostały zidentyfikowane jako rosyjskie rakiety manewrujące Ch-101. I od razu pojawiło się pytanie: przypadek, niekontrolowany odprysk kolejnego zmasowanego ataku na Ukrainę czy celowa prowokacja? Fakt, że precyzyjne i drogie rakiety uderzyły w pole, nikomu nie czyniąc krzywdy, sugeruje, że ich lot był kontrolowany do końca. Więc trzeba pewnie ten incydent czytać jako „list z pogróżkami od Putina", wysłany do ministrów obrony i dowódców NATO przebywających akurat w tym czasie i rejonie na wojskowych ćwiczeniach tzw. Koalicji Chętnych. Zdarzyło się to tuż po spotkaniu Trump–Putin w chińskim Shenzhen, po którym prezydent USA zadzwonił do zebranych w Berlinie przywódców tej Koalicji, żądając od nich wstrzymania wsparcia dla Ukrainy. Forma komunikacji obu panów była diametralnie różna, ale przekaz dokładnie ten sam.

Polska prawica ma coraz większe kłopoty z tłumaczeniem „specyficznej taktyki negocjacyjnej" prezydenta Trumpa, który w Shenzhen nazwał Putina swoim przyjacielem, a później kolportował radośnie wspólne fotki. Zresztą całe to – pierwsze w historii, jak podkreślano – spotkanie na szczycie prezydentów Chin, Rosji i USA robiło zatrważające wrażenie (piszemy o nim s. 10). Zdjęcie trzech zadowolonych z siebie starszych panów (razem mają 227 lat), pozujących przy kuriozalnie wielkim stole na panów świata, przejdzie do historii, lecz raczej jako ilustracja pychy niż jakiejś nowej Jałty; taki chiński teatr cieni. Trump przyjechał na szczyt tuż po brutalnie ciężkiej porażce w połówkowych wyborach do Kongresu, Putinowi właśnie Ukraińcy rozbili symbol nowego imperium, czyli Most Krymski, tylko Xi Jinping mógł być w miarę zadowolony z postępującej autodestrukcji obu zimnowojennych mocarstw. A sojusznicy Ameryki dostali kolejne smutne potwierdzenie, że prezydent USA już nigdzie nie występuje jako przedstawiciel „wolnego świata", ale samego siebie i swojego ego.

Nie ma żadnego śladu, aby w rozmowie z Putinem w Shenzhen prezydent Trump wywierał jakieś naciski na Rosję w sprawie zakończenia agresji na Ukrainę. Aby próbował wciągnąć do „procesu pokojowego" Chińczyków, jedynych, którzy mogliby Rosji powiedzieć „stop". Przeciwnie, jak ironizował Donald Tusk, „wiara prezydenta Trumpa w dobrą wolę Władimira Putina jest niezachwiana" – naciski idą wyłącznie w stronę Zełenskiego i Europejczyków. Mało skuteczne, bo Zełenski i Ukraińcy, odkąd Ameryka Trumpa wstrzymała dla nich pomoc, przestali się jej słuchać, nie reagują na „zakazy" bombardowań celów w głębi Rosji czy na morzu, na wezwania do rezygnacji ze wschodnich terytoriów i spełnienia innych „pokojowych" warunków Kremla. Także Europejczycy, choć wciąż starają się łagodzić humory Trumpa, mocno inwestują we własne zdolności obronne, samodzielnie finansują państwo ukraińskie i zakupy dla jego armii, wprowadzają kolejne sankcje na Rosję. Wspierając opór Ukrainy, Europa kupuje czas konieczny do zbudowania „autonomii strategicznej" – bo „niezłomny sojusz z USA" już odchodzi do krainy cieni.

Polska musi się odnaleźć w tym nowym układzie, ale idzie to jak po grudzie. Właściwie cała polityczna prawica, która może mieć w przyszłym roku pełnię władzy, bezpieczeństwo Polski uzależnia od USA. W europejskie siły nie wierzy ani ich nie chce, bo to mogłoby np. oznaczać wzmocnienie armii niemieckiej. To w Ameryce powinniśmy kupować uzbrojenie (stąd weto dla unijnego programu SAFE), i to nie targując się zbytnio, bo w ten sposób płacimy za ochronę. Zwieńczeniem tej strategii miałaby być stała baza wojsk USA w Polsce, przymilnie nazywana Fort Trump.

Tego kosztownego projektu nikt politycznie nie kontestuje, bo obowiązuje teza z czasów zimnej wojny, że Ameryka będzie bronić jak własnego każdego terytorium, na którym stacjonują jej żołnierze. Po tym, jak Iran zaatakował wszystkie kraje arabskie posiadające bazy USA, widać, że to tak nie działa, ale nawet jeśli administracja USA zdecyduje się na relokację do Polski części redukowanych sił w Europie, ich potencjał odstraszania Rosji i tak zależałby od relacji politycznych USA–Rosja. Dziś widać, że Trump nie tylko nie chce zadzierać „z przyjacielem", planuje z nim strategiczne i finansowe deale, ale też bezpieczeństwo Europy mało go obchodzi, radzi dogadywać się z Rosją, a NATO uważa co najwyżej za wehikuł biznesowy. I tak pewnie – „Polacy kupują u mnie bazę za duże pieniądze" – uzasadniałby Putinowi ów projekt. Przy zmienności Trumpa ten fort to wciąż fatamorgana.

Tymczasem zawierzenie Trumpowi wpędziło polską narodową prawicę w konfuzję. O ile spontanicznie i szczerze podzielana jest niechęć Trumpa do Zełenskiego i Ukrainy, o tyle miękkość wobec Putina jest kłopotem. Bo czy przyjaciel naszego najlepszego przyjaciela na pewno jest naszym wrogiem? Byłem na Marszu Niepodległości 11 listopada, 300 tys. demonstrujących, liczne transparenty, hasła, okrzyki – i ani razu nie widziałem, nie słyszałem niczego przeciw Putinowi. Niby Rosja jest największym zagrożeniem dla naszego państwa i narodu, już wysyła na nas sabotażystów, drony, rakiety, ale żadnego „Precz z Putinem!", za to wrogie karykatury Tuska, Merkel czy von der Leyen. Stara szkoła Kaczyńskiego: niebezpieczeństwo dla polskości płynie z Zachodu, Brukseli, Berlina, a jeśli jest wróg na wschodzie, to „w danym momencie" mamy na myśli Ukraińców banderowców. I tu się zgadzamy z moskiewskimi trollami. Putin będzie grał na tym rozkojarzeniu, będzie – strasząc rakietami, Niemcami, drożyzną, Ukraińcami – budował „polską partię pokoju". Podobnie jak francuską, włoską, hiszpańską, niemiecką – wszędzie, gdzie będą wybory.

Teatr w Shenzhen, przywołujący, niestety, mroczne cienie z przeszłości, niesie poważne ostrzeżenie dla Europejczyków. Jak w popularnym powiedzeniu: albo Unia – mająca wszelkie dane, aby sama być globalnym mocarstwem – zajmie miejsce przy „pańskim stole", albo pokłóceni i podzieleni znajdziemy się na nim, na talerzykach.

eprasa.pl 5016b9842e

Albatros travel

Albatros 40 lat

3 posiłki dziennie



Mongolia

od stepów po pustynię Gobi

NOWOŚĆ

Pełna przygód wyprawa przez mongolskie stepy i pustynię Gobi z noclegami w tradycyjnych jurtach oraz spotkanie ze wspaniałą naturą i kulturą nomadów

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta, w tym Narodowe Muzeum Historyczne i Plac Niepodległości. **Dz. 3** Ułan Bator – Baga Gazriin Chuluu. W kierunku pustyni Gobi i formacji skalnych. **Dz. 4** Baga Gazriin Chuluu – Tsagaan Suvarga. Biała Stupa i czas wolny. **Dz. 5** Tsagaan Suvarga – Dolina Yol. W kierunku otwartych przestrzeni południowej części Gobi i fantastycznej natury doliny Yol. **Dz. 6** Dolina Yol. Wycieczka do Bayanzag – Płonące Klify. **Dz. 7** Dolina Yol – Khongoryn Els. Śpiewające Wydmy i wizyta u nomadów - hodowcy wielbłądów. **Dz. 8** Khongoryn Els – Ongi. Centralna Gobi i klasztor Ongi. **Dz. 9** Ongi – Karakorum. Centralna część kraju i stolica Czyngis-chana. **Dz. 10** Karakorum. Klasztor Erdene Zuu, Skały Żółwie i Muzeum Karakorum. **Dz. 11** Karakorum – Chustai. W poszukiwaniu koni Przewalskiego. **Dz. 12** Chustai – Ułan Bator. Czas wolny w stolicy i kolacja pożegnalna. **Dz. 13** Ułan Bator – Warszawa.

13 dni | Wyloty z Warszawy 03/07, 28/08 2027 | od 17.998,-

2 posiłki dzienne



Andaluzja Olé!

Wybierz się w podróż do serca Hiszpanii i zanurz się w fascynującą historię Andaluzji, zachwycające widoki i ciepłe słońce Costa del Sol.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Malagi, transfer do hotelu w Torremolinos. **Dz. 2** Wycieczka do białego miasteczka - Frigiliany i nadmorskiego miasta Nerja. **Dz. 3** Zwiedzanie Malagi jedną z trzech tras oraz degustacja wina w lokalnym barze winiarskim. **Dz. 4** Wycieczka do Rondy – spektakularnie położonego górskiego miasteczka. **Dz. 5** Wycieczka do Sewilli - zwiedzanie, spacer po historycznej dzielnicy miasta i czas wolny. **Dz. 6** Wycieczka do Granady - miasta spotkania kultur i słynna Alhambra. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji lub wycieczka do Gibraltaru (nie wliczona w cenę). **Dz. 8** Wylot z Malagi do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 18/03 2027 | od 4.998,-



Australia i Nowa Zelandia

Zachód słońca przy Uluru (Ayers Rock), kultowy budynek opery w Sydney, tańce Maorysów, koala, parki narodowe, fiordy, lodowce, gorące źródła i cudowna przyroda.



Poznaj dwa niezwykłe kraje podczas jednej podróży – od tętniących życiem miast i malowniczych wybrzeży Australii po spektakularne krajobrazy Nowej Zelandii. Odkryj tradycje rdzennych mieszkańców, dziką przyrodę i miejsca, które na długo pozostaną w pamięci. Poczuj prawdziwy smak antypodów!

21 dni | Wyloty z Warszawy 27/01, 17/11 2027, 23/02 2028 | od 36.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL45**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 5016b9842e

Rosyjska salwa



Kilka tysięcy żołnierzy z całej Europy, kilkuset dziennikarzy, kilkoro ministrów obrony i ośmiu szefów sztabów chciało w Polsce zademonstrować zdolność do działania, solidarność z Ukrainą oraz gotowość do wysłania wojskowej misji dla wsparcia pokoju – gdy zostanie zawarty i jeśli będzie przewidywał udział wielonarodowych sił w jego utrzymaniu. Trwające od kilku tygodni ćwiczenie, polegające na przemieszczeniu wojsk z zachodniej Europy i zorganizowaniu na poligonie w Nowej Dębie obozu logistycznego dla kontyngentu wielkości brygady, miało w miniony piątek zwieńczyć polityczno-medialny pokaz, głównie dla międzynarodowej prasy. Władimir Putin uznał jednak, że to dogodny moment, by po raz kolejny dać Europie do zrozumienia, że żadnej misji w Ukrainie sobie nie życzy.

Kilka godzin przed wydarzeniem na podkarpackim poligonie w odległości kilkudziesięciu kilometrów od niego spadły trzy rosyjskie pociski manewrujące, zidentyfikowane jako Ch-101 (wstępnie była mowa o dwóch pociskach i odrzutowym dronie). W polskiej przestrzeni powietrznej znajdowały się przez kilka do kilkunastu minut, ale poruszały się z wysoką prędkością poddźwiękową. Mimo wojskowego alertu, trwającego od godzin nocnych, i wysłania do patrolu myśliwców polskich i szwedzkich, intruzów ze wschodu nie udało się zestrzelić. Piloci mieli na to zgodę, ale meldowali niedostateczną identyfikację obiektów i brak warunków do użycia uzbrojenia. Na szczęście pociski spadły z dala od zabudowań. Zdołały jednak wywołać zrozumiały strach mieszkańców Lubelszczyzny i Podkarpacia oraz zaniepokojenie o skuteczność polskiej obrony powietrznej. Wcześniej, choćby po wtargnięciu i wybuchu podobnej rakiety Ch-101 w lipcu, padały zapewnienia, że następne zostaną zestrzelone, a Rosja odczuje koszt kolejnych incydentów.

Polska zareagowała jednak tylko apelem o większe wsparcie państw NATO – zwłaszcza w rozpoznaniu lotniczym i szybkich myśliwcach. Rosja masowo stosuje teraz broń znacznie bardziej zaawansowaną niż powolne Szahedy. Odrzutowe drony i pociski manewrujące są szybsze i trudniejsze do trafienia. Ograniczone pokojowymi przepisami i nieeskalacyjnym podejściem państwa NATO mają kłopot z ochroną swojego terytorium przed incydentami i odpowiedzią na coś, czego nie uznają za akt wojny. Prowokacje, jak ta w Polsce, wciąż nie łamią wspólnego oporu przed agresorem, ale stają się nieznośne dla opinii publicznej i sprawiają rządom coraz większy problem. (MŚ)

Kiler ze wschodu



Elnur A., oskarżony o zamordowanie rosyjskiego opozycyjnego artysty Siemiona Skriepieckiego, zabijał już wcześniej. – *Zakończenie śledztwa wniesieniem aktu oskarżenia wobec* **Elnura A.** *jest planowane do końca tego roku* – informuje POLITYKĘ rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie prokurator Piotr Skiba.

15 czerwca 2026 r. w Białej Podlaskiej został zastrzelony 44-letni Robert Kuzowkow (szerzej znany jako Siemion Skriepiecki). Był malarzem, performerem i ostrym krytykiem reżimu Putina. W Polsce mieszkał z rodziną od kilku lat. Przebieg zamachu wskazywał na wyszkolonego mordercę – oddano trzy strzały w plecy i dwa kontrolne wystrzały w głowę. Policja i ABW namierzyły podejrzanego. Obywatel Gruzji Elnur A. został zatrzymany po trzech dniach. W POLITYCE 32 opisaliśmy jego kryminalną przeszłość i związki z Rosją. Nasze źródła utrzymywały, że Elnur mógł w Polsce zabijać już wcześniej. Informację o tym, że był współsprawcą mordu na Gruzinie Isie Ch. jako pierwsze podało radio RMF. Ofiara została zasztyletowana przy ul. Krochmalnej w Warszawie w 2022 r. Jednego ze sprawców ujęto i osądzono. Drugi zbiegł. Po latach śledczy ustalili, że jest nim właśnie Elnur A.

Sprawa zabójstwa Isy Ch. została wyłączona do oddzielnego śledztwa, prowadzi ją Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Tu akt oskarżenia ma być gotowy do końca roku. Śledztwo w sprawie mordu na Skriepieckim, prowadzone przez lubelski wydział zamiejscowy Prokuratury Krajowej, jest rozwojowe. 19 października funkcjonariusze ABW zatrzymali na parkingu przy autostradzie A2 Makhmuda A., 22-letniego obywatela Gruzji. Podejrzany jest o to, że pomagał w organizacji zamachu na Skriepieckiego. Został aresztowany na trzy miesiące.

Z naszych informacji wynika, że Elnur A. w Polsce był niejeden raz. Podróżował do naszego kraju przez Turcję i Bałkany. Mógł mieć na koncie ofiary nie tylko tutaj, ale też w innych krajach Europy. Wiemy, że przebywał m.in. w Niemczech. – *Naszym zdaniem był płatnym zabójcą* – mówi osoba zbliżona do śledztwa. Anastazja, córka Skriepieckiego, mówi, że dla rodziny najważniejsze będzie ustalenie, kto był zleceniodawcą morderstwa. – *Ten ktoś będzie wysyłał kolejnych kilerów. Trudno czuć się bezpiecznie w takich warunkach* – dodaje.

Zaraz po śmierci Skriepieckiego pojawiły się przypuszczenia, że zamach był zemstą za jego poglądy i krytykę reżimu Putina. „To byłby pierwszy w Polsce przypadek zabójstwa na zlecenie polityczne ze strony obcego państwa" – podkreślał wówczas premier Tusk. (RESZ)

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, POLICJA LUBELSKA, TK

eprasa.pl 5016b9842e

Krzywda sprzedaje



Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House

Skoro media to czwarta władza, to czym jest algorytm? Technologia przyspieszyła zmiany społeczne. Wybiera rządy, prowadzi wojny, obala autorytety. Jest skuteczniejsza w dezinformacji niż w edukacji. Facebook, X, TikTok należą do potężnych firm, ludzi i państw, dla których zaangażowanie użytkowników to waluta. Zostać jak najdłużej, scrollować bez końca, dopamina w kroplówce przez oczy.

„Tyle mądrości mi umknęło/ Trzynaście lat bez internetu/ Trzynaście lat poza siecią/ Jak ja to przeżyłem/ Dzisiaj nadrabiam/ By oświecić swoją ciemność/ Bo wszędzie panuje mądrości prawdziwy terror".

Pięknie łapie dzisiejszy świat w słowa Fisz Emade na nowej płycie „Człowiek nie do końca". Kiedyś od frustracji do czynu było daleko. Trzeba było znaleźć ludzi, ideologię, organizację. Dziś to zbędne. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego pisze, że za skrajnymi zachowaniami młodych rzadko stoi ideologia, częściej – fascynacja przemocą. Karmi ją algorytmiczna rekomendacja. Według ABW sposób działania mediów społecznościowych polaryzuje i utrwala skrajności. Przez lata każda platforma działa inaczej, ale TikTok zmienił reguły gry. Uszczelnił bańki, w których żyjemy. Badacze z University of Kent założyli na TikToku konta udające nastoletnich chłopców. Po pięciu dniach mizoginiczne filmy stanowiły 56 proc. „rekomendacji" platformy. Algorytm, który optymalizuje czas patrzenia, nie rozróżnia, czy zatrzymuje śmiesznym kotem, czy filmem gloryfikującym zamachowca. Liczy sekundy. Z pozwu prokuratora generalnego Kentucky wiemy, że wystarczy 260 filmów – w mniej niż 35 min algorytm TikToka buduje w nas nawyk. Mechanizm psychologiczny jest prosty: każdy ruch kciuka to los na loterii. Większość filmów jest przeciętna, co któryś trafia idealnie, ale nie wiadomo który. To klasyczne zmienne wzmocnienie, znane z automatów do gier.

Algorytm zmienia też poczucie skali. Użytkownik, który w telefonie widzi wciąż to samo, żyje w iluzji większości. Nie zna marginesu, ma poczucie, że cały świat to ten na ekranie. A to, co wygląda na powszechne, może przestać szokować. I wówczas staje się możliwe… Po Krakowie i Ostrołęce wszyscy pytają, kto tych chłopaków zradykalizował. Oficjalnych motywów brak.

Polityków algorytm nauczył, że nie wygrywa ten, kto ma rację, tylko ten, kogo widać. Gry są ostatnim miejscem, gdzie młodych mężczyzn widać wszystkich naraz. W Polsce gra 93 proc. nastolatków w wieku 12–17 lat i 72 proc. osób w wieku 18–24. Niemiecka Fundacja Bertelsmanna sugeruje, że zapaleni gracze (trzy czwarte mężczyzn) są bardziej politycznie aktywni niż reszta: częściej chodzą na demonstracje, częściej komentują politykę.
W tej samej grupie częstsze są antysemityzm i antyfeminizm. Jednocześnie większość najmłodszych panów mówi o sobie: samotni. Idealny grunt do politycznego kuszenia. Przy premierze GTA VI groteskowo wyglądał casting na najbardziej gamingowego polskiego polityka. Popisywania się, kto bardziej rozumie środowisko. Niepowodzenia w randkowaniu, słabsze wyniki w nauce, zmianę norm płciowych łatwo zapakować jako dowód systemowej krzywdy mężczyzn. Uzależnić niczym algorytm. Bo ten biznes działa tylko wtedy, gdy odbiorca pozostaje pokrzywdzony. Zadowolony klient przestaje płacić.

Resetu nie będzie



Trwa przesilenie w **Trybunale Konstytucyjnym**. W minionym tygodniu Zgromadzenie Ogólne sędziów TK (z udziałem wyłącznie nowych sędziów, starzy nie przyszli) uchyliło immunitety prezesowi Święczkowskiemu (cztery zarzuty) i wiceprezesowi Sochańskiemu (jeden zarzut). Jednocześnie do rozstrzygnięcia sprawy (w prokuraturze i ew. w sądach) zawiesiło ich w czynnościach i obniżyło wynagrodzenia. Tak więc odsunięcie ich od czynności przez tymczasowo kierującą TK sędzię Annę Korwin-Piotrowską płynnie przeszło w zawieszenie w czynnościach przez Zgromadzenie Ogólne. Skutek ten sam, za to podstawa prawna mniej kontrowersyjna.

Sędzia Korwin-Piotrowska podkreśla, że Trybunał pracuje, lada chwila wylosowane będą składy do spraw czekających na rozpoznanie i zaczną zapadać pierwsze rozstrzygnięcia. Mogą z tym jednak być problemy. Po pierwsze, wiele spraw jest już rozlosowanych, przynajmniej jeśli chodzi o sędziów sprawozdawców, więc nie można ich ponownie losować. Po drugie, losowanie trzeba robić spośród wszystkich sędziów TK, a nie wiadomo, czy starzy je uznają. A jeśli tak, to czy zechcą orzekać z sędziami, od których prezydent nie zechciał odebrać ślubowania. Po trzecie, można wydać orzeczenie, jeśli w składzie znajdzie się większość, która poprze propozycję rozstrzygnięcia, a to nie zawsze dzieje się szybko (prezesi Przyłębska i Święczkowski zmiany w składach uzasadniali właśnie tym, że nie można osiągnąć większości dla takiego czy innego rozstrzygnięcia). Wcale więc nie jest powiedziane, że TK ruszy z kopyta.

Tym bardziej że NBP zablokował konto Trybunału i skierował do Święczkowskiego i Korwin-Piotrowskiej pisma, żeby jak najprędzej rozstrzygnęli sądowo spór, kto jest uprawniony do dysponowania kontem. A to spór na lata. Rząd rozważa więc, czy da się założyć Trybunałowi konto w innym banku. Tyle że powinien to być bank państwowy.

Jednocześnie z inicjatywy Karola Nawrockiego toczą się w Kancelarii Prezydenta „konsultacje" na temat „resetu konstytucyjnego", czyli zmiany konstytucji tak, by można było rozwiązać obecny TK i powołać nowy, oparty na konsensusie politycznym. Jednak konsensusu nie będzie, bo konsultacje zbojkotowały KO i Nowa Lewica. A prezes PiS zgadza się na „reset", pod warunkiem że rząd Tuska zostanie zastąpiony przez tymczasowy rząd prezydencki. Czyli: dwaj kluczowi gracze nie są „resetem" zainteresowani, bo mogą wziąć cały Trybunał, a nie kilka miejsc w nim. To raczej nie są warunki dla odzyskiwania społecznego zaufania do Trybunału. (ES)

eprasa.pl 5016b9842e

Pomnikowy wyrok



19 listopada **Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości (MTS)** uznał Mjanmę (dawną Birmę) za odpowiedzialną za ludobójstwo muzułmańskiej mniejszości Rohingjów. Prawie dziesięć lat temu armia Mjanmy dopuściła się masowych zabójstw, gwałtów, palenia wsi i wypędzenia setek tysięcy ludzi do sąsiedniego Bangladeszu. W prawie międzynarodowym istnieją dwa różne rodzaje odpowiedzialności: odpowiedzialność karna dotycząca osób (polityków, wojskowych) i odpowiedzialność państwa. Wyrok ma ogromne, wręcz pomnikowe znaczenie, gdyż po raz pierwszy w historii to konkretnemu państwu, a nie tylko jednostkom przypisano ludobójstwo.

Siedem lat temu Gambia wniosła do MTS skargę przeciwko Mjanmie, zarzucając jej naruszenie konwencji ONZ z 1948 r. w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa. I choć Gambia ani nie była miejscem popełnienia tych czynów, ani państwem, z którego pochodziła większość ofiar, to najwyższy organ sądowy ONZ po raz pierwszy w swojej historii orzekł, że każde państwo będące stroną konwencji może wystąpić przeciw innemu w obronie ofiar okrutnych zbrodni i domagać się przestrzegania zobowiązań dotyczących ochrony innej społeczności. Słowem – że konwencja o ludobójstwie nie jest tylko pustą deklaracją moralną. I że w prawie międzynarodowym istnieją również wspólne obowiązki państw wobec ludzi w ogóle. I że suwerenność nie oznacza, iż każde państwo i każdy dyktator może robić, co chce, i mówić, że „nie wolno się mieszać w sprawy wewnętrzne" i że „nie będą nam obcy mówić, jak mamy urządzać swoje sprawy".

Czy wyrok, który zobowiązuje Mjanmę do zadośćuczynienia i odszkodowań, można wyegzekwować? Czy mają się bać inni oskarżeni, np. Władimir Putin czy Beniamin Netanjahu? Ani MTS, ani Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK) nie dysponują policją ani własnymi siłami, które mogłyby zmusić państwo do wykonania wyroku. Zresztą nawet i tego wyroku by nie było, gdyby dzielna mała Gambia nie odważyła się na złożenie skargi i nie została poparta przez grupę innych państw. Bo MTS działa tylko za zgodą stron.

Ironia historii sprawiła, że dokładnie w dniu wyroku MTS – w „deklaracji pokoju" w Shenzhen – głowy trzech państw (Donald Trump, Xi Jinping i Władimir Putin) uznały, że „zasada zgody państw oraz poszanowanie immunitetu urzędników państwowych mają kluczowe znaczenie", i zgodnie stwierdziły, iż MTK ani inne podobne instytucje nie mogą nadużywać swojej jurysdykcji. Po co taka deklaracja, skoro MTS i tak jest bezzębny i nic tym trzem dygnitarzom nie grozi? Czyżby jakieś wyrzuty sumienia? Czy raczej komunikat: „My urządzamy świat, a wy siedźcie cicho"?

MAREK OSTROWSKI

Porywacze i zakładnicy

Fiaskiem zakończyła się konferencja klimatyczna ONZ w tureckiej **Antalyi**. Nie udało się przyjąć porozumienia, które miało określić dalsze tempo ograniczania emisji, zasady odchodzenia od paliw kopalnych i źródła finansowania tych działań. Widmo porażki zawisło już przy prezentacji mało ambitnego – z klimatycznego punktu widzenia – szkicu wspólnej deklaracji, wymagającej akceptacji wszystkich uczestników. Projekt przygotowali przedstawiciele Turcji i Australii (czołowej eksporterki węgla i skroplonego gazu ziemnego), którzy wspólnie przewodniczyli obradom i pośredniczyli w negocjacjach. Ambicja spadała wraz z kolejnymi wersjami i w którymś momencie przestano nawet wspominać o paliwach kopalnych.



Stało się jasne, że tekst pisano pod dyktando państw naftowych pod wodzą Arabii Saudyjskiej. A że trudno sobie wyobrazić porozumienie klimatyczne bez wspominania o czynnikach, które rozchwiały dynamikę atmosfery, to w Antalyi postawiła się Unia Europejska. Wspierana m.in. przez coraz mniej naftową Norwegię oraz państwa wyspiarskie z Pacyfiku, które mają najmocniejsze argumenty. Natury egzystencjalnej, bo zagrożone są zalaniem przez podnoszące się wody oceanu. W pamięć zapadną słowa ministra środowiska z Panamy Juana Carlosa Navarro. Jego zdaniem reszta świata zachowuje się jak zakładnicy „naftowej mafii", u których rozwinął się syndrom sztokholmski. Porywacze twierdzą, że zarabiają na dewastowaniu planety wyłącznie dla wspólnego dobra. „A my jesteśmy tak głupi, że dajemy się na to nabrać".

Konferencje klimatyczne pod auspicjami ONZ odbywają się co roku. Ich stawka jest kluczowa dla przyszłości ludzkości, ale to dość techniczne, z reguły nużące zebrania. Chyba że się rozsypują – ostatnio wspólnych ustaleń nie udało się wypracować w 2009 r. w Kopenhadze. Porażka w Antalyi nie pozostanie bez konsekwencji. Na forum debaty klimatycznej przeniósł się globalny rozłam geopolityczny, co buduje nastrój przyzwolenia na dalsze spalanie paliw kopalnych. Swoje zrobiła też demonstracyjna nieobecność Stanów Zjednoczonych. Co nie znaczy, że znaczenie takich konferencji spadnie. Pozwalają ustalić najniższy pułap tego, co wszystkie z ponad 190 państw uczestniczących gotowe są podjąć i spełnić. W Antalyi niektórzy próbowali go dodatkowo obniżyć, ale tym razem zakładnicy postawili się porywaczom.

JĘDRZEJ WINIECKI

© MOUNEB TAIM/ANADOLU/GETTY/IMAGES, CHRIS RATCLIFFE/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, PIER MARCO TACCA/GETTY IMAGES, GETTY IMAGES

eprasa.pl 5016b9842e

Bilet do Rwandy



W ramach pilotażu i zbierania doświadczeń pięć państw członkowskich Unii Europejskiej utworzy w Rwandzie „ośrodek repatriacyjny". Austria, Grecja, Dania, Holandia i Niemcy będą tam wysyłać imigrantów, których wnioski o azyl zostały odrzucone, a którzy wyczerpali wszelkie ścieżki prawne i nie mogą lub nie chcą wrócić do kraju pochodzenia. Na początek mają to być samotni mężczyźni, którym Rwanda zapewni wsparcie, prawo pobytu, opiekę zdrowotną i ułatwi integrację. Będą się tu adaptować albo szukać kolejnej przystani. Zdaniem duńskiej premierki **Mette Frederiksen**, głównej inicjatorki programu, której socjaldemokratyczny rząd jest pionierem twardej polityki migracyjnej, ten krok to „istotny przełom" i „reakcja na obawy obywateli". Ma też pełnić funkcję odstraszającą.

Wielka Brytania w 2022 r. podpisała z Rwandą podobne porozumienie, ale dotyczyło nielegalnych imigrantów, którzy w zamkniętych ośrodkach mieli przeczekiwać postępowanie azylowe. Program (kosztujący 715 mln funtów) natrafił na przeszkody prawne i – według niektórych źródeł – w sumie tylko pięć osób poleciało do Kigali, a w 2024 r. nowy, laburzystowski rząd wyrzucił projekt do kosza. Włochy kandydatów na azylantów wysyłały bliżej, bo do Albanii, ale i tu pojawiły się schody.

Obecna inicjatywa ma twardszy legalny grunt – przyjęte niedawno unijne rozporządzenie w sprawie deportacji i wsparcie Komisji Europejskiej. Premierka Danii jest przekonana, że jeśli eksperyment pójdzie gładko, wkrótce przyłączą się inni, np. wspomniane Włochy, bo nie mają innej drogi. W polityce migracyjnej Europa będzie maszerować na prawo. Na razie ostrych krytyków jest dwóch: Francja Emmanuela Macrona („W jakim świecie żyjemy!") i Hiszpania Pedra Sáncheza („Nie ma w tym ani przyszłości, ani człowieczeństwa"). Jednak wkrótce po wyborach – i tu, i tu – może się to zmienić. Protestują organizacje praw człowieka, zastrzeżenia budzi też wybór gospodarza: Rwanda Paula Kagame, jedno z najbiedniejszych i najgęściej zaludnionych państw w Afryce, rządzona jest ciężką ręką, brutalnie represjonuje opozycję i wspiera zbrojną rebelię w sąsiedniej Demokratycznej Republice Konga.

Kluczowa jest kwestia proporcji. Na początek bilety do Kigali ma otrzymać 100 osób. W samym 2025 r. – według Eurostatu – państwa Unii wydały 492 tys. decyzji zobowiązujących do opuszczenia jej terytorium, z czego wykonano 27 proc., a pozostali przybysze gdzieś się rozpłynęli. Mała pociecha, że tych decyzji z roku na rok pewnie będzie mniej. Według Frontexu do listopada odnotowano prawie 110 tys. nielegalnych przekroczeń granicy UE (30 proc. mniej niż rok temu). Trwają przymiarki, żeby dodać nowe adresy do wysyłki – Ugandę i Uzbekistan. Oba są już na liście 35 państw, dokąd rozsyła niechcianych imigrantów Ameryka Donalda Trumpa. WP

Anthropic rekordzista



Spółka Anthropic zadebiutowała na nowojorskiej giełdzie technologicznej Nasdaq – i był to największy debiut w historii. Inwestorzy zgłosili popyt kilkukrotnie przekraczający liczbę oferowanych akcji, dzięki czemu firma pozyskała 81,34 mld dol., przebijając czerwcowy rekord SpaceX Elona Muska (75 mld dol.). Spółka Anthropic, która w ciągu pięciu lat ze start-upu zmieniła się w giganta high-tech o wartości 1,6 bln dol., została stworzona i jest kierowana przez Danielę i Daria Amodei – rodzeństwo, które wraz z grupą współpracowników odeszło z OpenAI, by działać na własnych zasadach. Po debiucie są multimiliarderami, a pozostali pracownicy (5,3 tys. osób) – dzięki otrzymanym akcjom – milionerami. Anthropic działa w najgorętszej dziś branży sztucznej inteligencji (AI). Jej dziełem jest Claude, czyli rodzina zaawansowanych dużych modeli językowych (LLM).

Założyciele spółki są wyznawcami efektywnego altruizmu, ruchu filozoficzno-społecznego, który za cel stawia sobie „wykorzystywanie dowodów i rozumu do ustalenia, jak przynieść jak najwięcej korzyści innym i podejmować działania na tej podstawie". Dlatego Anthropic ma status spółki pożytku publicznego, co w amerykańskim prawie oznacza korporację nastawioną na zysk, której celem jest wywieranie pozytywnego wpływu na społeczeństwo.

W przypadku AI oferowanej przez Anthropic ustalenie, jaki ma wpływ na społeczeństwo, jest trudne i wywołało już liczne spory. Zwłaszcza gdy Claude zaczął być wykorzystywany przez amerykańskie służby specjalne przygotowujące interwencję w Wenezueli, a potem zabicie irańskiego przywódcy Alego Chameneiego. Anthropic zakazał jednak używania Claude do masowego nadzoru wewnętrznego i produkcji w pełni autonomicznej broni, za co administracja Donalda Trumpa obraziła się i zabroniła wykorzystywania Claude przez instytucje federalne.

Twórcy Anthropic w prospekcie emisyjnym reklamują AI jako „najbardziej przełomową technologię w historii ludzkości", a jednocześnie ostrzegają, że „może stanowić katastrofalne lub egzystencjalne zagrożenie dla ludzkości". Wyjaśniają, że „rządy autorytarne mogą wykorzystywać sztuczną inteligencję do tworzenia zaawansowanych technologicznie państw policyjnych". Wątpliwości co do AI męczą też inwestorów. Kurs akcji Anthropic, który na fali entuzjazmu w dniu debiutu wystrzelił, już nazajutrz zaczął spadać. Inwestorzy obawiają się kłopotów z kluczowymi dla AI procesorami Nvidii, budową centrów danych i kaprysami Trumpa. AG

eprasa.pl 5016b9842e

Dwóch plus jeden

Długo oczekiwane spotkanie przywódców Chin, Rosji i USA w Shenzhen wywołało fałszywe wrażenie bliskości między uczestnikami. A dla jednego z nich stało się zapowiedzią geopolitycznej klęski.

ŁUKASZ WÓJCIK

Co to znaczy „nowa Jałta”? Ten ostatnio szalenie popularny termin pojawił się najpierw w rosyjskich mediach reżimowych. A miał się odnosić do wyjątkowego spotkania trzech „liderów świata” (to „Komsomolskaja Prawda”), czyli Xi Jinpinga, Donalda Trumpa i Władimira Putina, w chińskim Shenzhen 19 listopada. Chodziło o narzucenie prostego skojarzenia z konferencją jałtańską z lutego 1945 r., na której spotkali się zmierzający do zwycięstwa w drugiej wojnie światowej ówcześni liderzy świata, czyli Winston Churchill, Franklin Delano Roosevelt i Józef Stalin.

Ten propagandowy zabieg się udał – ale do pewnego stopnia. Światowe media szybko podchwyciły skojarzenie i nawet jeśli później próbowały je rozbroić, nowa Jałta spełniła swoją funkcję w kilku wymiarach. Porównanie ze spotkaniem z 1945 r. nadało temu w Shenzhen mocarstwowy blichtr. W przypadku Xi, a już szczególnie Putina, uderzyło w odpowiednią nutę w polityce wewnętrznej. I w końcu postraszyło tych, dla których Jałta 45 była początkiem nowego zniewolenia.

W tym skojarzeniu kryje się jednak kilka pułapek. Po pierwsze, Putin, który – na co wiele wskazuje – był pomysłodawcą spotkania, zapomniał najwyraźniej, że wielka trójka z 1945 r. spotkała się w zasadzie po wygraniu wojny, nie przed. Po drugie, w przypadku



eprasa.pl 5016b5842e

obu spotkań należałoby mówić nie o formacie trójkąta, ale raczej „dwa plus jeden". Churchill w Jałcie był za zasługi, z powodu swojej osobowości, a nie w związku z potencjałem, jakim w 1945 r. dysponowała Wielka Brytania. Kolejne lata potwierdziły zresztą schodzącą rolę tego mocarstwa. A Putin w Shenzhen siedział nie w fotelu Stalina, tylko Churchilla.

Dlatego Shenzhen to geopolityczna porażka Putina.

Pomysł na to bezprecedensowe spotkanie miał zgłosić dyktator Rosji w rozmowie z Trumpem w połowie października. Szukający jakiegokolwiek sukcesu Amerykanin odpowiedział: „Pewnie, spotkajmy się. Jeśli tylko Xi będzie chętny". Była ku temu okazja, bo na listopad w chińskim Shenzhen zaplanowano spotkanie APEC, czyli Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku. APEC to dość luźna struktura integracyjna, do której należą m.in. Chiny, Rosja i Stany Zjednoczone.

Spotkanie zapowiadało się na ucztę dla rosyjskiej propagandy. „Putin symbolicznie dołączał do globalnego triumwiratu – w myśl zasady, że jeśli nawet próbujesz odgrywać rolę powyżej swoich możliwości, to już sam fakt, że dwie największe potęgi świata traktują cię jako równego sobie, sprawia, że wszyscy przyjmują tę fałszywą rolę do wiadomości" – pisze znany amerykański politolog Stephen Walt. Uśmiechnięty Putin powie później w Shenzhen: „Nasze trzy narody łączy nie tylko status zwycięzców w drugiej wojnie światowej, ale przede wszystkim odpowiedzialność za utrzymanie międzynarodowego pokoju".

W przypadku Trumpa motywacja wydaje się prosta. Ewidentnie imponują mu pałace, defilady i tłumy machające flagami na lotniskach. Czuje się zagrożony przez amerykańską demokrację, podziwia za to dyktatorów, którzy nie mają takich ograniczeń. Pragnienie jakiegokolwiek sukcesu szczególnie wzrosło po ostatniej porażce Republikanów w cząstkowych wyborach do Kongresu. Można oczywiście spotkanie w Shenzhen analizować jako kolejny ruch w globalnych szachach 3D, jakie ma rozgrywać Trump. Ale nie trzeba.

A po co Chinom było to spotkanie w Shenzhen? Tamtejszy reżim obywa się bez wyborów, dlatego potrzebuje innego źródła legitymizacji. Eksperci od Chin wyróżniają dwa sposoby na jej pozyskanie. Pierwszy z nich to legitymizacja poprzez sprawczość: lecimy na Księżyc, rozwijamy sztuczną inteligencję, ujarzmiamy naturę itd. Władza odnosi sukcesy, a więc ma prawo rządzić. W przypadku Shenzhen wszyscy w Chinach zobaczyli, jak wielcy tego świata pielgrzymują, aby spotkać się z przewodniczącym Xi. Władza, decydując się na zorganizowanie spotkania, odniosła więc sukces.

Drugi sposób to legitymizacja poprzez odbicie. Chodzi o takie sprzedanie wymienionych sukcesów, aby pisały o nich – z zachwytem oczywiście – zagraniczne media. To skuteczne narzędzie, bo władze mogą powiedzieć obywatelom: zobaczcie, to nie jest nasza propaganda, to „The New York Times" o nas tak pisze. W przypadku Shenzhen wystarczyły tylko zdjęcia, na których przewodniczący Xi zasiada pomiędzy petentami jak globalny arbiter.

O choreografii tego spotkania można by wiele pisać. Zaczęło się od przyjęcia gości – Xi specjalnie pofatygował się na lotnisko, aby przywitać Trumpa, choć nie ma takiego zalecenia w protokole dyplomatycznym. Ale gdy we wrześniu tego roku chiński dyktator poleciał do Waszyngtonu, Trump również powitał go na lotnisku, Chińczyk chciał się więc odwdzięczyć. Putina Xi nie witał na lotnisku, pojawił się tam Cai Qi, jeden z najbliższych współpracowników przewodniczącego.

Miejsce spotkania również nie było przypadkowe. Shenzhen to najlepsza reklamówka chińskiego rozwoju. W tym miejscu 40 lat temu była dosłownie wioska rybacka, dziś to 17-milionowa metropolia nazywana chińską Doliną Krzemową. Swoje siedziby mają tu m.in. Huawei i BYD. Autonomiczne drony-kurierzy latają pomiędzy ultranowoczesnymi wieżowcami. A to wszystko było doskonale widoczne z ekskluzywnego hotelu w dzielnicy Futian, gdzie Chińczycy nie przypadkiem umieścili Trumpa i jego świtę.

Same spotkania odbywały się w Kylin Villa, ogromnym kompleksie rządowym górującym nad Shenzhen. Każda delegacja miała tam dla siebie oddzielny budynek, a rozmowy toczyły się w „pałacu" czterokrotnie większym niż budowana właśnie sala balowa przy Białym Domu, co zapewne nie umknęło uwadze Trumpa. Prezydent USA jeszcze przed spotkaniem triumwiratu spotkał się oddzielnie z Xi i z Putinem, nazywając Rosjanina przyjacielem. Przewodniczącego Xi nie zagadnął o chińskich szpiegów w USA w związku z niedawnym chwilowym upadkiem szefa Nvidii Jensena Huanga. Zapytany o tę sprawę Trump stwierdził tylko, że przecież Ameryka też szpieguje Chińczyków.

Główne spotkanie „wielkiej trójki" (to też „Komsomolskaja Prawda") rozegrało się w największej dostępnej sali, gdzie nad zebranymi dominował obraz pt. „Wielki Mur skąpany w porannym słońcu". To dzieło mistrza Guana Shanyue z wyraźnym dyplomatycznym przekazem. W chińskiej symbolice zamieszczone na obrazie góry oznaczają stabilność, sosny – długowieczność, a Wielki Mur – siłę państwa.

Przywódcy siedzieli przy okrągłym stole o rozmiarach covidowych, przy czym gospodarz Xi zajął miejsce pośrodku, dzieląc i rządząc (przynajmniej symbolicznie). Nie było jednak wielogodzinnych nocnych nasiadówek, jak w prawdziwej Jałcie, tylko sztywny teatr, w trakcie którego przywódcy odczytali z kartki gładkie oświadczenia i się rozeszli.

Tylko nieco ciekawszy był komunikat końcowy Deklaracja pokoju, z której wyłaniają się cztery główne tematy rozmów. Po pierwsze i najważniejsze, broń nuklearna. Strony zgodziły się, że trzeba ją chronić przed rozprzestrzenianiem oraz że nie da się za jej pomocą wygrać wojny. I tyle. W ten temat najwięcej „zainwestowali" Amerykanie, bo ostatni traktat podpisany przez nich z Rosjanami o redukcji liczby głowic, Nowy START, wygasł w tym roku. Waszyngton chce, aby stroną nowego traktatu były też Chiny, ale na to się nie zanosi.

Trzymając się wciąż zasad Nowego START-u, Amerykanie i Rosjanie rozmieszczonych głowic mają po niecałe 1,8 tys. Chiny – wciąż „tylko" ok. 620. Ale Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań Pokojowych (SIPRI) jest zdania, że tych chińskich głowic przybywa mniej więcej 100 rocznie. Chiny nie podpiszą więc żadnego traktatu nuklearnego, dopóki nie doścignąą pod tym względem Rosji i USA.

Kolejne punkty z Deklaracji pokoju mają jeszcze mniej treści. Drugim jest sprawa reformy ONZ – kolejny banał, w zasadzie niemożliwy do realizacji. Strony spotkania w Shenzhen są stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa i zapewne chciałyby (może poza Amerykanami) zmiany stałego składu tego organu i wypchnięcia z niego Wielkiej Brytanii i Francji. Trzeci punkt mówi o ograniczeniu roli Międzynarodowego Trybunału Karnego, bo zapewne część twórców Deklaracji pokoju obawia się aresztowania ▶

© ANDRES MARTINEZ CASARES/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK/WL

eprasa.pl 5016b9842e

▶ za zbrodnie wojenne. Czwarty, ostatni – o ustabilizowaniu, a potem zwiększeniu podaży produktów naftowych.

Znacznie ciekawsza jest lista tematów ominiętych. W Shenzhen oficjalnie nie było słowa o Ukrainie, choć na załatwienie tego problemu miał nalegać Putin. Chiny, choć na różny sposób wspierają Rosję, twierdzą, że Ukraina to sprawa między Rosją i Europejczykami. Zdaniem Miles Yu z Hudson Institute wynika to z przekonania Pekinu, że jeśli Chiny nie będą się mieszać w cudze interesy, to inni nie będą ingerować w chińskie, rozumiane bardzo szeroko, czyli m.in. w sprawę Tajwanu.

Drugim, ważniejszym tematem, który się nie pojawił, był nowy ład świata. Co prawda przewodniczący Xi zanudzał zgromadzonych mądrościami w stylu: „Obecnie zachodzą zmiany, jakich nie widzieliśmy od 100 lat, a my wspólnie jesteśmy siłą napędową tych przemian" albo: „Historia uczy nas, że gdy wielkie mocarstwa żyją w pokoju, świat jest bezpieczny", ale na nową Jałtę nie miał ochoty.

W tym również Pekin ma swój interes. Gdyby nie eksport, chińska gospodarka stałaby w miejscu. Dlatego Xi robi, co może, aby przedłużyć obowiązujący obecnie stan zawieszenia wojny celnej z USA, przedłużony ostatnio podczas jego wrześniowej wizyty w Waszyngtonie, i jako tako ułożyć relacje handlowe z Europą. Dziś więc priorytetem Pekinu jest odsunięcie w czasie zapewne nieuniknionych barier dla chińskiego eksportu.

To, wraz z odkładaniem na święty nigdy porozumienia w sprawie głowic nuklearnych, składa się na tzw. pauzę strategiczną, czyli przedłużanie stanu przejściowego między starym, liberalnym porządkiem i nowym, w którym Chiny formalnie ustalą już swój parytet ze Stanami Zjednoczonymi. Do tego czasu chcą się maksymalnie rozwinąć gospodarczo i militarnie.

Europa jednak nie może czekać. Równocześnie z Shenzhen w Berlinie odbyło się spotkanie Koalicji Chętnych, czyli europejskich państw wspierających Ukrainę, w tym Polski. Obecni byli też wysłannicy Trumpa: Jared Kushner i Steve Witkoff, z nieco zaskakującą ofertą: jeśli Ukraina odda Rosji cały Donbas, czyli również terytoria przez Rosję nieopanowane, zostanie członkiem NATO. Pojawiła się też wersja „light": zamrożenie działań na obecnej linii frontu w zamian za dwustronne, amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa.

Tydzień wcześniej w Abu Dhabi ta sama dwójka wysłanników Trumpa podczas rozmów z ludźmi Putina niespecjalnie przejmowała się zdaniem Europejczyków. I nawet – zgodnie z zaleceniem prezydenta USA – przychylała się do warunków Rosji, czyli m.in. wykluczenia ukraińskiego członkostwa w NATO. Szef rosyjskiego zespołu Władimir Miedinski miał powiedzieć, że Europejczycy „to mogą sobie pogadać co najwyżej w barze przy whisky".

Jeśli berlińska oferta Kushnera i Witkoffa zostanie potraktowana poważnie, może wywołać podziały w Europie. Prezydent Emmanuel Macron wspominał już o możliwym przyjęciu Ukrainy do NATO, kanclerz Friedrich Merz nie chce o tym słyszeć. Teraz wmieszał się w to Trump, który nawet połączył się z zebranymi w Berlinie i miał powiedzieć do Niemca: „Friedrich, możesz zadzwonić do Putina – to pozwoli doprowadzić do porozumienia".

Friedrich chyba trafnie odczytał tę niestabilność Trumpa i nie zadzwonił. Bo choć Europejczycy za bardzo nie wiedzą, co zrobić z Rosją i konfliktem w Ukrainie, to przynajmniej działają na zasadzie najmniejszego wspólnego mianownika i wciąż wspierają Kijów – a bez tej pomocy przy amerykańskiej presji (w tym manipulowaniu dostępem do Starlinka) z Ukrainą byłoby krucho.

A tak zdaniem Michaela Kofmana, amerykańsko-ukraińskiego analityka wojskowego, ten rok jest dla Rosjan najgorszy od 2023. Licząc od stycznia do września, przez większość miesięcy Rosja netto traciła terytorium na rzecz Ukraińców. Jednocześnie rośnie rosyjski deficyt budżetowy, znikają zapasy ulokowane w rosyjskim Funduszu Dobrobytu Narodowego, gdzie odłożone są zyski z dobrych lat. Na podstawie bazy danych Rosstatu, wykradzionej przez białoruskich hakerów, eksperci oszacowali liczbę zabitych na wojnie Rosjan na 450–600 tys.

Jakby tego było mało, dwa dni przed szczytem w Shenzhen Ukraińcy wysadzili drogową nitkę ulubionego mostu Putina przez Cieśninę Kerczeńską, łączącego Rosję z okupowanym, ukraińskim Krymem. A w dniu samego spotkania dołożyli jeszcze uderzenie w część kolejową. Chodzi o kluczowe połączenie dla zaopatrzenia Krymu i południowej części frontu. Ale też o symbol rosyjskiego panowania, most osobiście otwierany przez Putina. Ukraińcy wiedzieli dokładnie, kiedy uderzyć, aby osłabić pozycję Rosjanina w Shenzhen.

Nawet bez tego cały pomysł na nową Jałtę i wspólne urządzenie świata na nowo jest pułapką, którą Putin zastawił sam na siebie. Przede wszystkim świat już tak nie działa. W 1945 r. Churchill, Roosevelt i Stalin mogli rzeczywiście powiedzieć, że panują nad prawie całym globem. Dziś Stany Zjednoczone nie mogą sobie poradzić nie tylko z Iranem, ale też z partyzantką Huti w Jemenie, a Rosja na dobre ugrzęzła w Ukrainie. Znaczenie mocarstw dramatycznie spadło.

Putin przez lata złorzeczył na „liberalny porządek świata", który miał rzekomo ograniczać potencjał jego kraju – skrzywdzonego po upadku ZSRR. Teraz, za sprawą polityki zagranicznej Trumpa, powoli spełnia się jego marzenie. Prezydent USA z nie do końca zrozumiałych względów (lub po prostu wskutek własnej ignorancji) niszczy porządek, który właśnie ze Stanów Zjednoczonych czynił państwo środka świata. A w to miejsce wyłania się nowy ład, w którym mocarstwa działają w ramach ustalonych przez siebie stref wpływów, nie zważając na stare, „liberalne" zasady.

Putin chyba nie dostrzega, że te zasady, które dotychczas ograniczały jego ambicje, hamowały też chińskie zakusy, chroniły południowoamerykańskich sojuszników Kremla przed porwaniem przez amerykańskich komandosów, uniemożliwiały Francuzom i Duńczykom inspekcje na rosyjskich tankowcach itd. Te znienawidzone przez Putina zasady zapewniały słabnącej Rosji niezbędną w takich warunkach przewidywalność świata.

Rosja w tym liberalnym porządku całkiem nieźle sobie radziła jak na państwo, które z globalnej potęgi stało się uzbrojoną po zęby stacją paliw, ze stałym miejscem w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. I to jeszcze taką stacją, która mogła do woli odgrywać rolę ofiary systemu, wytykać zachodnią hipokryzję, a przy tym zarabiać na sprzedaży gazu ziemnego i ropy naftowej do Europy. Tego świata już nie ma.

Stary porządek co prawda ograniczał Putina, ale też hamował jego największych rywali, choćby Xi. I chronił Rosję przed konsekwencjami jej własnego upadku. Bo nawet jeśli Putinowi udałoby się wymusić powrót Ukrainy do rosyjskiej strefy wpływów, to za jaką cenę? Bałtyk już stał się niemal jeziorem NATO, Chiny zabiorą Azję centralną, Turcja – Kaukaz.

Spotkanie w Shenzhen jest zapowiedzią takiego świata.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 5016b9842e

Lenovo



Przywództwo jest już tutaj.

Wspieraj innowacje od wewnątrz dzięki **Lenovo Copilot+PC**

Dowiedz się więcej

Copilot+PC

Niektóre funkcje komputerów Copilot+PC wymagają bezpłatnych aktualizacji.
Zobacz: aka.ms/copilotpluspcs.

eprasa.pl 5016b9842e

Zabawy bojowe

ZBIGNIEW BOREK

Szkolenia bojowe prowadzą w Polsce nie tylko domorośli komandosi, ale też byli operatorzy jednostek specjalnych. Służby sprawdzają właśnie, czy, a jeśli tak, to który z nich tak dobrze wyszkolił Michała O., zabójcę z krakowskiego rynku. Tylko że to już musztarda po obiedzie.



Człowiek z długą bronią (ciemne okulary, militarny outfit, opaska AK na ramieniu) siedzi na ławeczce. U jego stóp leży mężczyzna skuty kajdankami, pod ścianą kobieta z rękami za głową – to zdjęcie ze strony facebookowej firmy szkoleniowej, która reklamuje się tak: „Nasi instruktorzy to doświadczeni bojowo byli oficerowie i operatorzy jednostek JWK, GROM i FORMOZA". Wyjaśnijmy: JWK to Jednostka Wojskowa Komandosów w Lublińcu, która z Gromem i Formozą tworzy elitę polskiego wojska, wyspecjalizowaną w działaniach kontrterrorystycznych, ratowaniu zakładników, operacjach bezpośrednich na lądzie i morzu.

Na kolejnych zdjęciach tej firmy widać mężczyzn z bronią na krakowskiej ulicy i instruktora prezentującego kursantom planszę z pojęciami technik operacyjnych. Zdjęcie innej firmy, też oferującej „nowoczesne szkolenia": cywile z długą bronią, sformowani w grupę bojową, ćwiczą zdobywanie pomieszczeń w budynku. – *To maszynka do zabijania* – mówi o takim zespole człowiek z branży. Kolejne fotki: lalka przypięta do tarczy, manekiny na torze strzeleckim, człowiek strzelający przez okno jadącego samochodu albo przez przednią szybę.

Dynamiczne i statyczne

Skojarzenia z masakrą krakowską z 7 listopada nasuwają się same, bo Michał O. przez okno i szybę auta zastrzelił sześć osób, a 15 ciężko ranił. Wszystkie te publicznie udostępniane zdjęcia i wiele innych (już w większości usuniętych z internetu) zgromadził Paweł Moszner, były policjant i były oficer GROM, obecnie biegły sądowy m.in. w zakresie broni i jej użycia. Nie zrobił tego wczoraj ani nazajutrz po zamachu, ale długo przed nim. „Obyśmy się nie doczekali polskiej wersji Breivika" – pisał przed kilkoma laty. Norweski zamachowiec Anders Breivik zastrzelił jednego dnia w 2011 r. 77 osób i kilkaset ranił.

Na początku i w połowie 2023 r. Moszner pisemnie alarmował ministra spraw wewnętrznych i koordynatora służb specjalnych, że byli komandosi uczą cywilów, jak zabijać z użyciem broni palnej, i wpajają im umiejętności zastrzeżone dla służb mundurowych. – *Ludzi, którzy mają pozwolenia*

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5016b9842e

na broń sportową albo kolekcjonerską, uczą technik operacyjnych i elementów taktyki wojsk specjalnych, w tym takich, których polscy specjalsi sami nauczyli się na szkoleniach w USA i NATO. To kupczenie profesjonalną wiedzą i tajemnicami naszych sojuszników dzieje się bez nadzoru państwa i kontroli kontrwywiadowczej – mówi Moszner.

Zastrzega, żeby nie mylić z tym normalnych szkoleń strzeleckich, a prowadzących je instruktorów odróżnić od tych, którzy mogą, nawet nieświadomie, wyszkolić potencjalnych zamachowców i bojówkarzy. – *Rynkiem tych szkoleń rządzi pieniądz* – podkreśla. Po zamachu w Krakowie wszystko i wszystkich wrzuca się do jednego worka, ale zamazywanie granic opłaca się też firmom szkoleniowym, bo im mocniejszy język, tym wyższe ceny i więcej chętnych na szkolenia. – *Strzelanie dynamiczne brzmi dla ucha adepta atrakcyjniej niż statyczne, a jeszcze lepiej brzmi: taktyczne albo bojowe* – tłumaczy człowiek z branży.

Spróbujmy to uporządkować. W praktyce szkoleniowej stosuje się – inaczej niż w trikach marketingu – rozróżnienie pomiędzy strzelaniem statycznym, dynamicznym, obronnym, taktycznym, bojowym. W statycznym człowiek oddaje strzał, zwykle w tzw. postawie strzeleckiej, z nieruchomej pozycji do stałych, zwykle papierowych tarcz na określonym dystansie. Strzelectwo dynamiczne to dyscyplina skodyfikowana przez międzynarodowe i krajowe federacje (np. IPSC – International Practical Shooting Confederation). Zawodnik porusza się po specjalnie zaprojektowanym torze przeszkód i pod presją czasu ostrzeliwuje tarcze papierowe i cele metalowe, stojąc, klęcząc, leżąc, zza barykad. Certyfikowani sędziowie toru od ręki dyskwalifikują zawodnika, jeśli skieruje broń w stronę człowieka czy przemieszcza się z palcem na języku spustowym. Strzelectwo obronne przygotowuje do użycia broni w obronie osobistej. Obejmuje naukę dobywania broni z kabury pod odzieżą, ostrzeliwanie celów, wykorzystanie osłon balistycznych. Trening wymaga tzw. osi dynamicznych i nadzoru instruktora lub prowadzącego strzelanie, a szczegóły określają regulaminy strzelnic.

Cywil mundurowy

Najwięcej kontrowersji budzą szkolenia taktyczne i bojowe oraz miks tych dwóch metod. Oba pojęcia bywają używane zamiennie, granica między nimi jest płynna. W pierwszym przypadku możemy mówić o strzelaniu np. przy ograniczonej widoczności, a w drugim wprost o polu walki, gdzie cel jest jeden: natychmiastowa neutralizacja przeciwnika. Szkolenie odbywa się w pełnym oporządzeniu i z ochroną balistyczną, jak kamizelki z płytami balistycznymi, ochraniacze, hełmy, aktywne słuchawki, które tłumią huk wystrzału, ale wychwytują komendy. Obejmuje zdobywanie budynków, walkę w nich, współdziałanie w szykach bojowych, użycie granatów, prowadzenie ognia zza i z pojazdów.

Powtórzmy, że niestety kojarzy się to z zamachem w Krakowie – także dlatego, że Michał O. był ubrany i wyposażony jak żołnierz. I zwłaszcza w tym kontekście zaskakujące jest, że formalnego zakazu organizowania takich szkoleń dla cywilów w Polsce nie ma. – *W cywilizowanych krajach świata nie do pomyślenia jest jednak, żeby cywile w ramach szkoleń strzelali do manekinów, wykorzystywali żywych pozorantów albo uczyli się strzelać przez szybę samochodu* – zauważa Moszner, który był kilkukrotnie oddelegowany do służby za granicą, m.in. w elitarnym 22. Pułku SAS i US Special Forces. Podkreśla, że taktyki bojowe jednostek specjalnych to materiały niejawne także w naszym kraju: – *Ich sprzedawanie cywilom jest więc zdradą tajemnicy i jako takie powinno być ścigane z urzędu i przykładnie karane.* Gdy jednak powiadamiał o takich przypadkach, sprawy nie były traktowane poważnie, bo koncentrowano się na tym, że szkoleń bojowych nie organizowali żołnierze będący w służbie, ale już w cywilu. Jakby potencjalne zagrożenie się nie liczyło.

– *Nasze państwo powinno sobie odpowiedzieć na dwa pytania: po co cywilom takie umiejętności i jak zagospodarować ludzi, którzy odchodzą ze służb specjalnych* – mówi z kolei Artur Dubiel, ekspert ds. bezpieczeństwa z Uniwersytetu WSB Merito. Według niego szkolenia na rynku cywilnym powinny się ograniczać do potrzeb samoobrony, bo od działań bojowych są wojsko i policja. – *Nie powinniśmy natomiast przymykać oczu na to, że wyszkoleni za miliony złotych funkcjonariusze służb specjalnych odchodzą w sile wieku na emerytury. Są za młodzi, by nic nie robić dla państwa, a rynek cywilny oferuje im gaże kilkakrotnie wyższe* – zauważa. Niektórych wchłaniają Wojska Obrony Terytorialnej, innych agencje ochrony, ale wielu trafia do prywatnych strzeleckich ośrodków szkoleniowych. – *Z takich ośrodków mogą korzystać potencjalni zamachowcy, bojówkarze i członkowie grup przestępczych, także z zagranicy. Uczenie ich taktyki jednostek specjalnych naraża czynnych funkcjonariuszy tych służb na niebezpieczeństwo, a w większej skali zagraża interesom państwa i jego obywateli* – podkreśla Dubiel. Według niego obie kwestie wymagają systemowych regulacji, ale na to się nie zanosi.

Nikt nic nie wie

Po zamachu w Krakowie rząd zapowiedział przegląd przepisów regulujących dostęp do broni i szkoleń, brzmi to jednak jak doraźna reakcja na sytuację kryzysową, a nie chęć kompleksowego rozwiązania problemu. Tymczasem jest co robić. Jak pisaliśmy w publikacji „Zabawy z bronią” ▶

Kto tu strzela



Powszechnie uważa się, że w środowisku strzeleckim dominują osoby o poglądach prawicowych, często skrajnych. – *Nazywają się patriotami, innym tego miana odmawiają. Afiszują się koszulkami o patriotycznych treściach i naklejkami na samochodach* – mówi Przemysław, strzelec sportowy z zachodniej Polski. W klubie czasem boi się odezwać, bo sam uważa się za liberała. – *U nas są osoby o różnych poglądach, ale na strzelnicy nikt o polityce nie dyskutuje* – twierdzi działacz lewicy, który trenuje strzelectwo na północy kraju. Z kolei Ryszard Baszczuk z klubu Brass w Gorzowie Wielkopolskim podkreśla, że poglądy należących do niego strzelców sytuują się od prawa do lewa, skrajności nie wyłączając. – *Rozmawiamy także o polityce, ale nigdy między nami nie iskrzy* – dodaje. Jeśli chodzi o profesje, to w Brass trenuje np. spawacz, ksiądz, sędzia cywilista, lekarz i prezes dużej firmy. 93,3 proc. strzelców sportowych stanowią mężczyźni, 6,7 proc. kobiety. 70 proc. ma wyższe wykształcenie, najliczniejsze były grupy w wieku 31–40 i 41–50 lat – podaje raport z badania socjologicznego Arkadiusza Kołodzieja i Agnieszki Kołodziej-Durnaś („Acta Universitatis Lodziensis. Folia Sociologica”, 2023 r.).
Środowiska posiadaczy broni nikt w Polsce jeszcze naukowo nie zbadał.

eprasa.pl 5016b9842e

▶ (POLITYKA 42), w zeszłym roku liczba egzemplarzy broni palnej w rękach prywatnych przekroczyła u nas milion. Tylko w ciągu czterech lat – od inwazji Rosji na Ukrainę – nasz prywatny arsenał urósł o 380 tys. jednostek. W 2020 r. w Polsce wydano 15 tys. pozwoleń na broń, w 2022 r. 37 tys., a w 2025 r. ponad 50 tys.

NIK w raporcie z maja 2026 r. wykazał, że w tej branży jest jak w czeskim filmie. Nie wiemy, ani ilu ludzi ma pozwolenie (jedna osoba mogła mieć pozwolenie do celów sportowych, kolekcjonerskich i łowieckich, a w statystyce pojawiała się jako trzy osoby), ani ilu ludzi posiada broń (bo nie każdy, kto ma pozwolenie, kupuje broń). Cywilna broń jest ewidencjonowana w rejestrze policyjnym, a prywatna broń żołnierzy zawodowych – w systemie żandarmerii. Dane z tych systemów nie są scalone, nie wiemy więc, ile egzemplarzy należałoby dopisać do miliona cywilnych. Broni czarnoprochowej (oddzielnego ładowania) nie obejmują zaś żadne rejestry. Według szacunków w Polsce może być nawet 500 tys. egzemplarzy, a kupić ją można na dowód osobisty jak butelkę wódki.

Niczym wyjęte z absurdalnego scenariusza są kolejne ustalenia NIK: broń po zmarłych bywała niezabezpieczona przez nawet 30 lat, a w rejestrach policji jako aktywni posiadacze broni figurowali nawet stulatkowie (rekord: rocznik 1915), którzy badania lekarskie i psychologiczne przeszli za młodu. To jedna z patologii branży: cywile, którzy mają broń do celów sportowych, kolekcjonerskich czy łowieckich, przechodzą badania tylko raz w życiu – gdy wyrabiają bezterminowe pozwolenie. W Sejmie na rozpatrzenie czeka projekt ustawy zakładający badania co pięć lat dla posiadaczy broni do 70. roku życia oraz co dwa lata dla osób powyżej 70 lat. Ważą się też losy nowelizacji prawa łowieckiego, która wprowadza okresowe badania myśliwych. Nie wiadomo jednak, czy zmiany wejdą w życie, bo napotykają opór środowisk strzeleckich i łowieckich, do których należą też politycy.

Bez kontroli

Idźmy dalej tropem absurdu: nie wiemy, ile jest w Polsce strzelnic. Według różnych źródeł od 450 do 800, w tym 15–20 proc. z torami do strzelania dynamicznego. Strzelnicę ma więc co piąta albo co trzecia gmina. Ekspert strzelecki Andrzej Turczyn zwraca uwagę, że to „przerażająco mało", co stanowi barierę w rozwoju kultury strzeleckiej. – *Nie pomaga jej także fakt, że pozwolenie na broń na ścieżce sportowej, myśliwskiej i kolekcjonerskiej zdobyć łatwo, a stracić trudno. Przez to trafia do tego sportu mnóstwo przypadkowych ludzi* – mówi przedsiębiorca i lewicowy działacz z północy kraju, który uprawia strzelectwo.



Coraz więcej osób szkoli się w umiejętnościach, które daleko wykraczają poza potrzeby cywilów. Takie szkolenia taktyczne i bojowe państwo powinno objąć ścisłą kontrolą.

Ustawa o broni i amunicji z 21 maja 1999 r. wymaga, aby posiadacz broni miał ukończone 21 lat (w myślistwie i strzelectwie 18), nie był karany ani uzależniony od alkoholu lub substancji psychoaktywnych. Musi przejść badania lekarskie i psychologiczne, a policja wydaje pozwolenie na zakup broni, jeżeli wnioskodawca nie stanowi zagrożenia dla siebie, porządku lub bezpieczeństwa publicznego i przedstawi ważną przyczynę jej posiadania. – *Wskażesz cel sportowy i to wystarczy* – mówi nasz rozmówca. Aby zdobyć pozwolenie na broń, trzeba być stowarzyszonym, zdać teoretyczny i praktyczny egzamin wewnętrzny w klubie oraz państwowy. W praktyce wystarczy być cierpliwym: brać udział w zawodach i wystrzelić trochę nabojów. Egzaminy można zdawać do skutku.

– *Każdego nauczysz strzelać* – mówi właściciel strzelnicy. Polski Związek Strzelectwa Sportowego nie publikuje danych o zdawalności, bo zdają niemal wszyscy – jeśli nie w pierwszym, to w którymś z kolejnych terminów. Za każdy egzamin się płaci, a związkową kasę zasilają również składki członków – im więc jest ich więcej, tym bardziej organizacja rośnie w siłę. A co się dzieje później? Ludzie z branży strzeleckiej twierdzą, że regularsi, którzy trenują systematycznie, stanowią na strzelnicach 20, może 30 proc. U wielu adeptów zapał jednak wygasa i strzelają raz do roku na zawodach, żeby zachować licencję. Podobnie mogą robić ci, którzy mają złe zamiary: spełniają minimum wymogów, żeby nie rzucać się w oczy. – *Nikt tak naprawdę ich nie zna i nie wie, co im w głowie siedzi. Nikt też w porę nie zauważy niepokojących sygnałów, bo niby jak, skoro człowieka widzi się raz na rok* – mówi wspomniany rozmówca z północy kraju.

Broń w dom

„Ktoś musiał go tego nauczyć, musiał wcześniej trenować" – powtarza w mediach po zamachu w Krakowie Tomasz Kwiecień, prezes Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego. Według niego Michał O. wiedział, co robi, jego działanie nie było chaotyczne. Oficjalnie O. trenował strzelectwo z ojcem w klubie Świt w Starachowicach. Przedstawiciel klubu Adam Chyb powiedział jednak naszemu reporterowi, że O. na zawodach osiągał przeciętne wyniki, w tym roku był na strzelnicy tylko trzy razy, a klub ma tory jedynie do strzelectwa statycznego. Z nieoficjalnych źródeł wynika, że zamachowiec ćwiczył strzelanie dynamiczne albo bojowe w trakcie nielegalnych szkoleń w lasach albo legalnie – na jednej z czterech wymienianych z nazwy strzelnic w bliższej i dalszej okolicy rodzinnego Ostrowca Świętokrzyskiego. Wysłaliśmy do ich przedstawicieli pytania na ten temat. Nie odpowiedzieli. Właściciel jednej wydał oświadczenie, że Michał O. nigdy na niej nie ćwiczył (a filmik, na którym kursant strzela przez otwartą szybę samochodu, miał być tylko reklamą).

Kilku naszych rozmówców z branży strzeleckiej powątpiewa jednak w rzekome wyszkolenie bojowe Michała O. – *Zamachowiec pokazał instynkt zabijania i determinację, ale nie jakieś szczególne umiejętności.*

© FACEBOOK, ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 5016b9842e

Brutalnie rzecz ujmując, gdyby był przeszkolony, to śmiertelnych ofiar byłoby znacznie więcej – mówi Łukasz Zapadka. – *Oddać celny strzał z bliska z takiego karabinu, jakim się posługiwał, to żadna sztuka, a strzelanie z jadącego samochodu przez szybę wcale nie wymaga wyjątkowych umiejętności* – wtóruje Ryszard Baszczuk.

Obaj prowadzą stowarzyszenie strzeleckie Brass. W weekend spotykamy się na ich strzelnicy pod Gorzowem Wielkopolskim. Co rusz słychać strzały: klub ma 300 członków, tego dnia ćwiczy 40. Strzelają statycznie, choć jest też tor do strzelania dynamicznego: opony, bariery, beczki, przepierzenia. – *Jedni poprzestają na strzelaniu statycznym i w tym się doskonalą, a inni wchodzą w dynamiczne z coraz większym stopniem trudności. To nie znaczy, że szykują się do zamachu, tylko rozwijają pasję* – mówi Baszczuk. Zapadka porównuje: – *Jakbyś z trenażera przesiadł się na rower szosowy, a potem na górski.*

Obaj zauważają, że już na wejście do sportu strzeleckiego niemal każdy chce mieć swój pistolet, karabin i strzelbę, aby obstawić podstawowe konkurencje. Zawodnik kupuje zwykle zapasową broń i różnicuje arsenał. – *Znów: jak w każdej pasji, zaczynasz od podstaw, a później chcesz więcej* – tak komentują fakt, że Michał O. miał z ojcem 11 sztuk broni (a gdy zabił jego, matkę i siostrę, przejął wszystkie). – *Ja wędkuję, to trzymam w piwnicy ze 20 wędek* – mówił reporterowi sąsiad zamachowca.

Być może więc szukamy dziury w całym, żeby łatwiej znieść to, że zamachu w Krakowie dokonał nie terrorysta z ciemną karnacją, lecz przeciętny polski chłopak? Ze średniej wielkości miasta, które wyludnia się jak setki podobnych? Taki, który w szkole ponoć obsesyjnie rysował wisielców i na wyrywki recytował CV seryjnych morderców, ale zbierał też pochwały i był honorowym krwiodawcą. Który sąsiadom mówił dzień dobry, ale z nikim się nie kumplował, nie wiadomo, czy miał dziewczynę i dogadywał się z bliskimi. Który wyszukiwał informacje o Breiviku i Tedzie Kaczynskim, ale z drugiej strony lżył papieża, z trzeciej zaś chodził do kościoła, a z czwartej publikował nienawistne posty o społeczności LGBT. Chcemy wiedzieć, co z tego jest prawdą. Co grało mu w duszy? Co działo się w jego głowie? Kim był człowiek, który w kilka minut zamordował polskie poczucie bezpieczeństwa?

Na razie nie ulega wątpliwości, że 24-letni Michał O. nie był karany ani notowany w policyjnych kartotekach. Musiał mieć też pozytywną opinię dzielnicowego, bo i tego wymaga się do pozwolenia na broń. Zdobył je w marcu tego roku, bo spełnił formalne wymogi, a później nikt go już nie sprawdzał. Legalnie kupił karabinek typu AR-15, który leżał obok na ulicy, gdy postrzelił go bohaterski policjant. Z identycznego modelu, produkowanego przez amerykańską firmę Diamondback, sam strzelałem, ujmę to tak: jest zdumiewająco lekki (z nabojami waży 3–3,5 kg), poręczny i żadnego wielkiego kopa nie daje. Nawet mnie, żółtodziobowi, udało się trafić do tarczy. Gdybym chciał, mógłbym w parę miesięcy wyrobić papiery, kupić taki karabinek (ceny katalogowe od 4,6 tys. zł wzwyż) i legalnie trzymać go w domu.

Co ważne, jest bronią sportową tylko z nazwy. AR-15 to bardzo popularna broń na rynek cywilny. Należy do tej samej rodziny co wojskowe karabinki M16 lub M4. Wojskowe wersje pozwalają strzelać seriami, natomiast AR-15 w wersji cywilnej jest samopowtarzalny: każdy strzał wymaga osobnego naciśnięcia języka spustu. – *W środowisku powszechnie jednak wiadomo, gdzie wymienić chwyt z urządzeniem spustowym albo małą część i postrzelać seriami. Części, które pozwalają na przeróbkę broni na maszynową, nie są objęte zakazami ani nadzorem* – mówi Moszner.

Nowoczesna rekonstrukcja

Jako szkoleniowiec i były oficer GROM Moszner nie potrafi przejść do porządku dziennego nad tym, co w środowisku strzeleckim jest tajemnicą poliszynela: coraz więcej ludzi, a nawet grup, szkoli się w umiejętnościach, które daleko wykraczają poza potrzeby cywilów, nawet w warunkach wojennych. – *W sieci publikuje się zdjęcia kojarzące się bardziej z zamachami terrorystycznymi niż ze szkoleniami, niektóre fora strzeleckie buzują agresją* – podkreśla.

Według naszych rozmówców państwo winno wyciągnąć wnioski z tragedii krakowskiej: wdrożyć badania okresowe, uporządkować rejestry, dopisać do nich broń czarnoprochową, ulepszyć mechanizmy samokontroli środowisk strzeleckich, objąć ścisłą kontrolą szkolenia taktyczne i bojowe. A także chronić strzelectwo przed zgubnym wpływem fanatyków broni, wyznaczając czytelne granice tego, czego można uczyć cywilów.

Firma, o której piszemy na początku tekstu, w obszernej odpowiedzi na nasze pytania zapewnia, że zamknięte szkolenia stricte bojowe i taktyczne organizuje wyłącznie dla żołnierzy, policjantów czy innych funkcjonariuszy. Co się zaś tyczy zdjęć z pozorantami w kajdankach albo z rękoma w górze, to wyjaśnia, że pochodzą z „nowoczesnej rekonstrukcji" historycznego wydarzenia, jakim była akcja „Kutschera", czyli eliminacja okupacyjnego kata Warszawy przez batalion Parasol Armii Krajowej. Źródła historyczne nie podają jednak, że żołnierze AK brali wtedy zakładników.

ZBIGNIEW BOREK

Od lewej: **Łukasz Zapadka i Ryszard Baszczuk prowadzą stowarzyszenie strzeleckie Brass. Zauważają, że już na wejście do sportu strzeleckiego niemal każdy chce mieć swój pistolet, karabin i strzelbę.**



eprasa.pl 5016b9842e



Zmierzch monarchy

Decydował o losach żywych, w politycznej walce nie wahał się używać umarłych. Uwodził i przerażał. Dzielił i rządził. Dziś Jarosław Kaczyński powoli schodzi ze sceny. Jak to się skończy?

MICHAŁ DANIELEWSKI

Może to listopadowy chłód, być może forsowny długi spacer, ale ilekroć kamery pokazywały lekko zasapanego Jarosława Kaczyńskiego podczas Marszu Niepodległości, prezes wydawał się zupełnie nie w sosie. Choć na zdrowy rozum okoliczności sprzyjały euforii. W centrum Warszawy pojawiło się, lekko licząc, ćwierć miliona ludzi, a wielu z nich przyszło zademonstrować sprzeciw wobec władzy premiera Donalda Tuska. Czyż to nie wymarzone okoliczności dla czołowego polityka opozycji? Zwłaszcza że obóz prawicowy pokazał tamtego popołudnia, że nie tylko potrafi mobilizować swoich twardych zwolenników, ale także nauczył się komunikować z częścią „normalsów". Znalazł sposób, by połączyć formy radykalne i bardziej umiarkowane.

Był tylko jeden problem: to nie był marsz Kaczyńskiego. Więcej, dla setek tysięcy manifestantów Jarosław Kaczyński stanowił niewiele znaczącą dekorację. Prezes był tylko gościem, jednym z wielu. Traktowanym przyjaźnie, ale raczej obojętnie. A on jednym z wielu być nie potrafi. I pewnie z tego powodu, pod wpływem chwili, rzucił do mikrofonu, wchodząc na Most Poniatowskiego: „Będziemy działali w tym kierunku, żeby była jedna wielka lista prawicy do Sejmu. Ale tu trzeba jeszcze przekonywać polityków

© SHUTTERSTOCK/JM

eprasa.pl 5016b9842e

trzech Konfederacji". Czyli Krzysztofa Bosaka, Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna. Tego samego Brauna, którego jeszcze niedawno ustawiał „poza granicami cywilizacji".

Od razu posypały się zdziwione lub oburzone komentarze, że Kaczyński zrzucił maskę, ostatecznie wyjawiając, że chce iść do wyborów i rządzić z prorosyjskim antysemitą oraz ukrainożercą. Cóż, trudno się na to nie uśmiechnąć. Nigdy nie było wątpliwości co do tego, że prezes Prawa i Sprawiedliwości jest w stanie rządzić z każdym, o ile zarazem nad każdym będzie miał władzę. Słowa Kaczyńskiego były kolejną z desperackich prób zademonstrowania politycznej kontroli nad prawą stroną sceny. Typowy dla szefa PiS protekcjonalny przytyczek.

Ten rodzaj zakamuflowanej groźby wobec partnerów długo działał niezawodnie. Był złowrogim przypomnieniem, że każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw hegemonii prezesa na prawicy, może być pewny, że ta ręka zostanie mu odcięta. To przez lata rodziło strach i poczucie bezradności, ale moc tego zaklęcia właśnie się wyczerpuje wraz z siłą polityczną Kaczyńskiego. „Jego patronatu i paternalizmu nikt nie chce i nie potrzebuje" – to odpowiedź Bosaka. „Kaczyńskiemu jest znacznie bliżej do Tuska niż do nas" – to riposta Mentzena. Braun nawet nie zawracał sobie głowy jakąkolwiek reakcją.

Niezdolny do ofensywy

Wszystko, co w ostatnich miesiącach mówi i robi Kaczyński, wskazuje na to, że źle ocenia sytuację polityczną. Najwyraźniej zakłada, że za odrobinę autonomii, dwie krople prestiżu i wygodne fotele na salonach władzy konfederaci wszelkiej maści ostatecznie – mniej lub bardziej świadomie – pójdą do niego na służbę. A kiedy już okażą się nieudolni, skorumpowani albo słabi, podzieli się ich, zmarginalizuje i pozbawi poparcia, całą potęgę znów skupiając w jedynie godnych rękach odwiecznego lidera. To zresztą naturalne doświadczenie Kaczyńskiego z obsługi konkurentów i radykałów: Andrzeja Leppera, Romana Giertycha, Zbigniewa Ziobry. Ci zawsze kończyli albo na politycznym aucie, albo pod butem prezesa. Tym razem jednak powtórki nie będzie.

Błąd w kalkulacjach Kaczyńskiego polega na tym, że nowe pokolenie liderów prawicy nie chce od niego okruszków władzy, ale całą władzę pragnie mu odebrać – pogrzebać go żywcem i zatańczyć na jego politycznym grobie. Konfederaci to już nie początkująca prawicowa młodzieżówka pod wodzą patriarchy Janusza Korwin-Mikkego z kadencji 2019–23. To już nie zachłyśnięci sondażami aroganci z ostatniej kampanii parlamentarnej. Teraz to pewni siebie politycy, świadomi swojej siły i pozycji, a do tego już z doświadczeniem partyjnego ojcobójstwa. Im się nie spieszy, mogą poczekać, nawet jeśli ceną będą kolejne lata w opozycji. Oni mają czas, Kaczyński już go nie ma. A im bardziej próbuje odgrywać rolę mocarza, tym bardziej w ich oczach się chwieje jako relikt starego świata. Tym są pewniejsi, że wystarczy energicznie dmuchnąć, by królestwo PiS rozpadło się jak domek z kart.

Sytuacja jak z filmu „Boski" Paolo Sorrentino, który pokazuje zmierzch Giulia Andreottiego, politycznego mocarza, siedmiokrotnego premiera, jednego z głównych twórców powojennego ładu we Włoszech. Całkowicie owładnięty polityką, otoczony kliką pochlebców, wyznawców i klientów 73-letni legendarny lider nie zauważa znaków zmieniającej się rzeczywistości i nadchodzącego schyłku jego hegemonii. Lekceważy wewnętrzne podziały w najbliższym otoczeniu, działa w rytm rutyny starych przyzwyczajeń oraz skutecznych w przeszłości politycznych trików. Kończy zaś upokorzony w wyborach na prezydenta Republiki i z pozycji zmarginalizowanego senatora obserwuje w pierwszym rzędzie upadek systemu politycznego, którego był architektem.

Dla lidera PiS analogicznym upokorzeniem byłaby utrata prymatu na prawicy, co wciąż w perspektywie najbliższych wyborów jest scenariuszem mało realnym, ale dużo bardziej prawdopodobnym niż jeszcze rok temu. Tym bardziej że prezes otorbiony przez sekciarskich fanatyków, nieudacznych starych druhów i cyników, którzy z pasożytowania na nim zrobili sobie sposób na luksusowe życie, wydaje się niezdolny do jakiejkolwiek sensownej politycznej ofensywy.

Miarą tego zagubienia jest klęska protestów przed Trybunałem Konstytucyjnym, które zmieniły się w pastisz jeszcze długo przed recitalami posła Michała Wójcika i handlem obwoźnym telewizji Republika. Znamienna była scena, gdy obok prezesa w Alei Szucha w słoneczne październikowe popołudnie stanęli przywrócony po raz kolejny do łask Jacek Kurski oraz artystka z gitarą przyodziana w kurtkę moro i wojskowy beret z orłem w koronie. Kurski trzymał mikrofon przy pudle rezonansowym, Kaczyński udawał, że nuci pieśń pod nosem, artystka zaś śpiewała na melodię „Roty" przed rachitycznym, kilkusetosobowym zgromadzeniem: „Nie będą nam narzucać praw, Unia już jest lewacka, Polska nie podda nigdy się, odwaga w nas husarska". Wypisz, wymaluj, scena z filmu Sorrentino, gdyby kiedyś zechciał się zająć zmierzchem polskiego politycznego boga.

Skorpion i żaba

Gdyby wybory odbywały się w najbliższą niedzielę, według różnych prognoz PiS mógłby liczyć na poparcie w przedziale 20–22 proc. (ok. 120–130 mandatów w Sejmie). Byłby to najgorszy wynik tej partii od 25 lat. Gdy prezes rozgrywał LPR i Samoobronę po wyborach w 2005 r., miał 155 sejmowych szabel i wyraźną przewagę nad słabszymi partnerami. Jeśli za rok opozycja zdobędzie większość, potencjały będą o wiele bardziej wyrównane, co oznaczałoby wymuszoną abdykację prezesa PiS ze stanowiska prawicowego monarchy absolutnego. Jeszcze bardziej wzrośnie za to rola prezydenta Karola Nawrockiego, który w takim układzie będzie jedynym stabilnym zwornikiem ewentualnej koalicji i ostatecznym arbitrem w tym gronie.

Dziś Kaczyński i jego najwierniejsi druhowie jeszcze się łudzą, że politycy PiS w bliskim otoczeniu Nawrockiego pilnują interesu partii w Pałacu Prezydenckim, ale wektory lojalności Zbigniewa Boguckiego czy Pawła Szefernakera wydają się odwrócone. Czy planujące swoją polityczną przyszłość na dekady 40-letnie młode wilki będą się orientować na gnijącą partię ze słabnącym z miesiąca na miesiąc wodzem, a nie na nowego, energicznego patrona? A to wszystko oznacza jedno – pierwszy raz od ćwierćwiecza Kaczyński nie będzie suwerennie decydował o kształcie prawicowego rządu, jeśli na taki będzie szansa.

Zdolności lidera PiS do kooperacji i dzielenia się władzą są powszechnie znane. Wszyscy wiedzą, że prezes potrafi współpracować tylko w dwóch trybach, dominacji lub anihilacji, co będzie pchało zarówno wszystkie konfederacje, jak i ewentualnie partię Mateusza Morawieckiego pod skrzydła prezydenta. Nawrocki będzie dla nich jak polisa ubezpieczeniowa chroniąca przed losem żaby ukąszonej przez nieokiełznanego skorpiona i tonącej razem z nim pośrodku jeziora. Bo jest pewne, że mimo słabości lider PiS będzie próbował zdominować układ koalicyjny na prawicy, rozgrywać sprzeczne interesy, przeciągnąć najsłabsze ogniwa ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ na swoją stronę i przejąć kontrolę nad służbami, by w razie potrzeby wykorzystać je przeciw partnerom. Skorpion tak już ma.

Jeśli powstanie koalicja, to w postaci szalenie skomplikowanej i wewnętrznie podzielonej, być może z jakąś dziwną nazwą, a dążenie Kaczyńskiego do dominacji będzie ciągłym zagrożeniem. Otwarte pozostaje pytanie, czy aparat PiS wyposzczony czterema latami bez fruktów władzy, będzie spokojnie się przyglądał, jak prezes destabilizuje cały układ i ryzykuje przyspieszonymi wyborami.

Na razie jednak można się założyć, że Kaczyński nie dopuszcza dziś do siebie myśli o dzieleniu się władzą. Ten spektakl oglądaliśmy już wielokrotnie. Wciąganie demonizowanego wcześniej Brauna do koncepcji wspólnej listy prawicy służy pokazaniu wyborcom, jak bardzo istotna jest jedność. Jedność za wszelką cenę. A kiedy z jednej listy, co dość oczywiste, nic nie wyjdzie, Kaczyński oskarży pozostałe partie o zdradę, granie w orkiestrze dyktatora Tuska i wezwie do głosowania na jedyną prawicę, która rzeczywiście chce odebrać władzę „koalicji zamachu stanu". Czyli na PiS.

Obserwujemy to przy okazji dyskusji o tzw. resecie konstytucyjnym, który Kaczyński de facto odrzuca, mówiąc o warunku odsunięcia Tuska od władzy jeszcze w tej kadencji i o niedopuszczalnej „grubej kresce". Prezes postawił wszystko na polityczną medycynę alternatywną, wierząc, że wywar z polaryzacji odbuduje mu słupki poparcia. I to też objaw jego słabości – nie ma już wiele do zaproponowania, w krytycznych momentach sięga po stare, wyuczone zachowania.

Prezes wklęsły

Za biegłość w kreowaniu i wykorzystywaniu dwubiegunowych podziałów Kaczyński mógłby zdobyć Nagrodę Nobla, gdyby ją przyznawano w dziedzinie technologii politycznej. Z tym zastrzeżeniem, że w chwilach swojej największej chwały potrafił zdefiniować konflikt nie tylko na osi symbolicznej, lecz także w kategoriach społeczno-ekonomicznych. Ba, był czas, kiedy się oburzał, gdy próbowano zredukować jego agendę do metapolitycznych kategorii. W 2002 r. w rozmowie z „Res Publiką" (w której jako sojusznicy prezesa brali udział m.in. Donald Tusk i Bronisław Komorowski, co dziś wydaje się relacją z alternatywnej rzeczywistości) narzekał, że przykleja się PiS łatki dekomunizatorów i szeryfów, gdy jest to partia, która przede wszystkim chce wyzwolić gospodarkę spod dominacji grup nacisku. Trzy lata później władzę dał mu podział na Polskę liberalną i solidarną, 13 lat później zapewniła mu ją obietnica sprawiedliwej dystrybucji owoców wzrostu gospodarczego.

Jasne, równolegle pracował spin o „dziadku z Wehrmachtu", obłęd teorii „zamachu smoleńskiego", na zimno wywoływana ksenofobiczna, antymigrancka histeria. Ale to opowieść gospodarczo-bytowa dawała PiS bonus poparcia. Z tej narracji wykluła się potęga partii Kaczyńskiego przebijająca polityczne bańki, bo rewolucyjna w istocie idée fixe prezesa, polegająca na zanegowaniu i unieważnieniu strukturalnych fundamentów transformacji z przełomu lat 80. i 90., zjednywała mu najpierw starych wyborców SLD, później Samoobrony, a następnie zaskarbiła nieco ambiwalentny rodzaj sympatii również wśród części nowej generacji lewicowych aktywistów i wyborców.

Obecnie niewiele z tego zostało. Prezes nam wklęsł, przytłoczony ciężarem resentymentu i nienawiści do Tuska, sparaliżowany patrzeniem, jak osiem lat mozolnego zmieniania ustroju i przejmowania kolejnych instytucji jest odwracane dość prostymi sposobami przez obecny obóz władzy. Alergia na opowieści resetowe (PiS wymyślił nawet obelżywy w założeniu epitet „reseciarze") bierze się również stąd, że w samym swoim założeniu kasują ustrojowe zmiany narzucone przez polityczny walec z Nowogrodzkiej w latach 2015–23. Czyli unieważniają życiowe osiągnięcie Kaczyńskiego.

Nieliczne próby przełamywania opowieści o grozie zamachu stanu kończą się dość żałośnie. Oto ostatnio, po miesiącach konkurowania z Konfederacją na najbardziej wolnorynkowe i liberalne gospodarczo narracje, wyciągnięto z politycznego pawlacza Beatę Szydło, by na konwencji gospodarczej PiS opowiadała o zbawiennych zaletach solidaryzmu społecznego i złotych czasach jej rządów polegających na bezprecedensowych w historii III RP transferach socjalnych.

Wszystko to sprawia wrażenie słabego przywództwa i wszechogarniającego chaosu, a grupę Morawieckiego, czyli jedyne środowisko w PiS, które jakoś mogłoby połączyć te wątki w spójną opowieść, prezes postanowił z partii wypchnąć. Do dziś do końca nie wiadomo, dlaczego to zrobił. Stracił jednocześnie polityczną busolę, mapę i kompas. Zostały mu tylko stare przyzwyczajenia, obsesje i pokryte rdzą opowieści z dziejów oblężonej twierdzy.

PiS jako nowy ZBoWiD

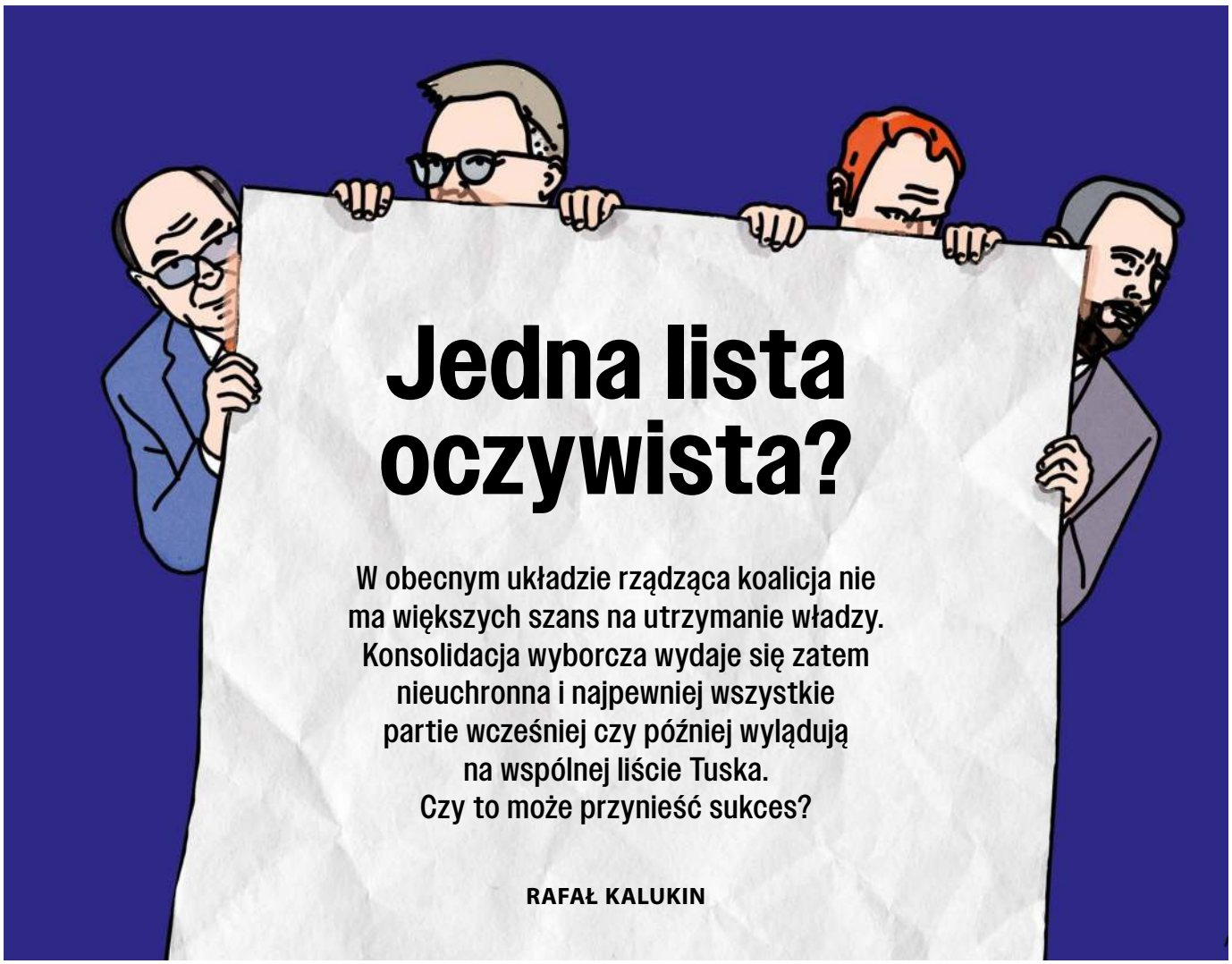
Kaczyński był przez lata politykiem skutecznym i wybitnym, co muszą przyznać nawet jego wrogowie. Ale każda z tych cech ma datę ważności. Przychodzi dzień, gdy rzeczywistość pędzi zbyt dynamicznie, zmiany pokoleniowe przepoczwarzają nastroje elektoratu zbyt szybko, a stare chwyty przestają działać. Również dlatego czas Kaczyńskiego jako politycznego boga prawicy kończy się nieuchronnie. Bosak lepiej obsługuje potrzeby wspólnotowe, Mentzen jest wdzięczniejszym prowokatorem, Braun do perfekcji opanował grę na spiskowej szajbie, a Nawrocki lepiej nadaje się wizerunkowo na silnego wodza, co Tuskowi się nie kłania. Kaczyński dla coraz większych grup elektoratu staje się zwyczajnie zbędny, a dla młodszych kolegów na prawicy jawi się jako kula u nogi blokująca skok w świetlaną przyszłość.

Pewnym pocieszeniem dla prezesa jest fakt, że schodzenie ze sceny nie unieważnia jego politycznego dziedzictwa. Większość nowych prawicowych elit byłaby przecież bez niego nikim. To on je stworzył swoją polityczną siłą, wykreował im instytucjonalne lub dyskursywne otoczenie do wzrostu. Nawrocki bez Kaczyńskiego nie śmiałby marzyć nie tylko o funkcji prezydenta, lecz nawet szefa IPN. Morawiecki pewnie pałętałby się po mediach jako ciekawy ekspert z sektora bankowego. Bosak nie miałby od kogo pożyczyć języka konserwatywno-narodowej wspólnotowej troski. Patryk Jaki brylowałby jako opolski samorządowiec. A Tomasz Sakiewicz w starym swetrze wydawałby niszowy prawicowy tygodnik.

Jednak nie zmienia to faktu, że czas potęgi budzącego powszechny respekt wszechwładnego hegemona, dowolnie przestawiającego polityczne klocki w przerwach od głaskania kota, powoli dobiega końca. Choć tu trzeba zachować minimum ostrożności, bo pierwsza książka o „końcu PiS" ukazała się w 2011 r. Wiele jednak wskazuje na to, że dopadła prezesa przepowiednia ze starej piosenki Jana Krzysztofa Kelusa: „Zasłuchani w własne słowa, coraz bardziej ideowi, ustąpimy miejsca młodszym, żeby stworzyć nowy ZBoWiD".

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 5016b9842e



Jedna lista oczywista?

W obecnym układzie rządząca koalicja nie ma większych szans na utrzymanie władzy. Konsolidacja wyborcza wydaje się zatem nieuchronna i najpewniej wszystkie partie wcześniej czy później wylądują na wspólnej liście Tuska. Czy to może przynieść sukces?

RAFAŁ KALUKIN

ILUSTRACJE **MAX SKORWIDER**

Jak zawsze pod koniec cyklu wyborczego powraca temat budowania wielkich bloków wyborczych. Tyle że punkt widzenia prawie zawsze zależy od punktu siedzenia, co widać również dzisiaj. Oto niespełna rok przed wyborami Jarosław Kaczyński zaczął wywierać publiczne naciski na mniejsze prawicowe partie, usiłując je zagonić na wspólną listę opozycji, w czym jako żywo przypomina Donalda Tuska sprzed czterech lat. I równie słabo mu to zresztą wychodzi.

Dla wszystkich jest jednak dosyć oczywiste, że Kaczyński odgrywa polityczny teatr, grając utrwalonym głęboko sentymentem za „jednością prawicy". Koalicje wyborcze najlepiej jest zawsze zawiązywać kilka miesięcy przed wyborami, gdyż pozwala to ograniczyć wpływ personalnych napięć towarzyszących układaniu list oraz jednocześnie zachować efekt politycznej świeżości. Jednocześnie prezes PiS, deklarując chęć układania się z wykluczanym dotąd Grzegorzem Braunem, dostarczył Tuskowi doskonałej argumentacji na rzecz integracji, tyle że po drugiej stronie. I tym razem jak najbardziej już realnej.

O wspólnej liście koalicji 15 października też powoli zaczyna się już mówić publicznie. Na razie dosyć nieśmiało, w medialnych spekulacjach i ostrożnych komentarzach zainteresowanych. Ogólna sytuacja obozu rządzącego niewątpliwie jednak popychać będzie liderów do jakiejś formy konsolidacji. Staje się bowiem oczywiste, że idąc do wyborów w rozdrobnieniu, koalicja praktycznie nie ma szans na odnowienie sejmowej większości. Po prostu wyborców zorientowanych na prawo jest dzisiaj więcej i nic nie wskazuje, żeby w ciągu najbliższego roku miało się to zmienić. Tym bardziej że rząd Tuska nie zachwyca jakością, już od dawna przekonując do siebie raptem co trzeciego wyborcę, a kampania w 2027 r. może tę asymetrię dodatkowo pogłębić.

Wyborcza integracja oczywiście nie jest cudownym środkiem. Sama w sobie nie daje gwarancji przedłużenia władzy na kolejną kadencję. Ale jeśli koalicjanci myślą o tym naprawdę poważnie, muszą zacząć od przekształcenia obecnej, mało funkcjonalnej struktury politycznej. Bez tego cały ich wysiłek w ostatnim roku rządzenia skazany będzie na jałowość.

I pokazują to wszystkie sondaże z ostatnich miesięcy. W scenariuszu rozdrobnienia strona koalicyjna może liczyć w najlepszym razie na nieco ponad 200 mandatów w Sejmie. To przede wszystkim efekt relatywnie wysokich notowań Koalicji Obywatelskiej, której poparcie na poziomie 30 proc. wydaje się trwałe, ale też z wyraźnie zaznaczonym ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ sufitem. Kilkanaście dodatkowych mandatów wnosi Nowa Lewica, ale już PSL wydaje się trwale niezdolny do samodzielnego przekroczenia progu. O zbierających okruchy resztkach po Polsce 2050 nie warto nawet wspominać.

Konieczna jest zatem taka konsolidacja, która w pierwszej kolejności oddali ryzyko zmarnowania się głosów oddanych na podprogowe dzisiaj ugrupowania tworzące dawną Trzecią Drogę. To scenariusz minimum, w którym KO przyjmuje na swoje listy PSL oraz niedobitki po Szymonie Hołowni. Wariantem dużo ambitniejszym jest z kolei wielka lista całej koalicji, gdyż dodatkowo pozwoliłoby to wykorzystać możliwości wynikające z obowiązującej ordynacji wyborczej. Metoda przeliczania głosów na mandaty wg D'Hondta zapewnia bowiem nadwyżki zwycięzcom kosztem kolejnych na mecie ugrupowań, przy czym rozmiar tych nadwyżek zależy od osiągniętej przewagi.

Z publikowanych ostatnio badań wynika, że wspólna lista całej opozycji mogłaby dzisiaj liczyć na 37–38 proc. głosów, co przekłada się na ponad 220 mandatów. Do większości nadal więc trochę brakuje, ale już niewiele. Oczywiście przy założeniu, że prawica pozostanie do wyborów rozdrobniona, no i nie wyłoni się po tej stronie żaden zdecydowany lider zdolny skrócić dystans.

Tusk nie musi więc dzisiaj wywierać publicznej presji na mniejsze partie – jak robił to w przeszłości, a dzisiaj próbuje go naśladować Kaczyński. I wręcz nie powinien tego robić, gdyż wywoływanie do tablicy koalicyjnych partnerów mogłoby co najwyżej sprowokować demonstracje suwerenności, które w pierwszej kolejności mają swoje źródło w poczuciu zagrożenia. A z tego biorą się później głębokie napięcia, internetowe wojenki zaangażowanych społeczności, poczucie ogólnego chaosu.

Wszystko to już przerabialiśmy w końcówce rządów PiS. Sytuacja na przełomie 2022/23 r. pod wieloma względami była wręcz lustrzanym odbiciem obecnej. Formacja Kaczyńskiego nadal prowadziła w sondażach (średnia 36 proc.), tyle że coraz bardziej traciła szanse na utrzymanie sejmowej większości. Nawet w koalicji z Konfederacją (7 proc.), która zresztą ani trochę się do tego nie paliła, budując swój kapitał na kontestacji starszego brata na prawicy.

Przewagę zyskiwały z kolei ugrupowania demokratyczne, czyli KO (30 proc.), Polska 2050 (11 proc.), Lewica (9 proc.) i PSL (5 proc.). Już wtedy zapewniało to opozycji bezpieczną przewagę i co ciekawe, burzliwa kampania właściwie niczego nie zmieniła. W październikowych wyborach wszystkie siły wzięły mniej więcej po tyle samo, a jedyne, co się zmieniło, to sposób liczenia głosów Polski 2050 i PSL, które wystartowały wspólnie jako Trzecia Droga. Jej ostateczny wynik z grubsza jednak odpowiadał wcześniejszym sondażowym potencjałom obu partnerów.

Siła wywieranej przed wyborami perswazji Tuska na zjednoczenie była więc ograniczona. Nawet jeśli używał racjonalnych argumentów (zwiększenie mandatowego potencjału wspólnej listy), to nie były one przeważające, bo nawet bez jedności opozycja utrzymywała arytmetyczną przewagę. W tej sytuacji więcej ważyły ryzyka, których przecież nie brakuje przy okazji zawiązywania szerokich bloków wyborczych. Dla części elektoratów – tych najbardziej ideowych albo zorientowanych na realizację konkretnych interesów – perspektywa roztopienia się na wielkiej liście bywa niekomfortowa i może prowadzić do demobilizacji.

Na co liderzy Lewicy i późniejszej Trzeciej Drogi nieustannie się powoływali, akcentując swoją zdolność i przyciągając kolejnych unikalnych elektoratów. W presji Tuska widzieli zresztą pragnienie nie tyle optymalizacji wyborczej, ile zdominowania partnerów, co było spójne z jego wizerunkiem politycznego drapieżnika. Zarazem liderzy mniejszych partii czuli się na tyle mocni, żeby nie obawiać się o przetrwanie.

I podobnie jest dzisiaj po prawej stronie sceny, tyle że w jeszcze większym stężeniu, bo o ile cztery lata temu Tusk miał prawo występować z pozycji rozdającego karty lidera opozycji, o tyle dzisiejszy Kaczyński w analogicznej pozie budzi już co najwyżej politowanie. Niemniej dający mu odpór liderzy Konfederacji używają niemal identycznych argumentów, jak cztery lata temu politycy Lewicy i Trzeciej Drogi.

Tymczasem po stronie koalicyjnej mechanizm wewnętrznej rywalizacji na dobrą sprawę został już wygaszony. Już dawno skończyło się podważanie pozycji Tuska, wskazywanie jego rozlicznych obciążeń i deficytów z dawnych czasów. Dzisiaj jest on po prostu jedynym gwarantem przetrwania całej wspólnoty demokratycznych partii.

W najbardziej rozpaczliwej sytuacji znajdują się środowiska wywodzące się z Polski 2050, których lider właśnie ewakuuje się do Watykanu. Bez znaczenia jest to, kto go zastąpi w fotelu lidera, gdyż mowa o formacji właściwie już nieistotnej. O statusie zbliżonym do tego, jaki posiadają wcześniejsi frondyści zgrupowani pod szyldem Centrum.

Bez zaplecza w postaci wyborców nie ma szans na śladową choćby podmiotowość i można co najwyżej zabiegać o łaskę możnowładcy. Lojalność grupowa zostaje wtedy rozluźniona, uruchamiają się strategie indywidualne. Można więc spodziewać się, że wprowadzeni przez Hołownię do Sejmu politycy zaczną na własną rękę szukać dojść do otoczenia Tuska, który na koniec wybierze sobie niczym rodzynki z ciasta co bardziej rozpoznawalne nazwiska.

Dużo lepiej wygląda pozycja przetargowa PSL, nawet jeśli ludowcy również nie mają większych szans na samodzielne przekroczenie progu. Ich elektorat od lat systematycznie się kurczy, co jest tendencją trwałą. Tracąc status partii wiejskiej, Stronnictwo stało się formacją trochę dla nikogo. Udział w obecnych rządach nie tylko tego nie zmienił, ale wręcz pogłębił problem niedopasowania.

Ludowcy zachowują jednak pewne atuty: pokoleniowo dziedziczone przywiązanie do szyldu, wciąż sprawną strukturę, wreszcie popularnego lidera. Inna sprawa, że dobrze oceniany w roli ministra obrony Władysław Kosiniak-Kamysz może mówić głównie o osobistym sukcesie, bo niewiele z tego wynika dla partii. Co było zresztą do przewidzenia, kiedy wywalczył dla siebie obszar tak bardzo odległy od potrzeb grup społecznych, do których PSL adresuje swój przekaz. Paradoksalnie w puli ministrów Stronnictwa najgorzej wypada akurat ten, który w pierwszej kolejności powinien chwalić się w kampanii sukcesami, czyli szef resortu rolnictwa Stefan Krajewski.

Jeszcze niedawno PSL szukał koalicjanta z podobnej kategorii wagowej. Głównie w środowiskach samorządowych, ale takie rozmowy zostały już wygaszone. Chyba nigdy nie był też na poważnie brany pod uwagę sojusz z Rozwojem Plus Mateusza Morawieckiego. W kierowniczych gremiach nieformalna decyzja właściwie już zapadła: ludowcy szykują się na wspólny start z KO. Oczywiście w układzie koalicyjnym, a nie na dostawkę na liście Tuska.

eprasa.pl 5016b9842e

Dzisiaj chodzi już o samą treść kontraktu z Tuskiem. Idzie o to, żeby wprowadzić do Sejmu co najmniej 15 posłów i mieć własny klub. To zapora przed rozpłynięciem się i wchłonięciem przez potężnego partnera. I najlepiej jeszcze, żeby to były konkretne nazwiska pozwalające zachować wewnątrzpartyjną sterowność. Diabeł tkwi więc w technicznych detalach, ale należy się spodziewać, że Tusk pójdzie partnerowi na rękę.

W tym kontekście mogą oczywiście zaskakiwać obecne zabiegi PSL na rzecz „resetu konstytucyjnego", które wywołują pomruki niezadowolenia w KO. Wszystko jednak odbywa się zgodnie z regułami sztuki. Dla części obecnych wyborców Stronnictwa alians z Tuskiem może być trudny do przyjęcia. Zanim więc do niego dojdzie, warto pokazać trochę niezależności i podbić cenę wejścia w alians z KO. Idea „resetu" jest w końcu spójna z wizerunkiem ludowców jako najmniej spolaryzowanego koalicjanta. Zresztą wszyscy wiedzą, że nie ma dzisiaj żadnych szans na wcielenie jej w życie.

A może jednak wielka lista całej koalicji? Do tego potrzeba jeszcze Nowej Lewicy i wszystko zmierza w tę stronę. Nawet jeśli w odróżnieniu od pozostałych mniejszych partii akurat to środowisko wciąż zachowuje jakieś pole manewru.

Jeszcze latem otoczenie Włodzimierza Czarzastego twardo stawiało na samodzielność. To się zmieniło po przedterminowych wyborach na prezydenta Krakowa, w których kandydatka Nowej Lewicy pomimo sporego zaangażowania środków dostała marny wynik i na domiar złego dała się wyprzedzić konkurentce z Partii Razem. Porażka była bolesna, wręcz można mówić o podcięciu skrzydeł. Już kolejny raz okazało się, że w miarę stabilne sondaże Nowej Lewicy nie znajdują odzwierciedlenia w wyborczych wynikach.

Bo też jest to stabilność dosyć pozorna. Pogłębione badania już od jakiegoś czasu pokazują, że sondażowe 6–7 proc. to nie tyle średnie poparcie, ile górny lewicowy pułap. Inaczej mówiąc, formacji Czarzastego boleśnie brakuje wyborców potencjalnych – tych jeszcze niezdecydowanych, ale rozważających oddanie na nią głosu. A to już zwiastuje ogromne problemy, bo przy powrocie masowej mobilizacji w najbliższej kampanii i poszerzeniu tortu o dodatkowe grupy wyborców (popierających głównie wielkie szyldy), ów stabilny lewicowy elektorat może się okazać nie dość liczny, żeby przeskoczyć ponad progiem. Wyrzucenie z Sejmu byłoby katastrofą nie tylko dla samej partii, lecz także dla całego obozu koalicyjnego.

Pewnie sporo w tym zasługi samego Czarzastego, który jako marszałek Sejmu zaczął wzmacniać twardą polaryzację, przebijając w tym nawet Tuska. Zwiększając własną popularność w elektoracie KO, czego nie należy mylić z realnym poparciem. Jednocześnie było to oddaniem pola Adrianowi Zandbergowi w rywalizacji o młodszych wyborców, którzy w większości już od Nowej Lewicy odpłynęli.



I proporcjonalnie kurczą się dzisiaj ambicje do bycia samodzielnym graczem. W szeregach partyjnych z tygodnia na tydzień narasta przekonanie, że ostatecznie trzeba się będzie dogadać z Tuskiem. Dla tych bardziej pragmatycznych, którzy myślą głównie o własnej reelekcji, taka perspektywa jest wręcz pożądana. Młodszych i bardziej ideowych – takich jak Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Magdalena Biejat czy Łukasz Michnik – już dużo mniej. Wspólny start z „libkami" to w końcu ostateczna abdykacja z traktowanej ambicjonalnie rywalizacji z Razem.

Poczucie realizmu mimo wszystko bierze jednak górę. Ma również znaczenie relatywnie silna pozycja negocjacyjna lidera, jego dotychczasowa lojalność i doskonałe relacje z Tuskiem. Ostatecznie Nowa Lewica powinna mandatowo zyskać na wspólnym starcie, dostając proporcjonalny udział w podziale nadwyżki wynikającej z ordynacji. Ale na takie rachuby jest jeszcze czas.

Paradoksalnie najbardziej zaniepokojony może się wtedy okazać terenowy aktyw KO. Konsolidacja unieważni wiele personalnych rachub, część obecnych posłów poczuje oddech nowej konkurencji w swoich okręgach. Chociaż nie ma mowy o otwartym sprzeciwie, bo autorytet „kierownika" jest tutaj niepodważalny.

Tymczasem Tusk toczy swoją grę i jeżeli nawet otwarcie nie mówi o wspólnej liście, jego ostatnie działania mieszczą się w tej logice. Bo budowanie wyborczych koalicji nigdy przecież nie sprowadza się do samej tylko arytmetyki. Równie istotny jest towarzyszący takiej operacji komunikat polityczny. Trzeba ją jakoś opowiedzieć: zdefiniować pozytywny cel oraz – co we współczesnej polityce jeszcze ważniejsze – wskazać wroga.

I najlepiej zacząć od zmobilizowania najtwardszego wyborczego rdzenia, który najchętniej się angażuje, wyzwalając pierwotną polityczną energię. Bez uzbrojonego w ten sposób zaplecza trudno później meandrować celem dotarcia do mniej oczywistych grup wyborców. Z tej perspektywy konfrontację o Trybunał Konstytucyjny można potraktować jako część szerszego planu politycznego, nieoficjalny początek kampanii.

Inna sprawa, że słabo oceniany premier właściwie nie ma innego wyjścia, jak konsekwentnie wchodzić w zwarcia i umacniać obraz wroga w obliczu kolejnego decydującego starcia o wszystko. Tylko tak można bowiem utrzymać do końca logikę politycznego stanu wyjątkowego, oddalając uwagę od własnych osiągnięć i niezrealizowanych obietnic. Tym bardziej przydatne będzie hasło „wszystkie ręce na pokład".

Tyle że w polityce każda decyzja ma swoje konsekwencje i ostatecznie nie można wykluczyć, że wyborcza konsolidacja rządzącej koalicji mimo wszystko zmobilizuje drugą stronę do podobnego ruchu. Tak czy inaczej wciąż byłby to jednak dla rządzącej koalicji scenariusz korzystniejszy od obecnego układu sił na scenie, który prowadzi do klęski. Coś na pewno musi się zatem zmienić i stanie się to już niebawem.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 5016b9842e

Dżymnięci

Polacy są coraz aktywniejsi fizycznie, na czym korzysta branża fitness. W designerskich klubach jest coraz więcej kobiet oraz powszechne oczekiwanie skrojenia treningu na miarę.

MARCIN PIĄTEK



Siłownie i kluby fitness ruszyły z marketingową ofensywą. Zima coraz bliżej, a masa i rzeźba przecież same się nie zrobią. Branża bardzo ostro bije się o klienta, oferując darmowy trening próbny albo promocyjne członkostwo na kilka miesięcy już za skromne 60–80 zł. Symbolem spektakularnego sukcesu stała się sieć Xtreme Fitness, która w ciągu paru lat rozwinęła się już do ok. 200 klubów, a jej współwłaściciel Łukasz Dojka biznesowe patenty oglądał od podszewki, gdy jeszcze jako nastolatek sprzątał siłownie w Stanach Zjednoczonych. Sieć ta działa w formule franczyzowej, ale niedawno przybyli jej na tym polu potężni rywale: Benefit Systems i Medicover Sport.

Do sieciówek należy ok. 30 proc. rynku. Reszta jest rozdrobniona, a między właścicielami klubów trwa walka o przyciągnięcie i zatrzymanie klienta. Jest się o kogo bić, bo w narodzie widać poruszenie. Jeszcze parę lat temu byliśmy w ogonie Europy, jeśli chodzi o regularną aktywność fizyczną. Ale idzie ku lepszemu. Według badań Eurostatu za 2025 r. codziennie ćwiczyło lub trenowało 16,4 proc. dorosłych Polaków (średnia unijna to 14,5). Jeśli chodzi o ćwiczących kilka razy w tygodniu, Polska była nieznacznie poniżej średniej.

Na wspomaganiu

„Siłka" brzmi swojsko, ale kojarzy się zanadto z wytatuowanymi *karkami* o złych spojrzeniach, *pizgającymi żelastwo* i prężącymi przed lustrem *muły*, z obowiązkowo wyeksponowaną linią *kabla*, którzy chcą dojść do *definicji*, czyli się *porobić* albo *wyciąć*, czego nie da się osiągnąć samym *pizganiem* wspomaganym *miską*, więc w zaufanym gronie wymieniają się praktycznymi informacjami, jaka *bomba* dobrze *klepie*, jak wyglądają cykle *deki*, *teścia* albo *insy*, na jakie *wyjebki* uważać, kto ma dojście do *undera*, no i wreszcie jak przejść *odblok*, żeby nie zaliczyć *zjazdu*.

– *Siłka w piwnicy kiedyś na dzielni to była siłka. Teraz się mówi „dżym", z amerykańska. Oficjalnie to klub fitness, ale to za długa nazwa, nie da się jej skrócić, bo jak zapytam o klub, to nie wiadomo, czy chodzi o nocny, komediowy czy swingersów* – śmieje się Maciek, który na jednym z warszawskich *dżymów* jest mniej więcej co drugi dzień i aktualnie znajduje się na dobrej drodze, żeby zbić parę kilo, bo ostatnio, przyznaje, nieco spuchł. – *Ale nie świruję, stając codziennie na wadze, bo Kacper* (trener – przyp. red.) *mi wytłumaczył, że dwa kilo w jedną albo w drugą, to się może zdarzyć* – powiada Maciek i zerka na smartwatcha, bo zaraz musi zacząć cykl ćwiczeń siłowych, tym razem na nogi; od Kacpra wie, że inwestowanie tylko w górę to prosta droga do tego, żeby wyglądać jak bocian.

Jeśli chodzi o bombę, czyli sztuczne wspomaganie, Maciek jest niezorientowany; wie tyle, że rekordy popularności bije teraz Ozempic. Zresztą to żaden koks, tylko lek przeciwcukrzycowy, którego efektem ubocznym jest utrata masy ciała. Na Ozempic jest taki popyt, że w aptekach brakuje go dla cukrzyków. Maciek mówi, że osobiście nie korzysta, bo Kacper go przestrzegł, że odroczone w czasie skutki łykania Ozempicu przez ludzi zdrowych są nieznane i lepiej uważać. – *Idę w suplementy: odżywki białkowe, kreatynę, witaminę D3, L-karnitynę* – zarzeka się Maciek. Ale czarny rynek sterydów trzyma się mocno. Gdy przed kilkoma

eprasa.pl 5016b9842e



tygodniami podczas zawodów w Anglii na scenie zmarł kulturysta Mateusz Chmura, portal sportowefakty.pl opublikował rozmowę z kardiologiem Łukaszem Małkiem, który stwierdził, że 30 proc. bywalców siłowni bierze sterydy. W komentarzach wyśmiano wyniki tych badań jako grubo zaniżone.

Jeden na jeden

W branży się mówi, że wiele zmieniła pandemia. I to na lepsze. Do ludzi dotarło, że czynnikiem sprzyjającym piorunującemu rozwojowi koronawirusa było fizyczne zaniedbanie, zwłaszcza otyłość. Poza tym upowszechnił się model pracy zdalnej. – *Kocham pracę zdalną* – mówi Bartek Surowy, który w Pabianicach ma klub pod nazwą Hybrid House na 600 m kw., a zaczynał od powierzchni 30 razy mniejszej ponad dekadę temu. – *Kiedyś miałem szczyty do dziesiątej i po piętnastej. Teraz zajęcia rozkładają się na cały dzień, nie ma dziur w grafiku. Bywa, że ktoś przychodzi z laptopem, odpala calla i jednocześnie robi trening.* Branża fitness, podobnie jak wiele innych, otrzymała też w pandemii duży zastrzyk finansowy w ramach różnych tarcz chroniących biznes przed upadłością. A kluby, które działały mimo zakazów – umiejętnie wykorzystując luki i absurdy w pisanych zwykle na kolanie przepisach – również wyszły na swoje.

Przez wszystkie przypadki odmienia się dziś personalizację, indywidualne podejście i zaopiekowanie klientem, więc biznes fitness musi odpowiedzieć. W klubach oczekiwany jest full serwis niekończący się na sprzęcie (np. sauna, element luksusu to kriokomora), wiele jest otwartych przez całą dobę, a obecny hit to treningi personalne, jeden na jeden, ewentualnie w kameralnych grupach, co najwyżej cztero-, pięcioosobowych. Plan układa się pod potrzeby klienta, składa grupę z osób „podobnych": możliwości, cele, z grubsza wiek, również profesja, bo ważne jest, żeby się poznali, złapali wspólny język, poczuli sobie nawzajem potrzebni – może wymienią się znajomościami, może rozkręcą wspólny biznes, a może po prostu będą się motywować do regularnej obecności na sali i zdejmą ten bat z trenera.

Dla wielu osób samo przekroczenie progu klubu fitness to już duża rzecz. – *Jedna klientka obserwowała nas w mediach społecznościowych od ośmiu lat, a formularz członkostwa wypełniała 11 razy* – śmieje się Bartek Surowy. Ludzie boją się ocen, spojrzeń, komentarzy, porażki w zderzeniu z fizycznym wyzwaniem. ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5016b9842e

▶ Nowoczesny sprzęt treningowy ich onieśmiela, a wstydzą się zapytać, jak go używać. Nawet gdy zajrzą do klubu, to szukają, co im nie pasuje, byle mieć wymówkę: „Spróbowałem, to nie dla mnie".

Dlatego gdy już się na ten pierwszy krok wreszcie zdecydują, muszą poczuć, że nie są traktowani jak bankomat, ale podmiotowo, a ekipa trenerów poświęci im czas i *know-how*. – *Najpierw jest wywiad: po co przyszedłeś, jakie masz cele, z jakimi problemami się mierzysz, co ci dolega. Potem pod tym kątem dobiera się trening, pomaga w ułożeniu diety, buduje świadomość zdrowego stylu życia. A jeśli trzeba, najpierw wysyłamy do fizjoterapeuty. Czasami od tego się zaczyna; miewam klientów, którzy wzbraniają się przed zapisaniem do klubu, a mają problem z zawiązaniem buta* – mówi Bartek Surowy.

Hyrox i reformery

Z obserwacji i doświadczeń trenerów – ludzie przychodzą na treningi, mając w głowie kłamstwa, czyli krążące w sieci zdjęcia bohaterów cudownych metamorfoz, składających się z samych mięśni, „wyciętych" do bólu. – *Są na ogół poprzerabiane albo zrobione w odpowiednim świetle, żeby wyeksponować to, co trzeba. Nie da się spędzać życia na kanapie, a potem nagle wyglądać jak instruktor fitnessu. Jak ktoś wyznaczy sobie nierealne cele, to potem za szybko się zniechęca. A ten współczesny kanon pięknej sylwetki – wyżyłowanej, wyciętej na maksa – jest niezdrowy. Trochę tkanki tłuszczowej jest jak najbardziej wskazane* – uważa Surowy. Jego zdaniem podejście „trzeba zrzucić wagę" jest niewłaściwe. – *To powinien być efekt uboczny. Nastawienie musi być takie: chcę regularnie ćwiczyć, żeby się lepiej czuć, być sprawniejszym, zdrowszym, pozbyć się bólu kręgosłupa, nadążać za dziećmi albo za wnukami. Wagę też się przy okazji zrzuci, a na pewno zmieni na korzyść proporcje mięśni do tłuszczu, poprawi sprawność i wydolność* – mówi.

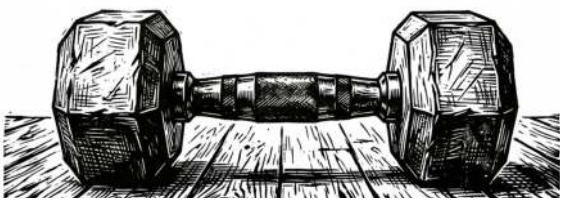
Klient zniechęcony, znudzony, niezmotywowany to klient potencjalnie stracony. Branża z największym dystansem podchodzi do tych styczniowych, bo wielu jedzie na słomianym zapale postanowień noworocznych; wypalenie murowane. Maciek zaczynał swoją przygodę z treningami w jednym z klubów sieciowych, kupił karnet na pół roku (styczeń–czerwiec). – *Im bliżej końca, tym rzadziej bywałem, w czerwcu to już chyba w ogóle. Niespecjalnie mnie namawiali na powrót: parę maili, jakaś oferta zniżkowa i tyle. Telefonów nie było. Tu jest inaczej. Jak mi się raz czy dwa zdarzyło nie przyjść, to Kacper od razu łapał za telefon i jeśli nie miałem dobrej wymówki, to mnie po prostu zjechał z góry na dół.*

Sztuką jest nie tylko zdobyć klienta, lecz go również utrzymać. Kluby aspirują więc do tworzenia własnych społeczności. Jakość treningów ma się bronić, ale liczy się także to, żeby stworzyć miejsce, do którego chce się wracać i zostać po zajęciach. Na kawce, na plotkach, dla poznanych tam ludzi. Bartek Surowy: – *Ludzie są przebodźcowani tym, z czym stykają się w internecie, zmęczeni porównaniami, pogonią za swoimi celami, które też z tych porównań wynikają. Przy okazji treningów chcą się wygadać, wyczyścić głowę. Czasami się śmiejemy, że musimy zróżnicować cennik: z psychoterapią i bez.*

Kto chce w tym biznesie się rozwijać, musi podążać za modą. A moda się zmienia. Jeszcze niedawno rządził crossfit, trening siłowo-wydolnościowy dający ostry wycisk. Miło się było pochwalić na socjalach albo przed znajomymi przejściem crossfitowego wyzwania, ale okazało się, że dla wielu to był na dłuższą metę trening ponad siły, niejeden pękł. Teraz, oprócz treningów personalnych, które obiecują progres i indywidualny monitoring, największy popyt jest na trening ułożony pod Hyrox (8 km biegu podzielonych na osiem odcinków, przerywanych ćwiczeniami funkcjonalnymi; oficjalne zawody Hyrox biją rekordy popularności, a za przywilej bycia afiliowanym klubem, w którym organizuje się tego typu oficjalne treningi, również z myślą o starcie w tych zawodach, trzeba płacić federacji Hyrox), pilates na reformerach (ćwiczenia na specjalnej ramie, wyposażonej w system sprężyn, lin i drążków) oraz trening EMS, polegający na elektrostymulacji mięśni za pomocą elektrod znajdujących się w stroju zakładanym przez ćwiczącego. Obowiązuje stara biznesowa zasada: kto się nie rozwija, stoi w miejscu.

Siłkosłowniczek

Bocian – góra mięśni na chudych nogach
Bomba – kuracja sterydowa
Definicja – uwidocznienie mięśni
Porobić się – pomyślnie osiągnąć definicję
Deka, insa, teść – nandrolon, insulina, testosteron; najbardziej chodliwe preparaty
Kable – uwypuklone żyły, zwłaszcza na bicepsach
Koks – sterydy anaboliczno-androgenne
Odblok – kuracja mająca na celu ponowne uruchomienie naturalnej produkcji testosteronu
Miska – dieta
Muły – mięśnie
Pizgać żelastwo – podnosić ciężary
Wyjebka – lewe sterydy, nieprzynoszące efektu
Under – sterydy z czarnego rynku, nielegalnie wytwarzane



Nie stać w miejscu

Zmienia się też fitnessowa społeczność. Tomasz, doradca branżowy: – *Nożyce wiekowe rozszerzają się w kierunku coraz starszych, w wieku emerytalnym plus. I mamy coraz więcej kobiet. Nikogo już nie dziwi widok kobiet ćwiczących siłowo, z obciążeniem, ze sztangami, w strefie booty, jak się ją z przymrużeniem oka nazywa* (ang. *beauty* – piękność, *butt* – pośladek – przyp. red.). *Bo taki trening służy modelowaniu sylwetki* – zauważa.

Przybywa również miejsc z myślą wyłącznie o kobietach. Agnieszka Krzyworuczka od roku prowadzi w Łodzi studio treningowe Women's Fit: – *Mam klientki w przedziale wiekowym 18–75. Duża grupa to kobiety w wieku 45 plus, czyli w okresie okołomenopauzalnym. Zmiany hormonalne, które wówczas zachodzą, wymagają indywidualnego podejścia i dostosowanego treningu* – mówi. Im więcej kobiet, tym lepiej dla biznesu. Bartek Surowy. – *Są bardziej zmotywowane, żeby podjąć treningi i bardziej zdeterminowane, żeby przy nich wytrwać. Faceci mają częściej wzloty i upadki, ciężko ich namówić na powrót, gdy wypadną np. z powodu przeziębienia. A czasem bierze u nich górę myślenie: zarabiam, haruję od świtu do nocy, nie muszę wyglądać.*

Z myślą o czułym kobiecym oku kluby przechodzą również zmiany estetyczne; miejsce nie może być po prostu jednym z wielu; powinno mieć swój klimat, jakiś wyróżnik, gdyż bywalczyni siłowni jest jednocześnie użytkowniczką mediów

eprasa.pl 5016b9842e

społecznościowych, gdzie chce wrzucać swoje fotki na ładnym tle. – *Ludzie czasami potrafią jechać po kilkanaście kilometrów, mijając po drodze kilka klubów, żeby poćwiczyć w tym, który jest modny, ma ładny design. Powiedzenie „wyróżnij się albo zgiń" jest w naszej branży bardzo na miejscu. W Stanach furorę robią kluby działające pod szyldem Discover Strenght, w których trenerzy są pod krawatem, jakby szli do biura* – opowiada Tomasz.

Z obserwacji Bartka Surowego: – *Mamy ludzi w wieku dwadzieścia parę, którzy dopiero startują w zawodowe życie. I starszych, wykonujących prace niewykwalifikowane, często trzyzmianowe, ale którzy wolą wydać kasę na trening niż na imprezę. Dociera, że ruch to zdrowotna prewencja, że każda złotówka wydana na aktywność fizyczną oznacza oszczędność kilku złotych wydanych potem na opiekę zdrowotną* – zauważa. Agnieszka Krzyworuczka: – *Przybywa klientek świadomych i zorientowanych, czego chcą. Wiedzą, że po trzydziestce zaczyna się spadek masy kostnej i mięśniowej, a po czterdziestce ten proces przyspiesza. Trening siłowy temu zapobiega.*

Penetracja rynku

Rynkowa walka między klubami sieciowymi i pozostałymi idzie przede wszystkim na ceny. Karty Benefit albo Medicover Sport stają się coraz powszechniejsze, bo firmy dokładają pracownikom do tego interesu. Miesięczny wydatek za stały dostęp do sieciowego klubu może zamknąć się wówczas w 60–70 zł. Te autorskie często wzbraniają się przed karnetami zapewniającymi dostęp o każdej porze; wolą sprzedawać udział w konkretnych zajęciach (indywidualnych albo w pakietach). Trening personalny to wydatek rzędu 80–250 zł za jedne zajęcia, cena zależy od wielkości miasta (i kosztów prowadzenia działalności), renomy klubu i trenera. – *Mam znajomych, którzy wydają na treningi personalne po 4–5 tys. miesięcznie. Dla mnie kosmos. Pół roku temu, gdy jeszcze chodziłem do sieciówki, gdzie też można umawiać się na indywidualne sesje, to był chyba wydatek rzędu 150 zł za jedne zajęcia. Trzy razy w tygodniu razy cztery tygodnie – 1800, też ponad moje siły. Z tego, co widziałem, większość ludzi odbija tam po prostu na wejściu aplikację, idzie na jakiś sprzęt, a jak ktoś potrzebuje fachowej porady, to trenerzy się kręcą, podpowiedzą* – mówi Maciek.

Sieciówki nie tylko mają swoje kluby (i zamierzają rozszerzać ich sieć, idąc we franczyzę), ale również wywierają presję na honorowanie swoich kart przez drobną konkurencję. Zwłaszcza w dużych miastach i aglomeracjach, gdzie dostępność klubów sieciowych jest duża, trudno oprzeć się pokusie, by nie wpuszczać posiadaczy kart. Z każdej takiej wizyty właściciel studia dostaje (w zależności od lokalizacji) kilkanaście–kilkadziesiąt złotych. – *Gdy poszło info, że otwieramy, w ciągu paru godzin wpadło ponad 400 zapytań od posiadaczy kart sieciowych. Ale uznałem, że w to nie wchodzę, nie chciałem przypadkowych ludzi. Albo masa, albo budowanie społeczności* – mówi Bartek Surowy.

Wiele jednak wskazuje na to, że umiejętnie zlokalizowany, wyskalowany i zaopiekowany fitbiznes się wyżywi. Tomasz mówi, że w Polsce jest 3 tys. gmin niemających na swoim terenie klubu z prawdziwego zdarzenia. A penetracja rynku (czyli stosunek użytkowników aktywnych do potencjalnych) to u nas zaledwie 9 proc. Tymczasem w Niemczech to dwa razy tyle, a w Szwecji prawie cztery. Branża uważa, że przed nią pięć–siedem lat hossy.

MARCIN PIĄTEK

REKLAMA



eprasa.pl 5016b9842e

Diss na Łatwoganga

KATARZYNA KACZOROWSKA

Najpierw była euforia i duma. Dzięki streamowi Łatwoganga cały świat dowiedział się, jak hojni i empatyczni są Polacy. A potem, jak to u nas, podejrzenia i oskarżenia.



Zebranie blisko 300 mln zł pod każdą szerokością geograficzną robiło wrażenie. „Jeśli tak samo chorujesz na raka jak ja, ten utwór jest dla ciebie. Jestem Maja i to jest moja trzecia wznowa i mam powody, żeby ciebie dissować" – tak zaczyna się piosenka, którą chorująca na białaczkę 11-letnia Maja Mecan zaśpiewała razem z raperem Bedoesem. „Diss na raka" szybko stał się wiralem, a twórca internetowy Piotr Łatwogang Hancke uruchomił stream w sieci: „Słucham 9 dni dissu na raka, żeby pomóc dzieciom z Fundacji Cancer Fighters". Maja to podopieczna tej fundacji. Akcja w mieszkaniu Łatwoganga trwała od 17 do 26 kwietnia do godz. 21.37. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania.

22 maja Piotr Hancke ogłosił nowy challenge. By zebrać pieniądze na leczenie chłopców chorujących na dystrofię mięśniową Duchenne'a, wyruszył rowerem z Zakopanego do Gdańska. Koszt terapii genowej w tej śmiertelnej chorobie genetycznej, dopuszczonej do stosowania w USA, ale nie w Polsce, to 12 mln zł. W czasie gdy w 52 godziny Hancke pokonał 660 km, zebrano prawie 20 mln zł na leczenie m.in. ośmioletniego Maksa Tockiego, czteroletniego Adasia, dwuletniego Wojtusia. Na mecie na influencera czekały tłumy. Znowu się udało.

Po tej zbiórce Piotr Hancke na kilka miesięcy wycofał się z aktywności. Wrócił niedawno z ogłoszeniem o pracę, które wywołało wściekłość aktywisty Jana Śpiewaka. Nazwał Łatwoganga „Łatwojanuszexem", bo w ogłoszeniu znalazły się wymagania stawiane asystentce lub asystentowi, którego Hancke chciałby zatrudnić, ale nie znalazła się informacja o zarobkach. No i clou: pracowałby na umowę-zlecenie, a nie na etacie. Do tej pory youtuber Hancke swoimi projektami zarządzał sam.

I jakby tego było mało, pod lupę trafiła Fundacja Cancer Fighters, beneficjent rekordowej w historii Polski zbiórki. Ogłoszono, że owszem, pieniądze są, ale szpitale ich nie dostają, a poza tym umowy przedstawiane im do podpisu są niekorzystne dla lecznic, podejrzane i obwarowane dziwnymi zastrzeżeniami. No więc jest sukces czy go jednak nie ma?

I się wylało

Na profilu Łatwoganga na Instagramie, pod rolką ogłaszającą jego powrót do aktywności, wyróżnia się pierwszy komentarz: „Tylko pozwólcie mu być po prostu LatwoGangiem jak zawsze, nie róbcie presji, że czekacie na jakąś kolejną mocną akcję i zbiórkę charytatywną. Nie róbcie z niego gościa od zbierania pieniędzy, tylko cieszcie się z jego kontentu. Nadejdzie pora, to ruszy jakąś akcję i spróbuje znowu nas zjednoczyć, a jak nie, to spoko i szanujmy to". A Fundacja Cancer Fighters dodała: „Ten, którego dobrze widzieć z powrotem".

Marek Kopyść, prezes fundacji, który sam był pacjentem onkologicznym, mówi: – *Piotr ma dostęp do wszystkich informacji na temat „Dissu na raka". I często o wielu rzeczach dowiaduje się jako pierwszy. Zależy nam, aby wiedział, jakie projekty omawiamy, czego dotyczą umowy, ilu dzieciakom już pomogliśmy. Ale to nie jest wiedza tajemna. My codziennie te informacje przekazujemy też naszym darczyńcom. Realizujemy misję wsparcia polskiej onkologii, a jednym z jej elementów jest informacja, na co wydawane są pieniądze, które nam powierzono.*

Z instagramowego konta Łatwoganga: „Gdzie rozliczenia, które zarzekaliście

eprasa.pl 501 [illegible] 9342e





Łatwogang po zakończeniu swej pierwszej akcji – zebrał niemal 300 mln zł dla dzieci z Fundacji Cancer Fighters. Obok: **w Gdańsku** (w żółtej kamizelce)**, dokąd dojechał na rowerze z Zakopanego. Dzięki tej jego akcji zebrano prawie 20 mln zł na leczenie chłopców chorujących na dystrofię mięśniową Duchenne'a.**

się fundacjo, że będą już po północy po streamie? Pół roku minęło i dalej nic, tylko wykorzystaliście Piotrusia i tyle", „Łatwo było im kłamać, jak trzeba było przytulić 300 mln zł. Ale jak już trzeba dopełnić swojego słowa, że się rozlicza, to nie zobaczymy kolejne 10 lat".

W tym samym czasie w Krakowie Cancer Fighters podpisała umowę z Uniwersyteckim Szpitalem Dziecięcym, przekazując 9 847 522 zł. To druga darowizna, bo wcześniej szpital dostał 1,2 mln zł. „Dary dla szpitali nie zdarzają się codziennie, a tak ogromne niemal wyjątkowo" – mówił na konferencji prasowej dyrektor USDK dr hab. Wojciech Cyrul, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. A Marek Kopyść dodał: „Mam jedno marzenie: aby żadne dziecko chore na raka nie musiało już nigdy gnać na drugi koniec Europy tylko dlatego, że w Polsce brakuje jakiegoś nowoczesnego sprzętu do badań".

Sprawnie i profesjonalnie

Katarzyna Pokorna-Hryniszyn, rzeczniczka i kierowniczka sekcji ds. PR Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie, opowiada: – *Pierwszy kontakt, zaraz po zakończeniu zbiórki, był ze strony fundacji. Pamiętam, że zbieraliśmy dane, opracowywaliśmy list, w którym chcieliśmy się zwrócić o wsparcie, ale to Fundacja Cancer Fighters szybko skontaktowała się z nami.* Piotr Makowski z fundacji wylicza, co krakowski szpital kupi za te pieniądze: sekwenator długich odczytów, pozwalający wykryć ukryte mutacje w komórkach nowotworowych; spektrometr monitorujący stężenie leków onkologicznych w organizmie; cytometr przepływowy pozwalający odróżnić zdrowe komórki krwi od komórek białaczki czy chłoniaka.

– *Kupiony będzie też mikroskop chirurgiczny z kamerą 4K/3D i robotycznym ramieniem. Wesprze neurochirurgów i chirurgów w usuwaniu guzów z milimetrową dokładnością* – podkreśla Makowski. I dodaje, że te miliony, które zasiliły konto krakowskiego szpitala, pozwolą też zaadaptować pomieszczenia do gammaterapii zgodnie z wymogami Państwowej Agencji Atomistyki, a doposażenie pracowni druku 3D w specjalną drukarkę da możliwość tworzenia fizycznych modeli kości lub narządów. – *Dzięki temu chirurg może zobaczyć dokładny model guza przed operacją i przygotować dopasowane szablony cięcia, skracając czas zabiegu i zwiększając jego bezpieczeństwo* – podkreśla.

Priorytety zakupowe ustalano z Fundacją CF. W szpitalu mówią wprost: współpraca z fundacją przebiegała sprawnie, profesjonalnie i w dobrej atmosferze. Umowa została wspólnie wypracowana i procedowana. – *Możemy śmiało polecić współpracę z Cancer Fighters* – uśmiecha się Katarzyna Pokorna-Hryniszyn.

Po spektakularnym sukcesie „Dissu na raka" fundacja powołała radę ekspercką. Na jej czele stanął prof. Krzysztof Kałwak z Przylądka Nadziei we Wrocławiu, znający Marka Kopyścia jeszcze jako pacjenta tej kliniki. W radzie są też Piotr Łatwogang Hancke i raper Bedoes 2115. Jest też radca prawny Michał Żukowski, były dyrektor działu prawnego Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, obecnie prezes Innteo, firmy wspierającej przedsiębiorców i jednostki naukowe w staraniach o dotacje i prowadzenie realizacji innowacji od pomysłu do wprowadzenia na rynek.

To Żukowski był zaangażowany w przygotowanie umów ze szpitalami i to ich treść w październiku znalazła się na czołówkach mediów, które zarzuciły CF, że mimo miesięcy od zakończenia rekordowej zbiórki wiele szpitali nadal czeka na obiecane środki, a pieniądze są na lokatach. CF oberwała też za długie i skomplikowane negocjacje dotyczące treści umów darowizn oraz zakresu finansowanych prac, m.in. modernizacji klinik czy zakupu sprzętu.

Część placówek zgłaszała zastrzeżenia co do formuły i zapisów proponowanych przez fundację, choć nieoficjalnie POLITYKA dowiedziała się, że te zastrzeżenia formułował tylko jeden szpital z kilkunastu, z którymi fundacja prowadzi rozmowy.

Zabezpieczyć darczyńcę

Michał Żukowski, pytany o te umowy, wzdycha: – *To ogromne pieniądze. Fundacja wcześniej nie dysponowała takimi środkami i słusznie zarząd uznał, że konieczne jest wsparcie ekspertów. Nie tylko medycznych, ale też takich, którzy znają procedury dotyczące tak dużych funduszy*. W jego ocenie standard umów darowizn, i to w tak newralgicznym obszarze jak zdrowie, jest niski. Dlatego uznano, że trzeba stworzyć nowe.

– *Zależy nam na zabezpieczeniu darczyńców, by w razie braku realizacji umowy można było dochodzić zwrotu przekazanych środków. Wszyscy wiemy, że szpitale mogą się znaleźć w sytuacji, kiedy komornik zajmie konta placówki. To oznaczałoby też zajęcie darowizny. I oczywiście de iure mówimy o pieniądzach fundacji, ale de facto to pieniądze całego społeczeństwa. To ogromne zobowiązanie* – podkreśla Michał Żukowski, który jest też ekspertem ds. KPO i funduszy unijnych Polskiej Federacji Szpitali.

Przekonuje, że w umowach negocjowanych ze szpitalami fundacja nie wprowadziła twardych zabezpieczeń typu gwarancja bankowa, ubezpieczeniowa, hipoteka czy zastawy rejestrowe. Ale wprowadziła inne: możliwość żądania zwrotu całości lub części przekazanych pieniędzy wraz z odsetkami oraz wartość zabezpieczenia do 120 proc. darowizny. Mechanizm mógłby zostać zastosowany m.in. przy ▶

© ARTUR ZAWADZKI/REPORTER, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, KAMIL GOZDAN/EAST NEWS

eprasa.pl 5016b9842e

▶ wystąpieniu przestępstwa, znaczącej zmianie zakresu inwestycji bez uzgodnienia z fundacją, istotnych brakach w dokumentacji lub poważnym naruszeniu innych warunków umowy.

– *Mam świadomość, że tworzymy nowy standard. To oznacza, że nie narzucaliśmy rozwiązań, ale rozmawialiśmy, jak je budować. Umowa ma zabezpieczać obie strony, a więc i darczyńcę. Czyli, powtórzę, całe społeczeństwo* – mówi Michał Żukowski.

Idą przelewy

Marek Kopyść: – *Zrobienie przelewu nawet na milion złotych to dziś kilka sekund. Ale zanim to nastąpi, fundacja musi wykonać tytaniczną pracę. Mówimy o 17 szpitalach w całej Polsce. Najpierw były więc spotkania, rozmowy i konsultacje. Gdy już wiedzieliśmy, jakie są potrzeby, zaczęliśmy omawiać je na Radzie Eksperckiej. To też wymagało czasu. Dziś mogę zapewnić, że pieniądze są już na kontach 13 szpitali, a 14. korzysta z tych środków za pośrednictwem fundacji. Kolejne przelewy będą realizowane w najbliższych tygodniach. Cały proces chcemy sfinalizować do końca br.*

Piotr Makowski potwierdza: – *Ponad 15 mln zł jest już na kontach klinik onkologicznych. Przekazaliśmy pieniądze szpitalom w Olsztynie, Białymstoku, Krakowie, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie, Zabrzu, Szczecinie, Kielcach, Bydgoszczy, Gdańsku i Warszawie. 28 października poszedł przelew na konto Szpitala Klinicznego im. Karola Jonschera UMP w Poznaniu – na kwotę 1 169 200 zł.* Podpisana jest już umowa na 20 mln zł na modernizację Kliniki Świętego Mikołaja w Szczecinie. Przelew ma wyjść na dniach. Na finiszu są też umowy z placówkami w Olsztynie i Białymstoku – łącznie na 32 mln zł.

– *Ważny dla fundacji jest też program grantowy w ramach akcji „Diss na raka" dla małych organizacji pozarządowych działających na rzecz dzieci i młodzieży z chorobami onkologicznymi. My też zaczynaliśmy jako mała fundacja, wiemy, co to znaczy walczyć o środki. I dlatego chcemy pomóc tym, którzy potrzebują wsparcia* – mówi Piotr Makowski. I dodaje, że na dwie edycje programu w latach 2027–28 fundacja przeznaczy łącznie 2 mln zł.

Zaangażowani i podejrzliwi

Dr Michał Kotnarowski, socjolog z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN i Narodowy Koordynator Europejskiego Sondażu Społecznego, przyznaje, że Polakom łatwo jest wchodzić w działania poza systemem z odruchu serca, w potrzebie chwili.

– *Można powiedzieć, że historycznie jest to nasza cecha narodowa, co zresztą doskonale było widać po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Ludzie organizują się oddolnie, sami, nie czekając na uruchomienie oficjalnych procedur. Stąd też tak ogromne zaangażowanie w różne zbiórki. Ale tym odruchom serca towarzyszy pewna podejrzliwość i łatwość, z jaką tej podejrzliwości się poddajemy* – mówi dr Kotnarowski i przywołuje badania poziomu zaufania.

– *W sondażu pytamy respondentów, czy uważają, że większości ludzi można ufać, czy też ostrożności nigdy za wiele. Ale też o to, czy uważają, że gdyby nadarzyła się okazja, większość ludzi próbowałaby ich wykorzystać, czy jednak starałaby się postępować uczciwie. I czy zdaniem badanego ludzie przede wszystkim służą pomocą innym, czy dbają o własny interes. I od 2002 r., a więc od kiedy Europejski Sondaż Społeczny jest prowadzony, szorujemy po europejskim dnie w każdym z tych trzech pytań* – przyznaje Kotnarowski. Za nami są tylko Grecy. Łatwo przychodzi nam zryw serca, ale i łatwo krytyka oraz podejrzenia o nieczyste intencje i ukryty przekręt.

– *Stąd ta fala krytyki dotycząca fundacji, podejrzenia, bo przecież zebrali miliony, a skoro ich nie wydali od razu, to na pewno jest tam drugie dno, choć – jak widać – nie ma. Polscy socjologowie przez lata tę naszą narodową podejrzliwość i antysystemowość tłumaczyli dziedzictwem zaborów. Dzisiaj – dziedzictwem pańszczyzny. Ale w międzynarodowych badaniach porównawczych mówi się raczej, że niski poziom zaufania społecznego jest pochodną tego, jak działają instytucje państwa. Na ile są sprawne, przejrzyste, postrzegane jako sprawiedliwe. I wreszcie kolejny nurt w socjologii przekonuje, że kluczowe są tu nierówności – im bardziej jesteśmy sobie równi, tym mniej jest napięć społecznych i większe zaufanie* – podkreśla dr Michał Kotnarowski.

Piotr Łatwogang Hancke na Instagramie ma 2 mln obserwujących. Dzięki jego akcjom zebrano ponad 300 mln zł tylko w jednej akcji. Fundacja Cancer Fighters, niezależnie od szpitali, z którymi podpisała umowy, pomogła już 389 podopiecznym i ich rodzinom. W maju, w trakcie rowerowej akcji Łatwoganga, na leczenie chłopców z dystrofią mięśniową zebrano 12 mln zł. Dzięki tym pieniądzom ośmioletni Maks Tocki z Dziurdziowa na Podkarpaciu dostał szansę na terapię w USA.

Łatwogang na swoim koncie na Instagramie komentował wtedy: „Brawo – 12 milionów, brawo, słuchajcie, wielkie serducha dla Was, piękna sprawa, Maks na pewno to ogląda albo potem obejrzy. Maks – masa miłości dla Ciebie, jesteś niesamowitym chłopakiem. Brawa dla Was!". Na metę w Gdańsku wyruszył także Maks z rodzicami. „Naprawdę bardzo dziękuję Łatwogangowi, na pewno go uściskam i przesyłam mu moc uścisków i życzę mu dalszych, dobrych rzeczy w życiu" – zapowiadał chłopiec.

Komentarze do komentarza

Diss to konwencja w muzyce rockowej oraz rapie; atak słowny kierowany w konkretną postać. Nazwa to rozwinięcie angielskiego słowa *disrespect*, czyli obraza. Wpis Śpiewaka na temat ogłoszenia o pracę, zamieszczonego przez Łatwoganga, był więc dissem, choć poza sferą muzyczną. Piotr Hancke w odpowiedzi na krytykę napisał: „Generalnie moja mama robiła ogłoszenie i może nad wyraz opisała wymagania. Ale rzeczywiście szukaliśmy asystentki/asystenta i to w gruncie rzeczy tyle. Widziałem, że niektórzy byli źli, że jest na umowę-zlecenie, ale no inaczej nie da się, żeby ktoś mógł pracować samodzielnie i działać w losowych godzinach. Ja nie mam twardego grafiku, więc dla mnie pracowanie z umową o pracę jest bez sensu". Wyjaśniał, że zatrudniony na zlecenie asystent jednego dnia mógłby pracować osiem godzin, innego trzy, a czasami w ogóle nie być potrzebny. Odniósł się też do kwestii wynagrodzenia, która tak rozjuszyła Śpiewaka: „Jeżeli chodzi o pieniądze, to płacę serio bardzo dobrze i zależy mi na tym, żeby, jak z kimś działam, dobrze mu się żyło, a nie żeby go wykorzystać. Ja staram się generalnie działać drużynowo i to w sumie tyle".

Jak łatwo się domyślić, posypały się komentarze do komentarza i do komentarza. Od „afery koperkowej", po bekę z tłumaczenia się z oczywistości, przez krótkie „mnie nie przekonał" czy „Aha, czyli zero konkretów odnośnie stawki, czyli stawka po prostu niska", „Łatwogang mógł po prostu podać widełki i inaczej to ubrać w słowa. Teraz pozostał niesmak", po „Dajcie mu spokój. Jak komuś nie pasują warunki, to niech szuka innej pracy".

Kiedy Łatwogang ruszy z kolejną akcją i kolejną zbiórką, dissu Śpiewaka już pewnie nikt nie będzie pamiętał.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 5016b9842e

Nikt nie rodzi się rodzicem

Gotowość przychodzi z czasem



wejdź na

www.gotowinarodzine.pl

Programy wsparcia | **Opieka żłobkowa** | **Urlopy dla rodziców**

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

FUNDACJA SHARE THE CARE

Kampania społeczna promująca rodzicielstwo realizowana przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej we współpracy z Fundacją Share the Care



Napięcie przy Energetycznej

Centra danych zasadniczo nam nie przeszkadzają. Dopóki nie powstają koło naszego domu, nie czerpią naszej wody, nie hałasują i nie ciągną naszego prądu.

NATALIA SAWKA

Dla wielu rodzin uciekających przed zgiełkiem Warszawy przepis na szczęście był prosty. Zmiana adresu na Piaseczno i sąsiedni Józefosław, a tam: cisza, ogródek i śmiech dzieci wracających ze szkoły. Sielanka się skończyła, gdy pojawiły się plotki, że w bliskiej okolicy powstanie coś wielkiego, a zaraz potem przyjechały koparki.

Pierwszym sygnałem ostrzegawczym była wycinka. – *Najpierw wycięto duże drzewa. Już wtedy powinna nam się zapalić czerwona lampka. Myślałem, że powstanie ujęcie wody, i na chwilę się uspokoiłem* – wspomina 60-letni Grzegorz Rudowski, jeden z organizatorów protestów. Później pojawił się płot. Sąsiedzi chodzili od domu do domu i pytali. Nikt nic nie wiedział. W końcu ktoś dokopał się do dokumentacji na stronie urzędu gminy. – *Centrum danych jest inwestycją, która wymaga pewnych konsultacji społecznych, a tu nie było nic* – mówi Iwona Omelańczuk, mieszkanka Piaseczna. I tak okazało się, że pod Warszawą wyrosną ogromne budynki, wypełnione rzędami serwerów. Maszyny mają pracować dzień i noc, a do tego potrzebują prądu i chłodzenia.

Mieszkańców najbardziej denerwuje, że o wszystkim dowiedzieli się za późno. Na tyle późno, że budowa jest już przesądzona, a prace zakończą się w 2029 r. Ich złość skierowała się w stronę władz.

– *Zastępca burmistrza powiedział, że przecież wszystko było w BIP. Tylko kto w wolnym czasie BIP przegląda?* – irytuje się Rudowski. Biuletyn Informacji Publicznej to nie jest gazeta, telewizja czy radio, że siadasz i rozumiesz, co napisali urzędnicy. A inwestycję opisano tam jako „centrum usług handlu elektronicznego i usług przetwarzania danych". Trudno oczekiwać, żeby ktokolwiek się domyślił, że w sąsiedztwie powstanie potężna serwerownia wyposażona w instalacje chłodzące.

Chmura za chmurą

Skala przedsięwzięcia jest imponująca, ale według mieszkańców w negatywnym tego słowa znaczeniu. Na obszarze

eprasa.pl 5016b9842e



Centrum danych Equinix, jeden z 45 takich obiektów w Warszawie i okolicach

© WOJCIECH KRYŃSKI/FORUM

ok. 45 tys. m kw. – powierzchni większej niż krakowski rynek wraz z Sukiennicami i Kościołem Mariackim – staną cztery wysokie na 25 m szare budowle. Tuż za płotem, zaledwie 35 m, stoją domy jednorodzinne. W promieniu krótkiego spaceru jest ich już 174. Kiedyś dla wiatraków wyznaczono minimalne odległości od zabudowań. W Polsce dla centrów danych limity nie obowiązują, bo brakuje przepisów, które trzymałyby serwerownie z dala od okien mieszkańców.

Jeszcze cztery dekady temu tętniła tu życiem fabryka Polkoloru, w latach 70. i 80. wypuszczała na rynek setki tysięcy kolorowych kineskopów do telewizorów. W 1987 r. do złożenia wizyty w zakładzie zaproszono ówczesnego wiceprezydenta USA (a w latach 1989–93 prezydenta) George'a Busha seniora. Polska strona chciała się pochwalić swoimi sukcesami. Kilka lat później zakład splajtował.

Dziś mało kto już pamięta, jak wyglądały kineskopy. Zastąpiły je komputery z ekranami cienkimi jak tekturka i dyskami połączonymi w jedną wielką cyfrową chmurę. I właśnie jedną z takich chmur postanowiono umiejscowić pod Piasecznem. A jedna chmura przyciąga drugą. Tuż obok, przy Okulickiego 7/9, w rejonie Biedronki i cmentarza, szykowana jest kolejna serwerownia. Kawałek dalej na zachód, w obrębie Bobrowca, wyrosną kolejne cztery hale.

Wokół stolicy trwa gorączka cyfrowej ziemi – na terenie aglomeracji działa już 47 centrów danych, a w kolejce do realizacji ustawiają się kolejne megaprojekty. Przeciwnicy ich budowy skrzykują się i wychodzą na ulice. Nie tylko w okolicach swoich domów. Protestowali pod Sejmem, a dołączyli do nich ludzie z odległego o ponad 300 km Bielska-Białej. Na transparentach pisali: „Najpierw ludzie, potem dane", „Dane płyną, woda znika".

Ogromne centrum danych o mocy 200 MW planowane jest na terenach po byłej fabryce Fiata. Pozakładowe tereny wykupiła spółka DL Invest Group. Kiedyś z fabryki w Bielsku wyjeżdżały samochody, w przyszłości staną tu przetwarzające dane maszyny. Mieszkańcy zastanawiają się, co zyskają na tej inwestycji, skąd popłynie woda oraz ile energii ten „wampir danych" będzie potrzebował. Bo fabryka, w odróżnieniu od tej, którą znali ich rodzice, nie będzie potrzebować tysięcy rąk do pracy, tylko prądu, miejsca i niezawodnego chłodzenia. „Ludzie widzą taki zmarnowany potencjał tego terenu" – mówi Magdalena Madzia, mieszkanka Bielska-Białej. Bo lepiej, gdyby powstała tu szkoła, przedszkole czy szpital.

Tylko dlaczego inwestorzy upodobali sobie właśnie Polskę? – *Jesteśmy stosunkowo nowym, jeszcze nieprzebranym rynkiem* – tłumaczy socjolog Bartosz Ślosarski z Uniwersytetu Warszawskiego. Chodzi także o przestrzeń: dostępność gruntów, na których można stawiać kolejne centra danych, i względnie stabilne warunki dla inwestycji. Ślosarski w tym kontekście przywołuje pojęcie „cyfrowego kolonializmu", czyli przenoszenia infrastruktury cyfrowej na nowe tereny, które dostarczają ziemię, energię i wodę.

Plusy ujemne

Protesty wybuchły z pełną siłą, bo mieszkańcy obawiają się hałasu (także w nocy), przerw w dostawach prądu, zwiększenia rachunków za energię, spadku wartości nieruchomości, zanieczyszczenia powietrza, wyspy ciepła, jednostajnego buczenia, a także infradźwięków, czyli dźwięków tak niskich, że znajdują się poniżej typowego zakresu słyszalności człowieka.

Inwestor centrum danych w Piasecznie zapewnia, że do granicy działki spełnione będą wszystkie obowiązujące normy hałasu, dodatkowo zastosowane zostaną ekrany akustyczne i żaluzje. – *W nocy urządzenia będą pracowały ze zmniejszoną wydajnością* – zapewnia Marcin Graczyk, rzecznik spółki Sien Real.

Kolejnym punktem sporu jest energia, bo serwerownia ma na nią gigantyczny apetyt. To rodzi też obawę przed wyłączeniami prądu. Inwestor nie podaje mocy IT (prąd, który trafia bezpośrednio do maszyn wykonujących obliczenia i trenujących algorytmy), ponieważ łączą go „ustalenia z partnerem biznesowym". Wiadomo, że przyłącze ma sięgać 70 MW. Inwestor zapewnia, że obiekt będzie efektywniejszy niż starsze serwerownie i nie będzie marnować prądu na „bezsensowne chłodzenie ponad miarę". Niezależnie od tego, jak nowoczesny będzie system chłodzenia, cała ta energia zamieni się w ciepło, które w ten czy inny sposób trafi do otoczenia. ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ Szukając jakichś plusów tej sytuacji, można podglądać, jak z takimi inwestycjami oswojono się gdzie indziej. Pojawiają się pomysły, by centra danych włączyć do miejskich sieci ciepłowniczych, jak w Danii, Finlandii i Szwecji. W Høje-Taastrup koło Kopenhagi centrum danych Microsoftu ogrzewa 6 tys. domów. Zdaniem Grzegorza Rudowskiego w Piasecznie zabrakło woli ze strony miasta: – *Jak pytaliśmy miasto o możliwości podłączenia, odpowiadali: „Po co?", „Na co?", „To kosztuje". Ta serwerownia mogłaby zaopatrzyć w ciepłą wodę całe Piaseczno, Józefosław i Julianów. A tak wszystko pójdzie w powietrze.*

Z punktu widzenia mieszkańców Piaseczna ten rachunek zysków i strat jest nierówny. – *Szkoła czy szpital przynoszą łatwo zauważalne korzyści dla społeczności, a centra danych mogą służyć użytkownikom na drugim końcu świata i tworzyć małą liczbę miejsc pracy* – zauważa w rozmowie z POLITYKĄ holenderski ekonomista Alex de Vries, założyciel serwisu Digiconomist, który analizuje negatywne skutki nowych technologii. – *Społeczność lokalna ma pełne prawo pytać o bilans zysków i strat. Gdy koszty, w postaci hałasu, obciążenia sieci czy poboru wody, skupiają się w jednym osiedlu, a zyski są rozproszone po globalnej chmurze, korporacje nie mogą oczekiwać, że sąsiedzi przyjmą ich obecność bez słowa sprzeciwu* – dodaje.

Opór wobec centrów danych nie jest tylko polskim zjawiskiem (POLITYKA 41). Według tegorocznego badania Gallupa, jednej z najbardziej znanych amerykańskich firm sondujących opinię publiczną, siedmiu na dziesięciu Amerykanów sprzeciwia się ich budowie w swojej okolicy, a niemal połowa jest temu zdecydowanie przeciwna. Do protestów przeciw podobnym inwestycjom dochodziło m.in. we Francji, w Austrii i Holandii. W Dublinie problemem stało się ogromne zapotrzebowanie centrów danych na energię. Nie zakazano budowy nowych centrów, ale ograniczono możliwość podłączania kolejnych obiektów do sieci energetycznej.

Bitwa o wodę

Największe emocje budzi jednak woda. A raczej strach przed jej brakiem. W podwarszawskich Regułach (gmina Michałowice) powstaje megaprojekt amerykańskiej firmy Hillwood. Aktywiści Miasto Jest Nasze alarmują, że oprócz tego, że gigant będzie zużywać tyle prądu co 300-tysięczne miasto, czyli np. Bydgoszcz, to jeszcze do jego chłodzenia będzie trzeba zużyć ogromną ilość wody. Skąd miałaby pochodzić? Z Wisły, której poziom podczas letnich susz spada do rekordowo niskich wartości. Warszawskie wodociągi potwierdzają, że to właśnie z tej rzeki ma być dostarczana woda. Przy czym zaznaczają, że faktyczne zapotrzebowanie zależy od sposobu chłodzenia, a inwestycja nie wpłynie na dostawy wody do okolicznych mieszkańców. Inwestor w przesłanym mailu zapewnia POLITYKĘ, że nadal analizuje technologie chłodzenia, które pozwoliłyby to zużycie wody ograniczyć.

Mieszkańcy zadają sobie pytania, co się stanie, gdy przyjdzie kolejna susza, czy wody starczy dla wszystkich? W maju burmistrz Piaseczna Daniel Putkiewicz apelował, by ograniczać zużycie wody, zwłaszcza przed godz. 22. Mieszkańcy pisali, że w ciągu dnia na niektórych obszarach ciśnienie było tak słabe, że ani pralki, ani zmywarki nie da się załączyć, więc pranie trzeba robić późną nocą lub nad ranem. Prezes Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji (PWiK) Paweł Wojciechowski w rozmowie z POLITYKĄ odpiera zarzuty: – *Na początku roku przebiło się do przestrzeni publicznej hasło, że nie ma wody, a woda jest. I teraz wszyscy biją w ten bęben. Tylko nigdzie nie pada konkret. Kiedy prosimy, by mieszkańcy podali adres, to odchodzą na pięcie.*

Dodaje, że spadki ciśnienia od marca do maja były spowodowane dużą awarią sieci i pogodą. Najgorzej zrobiło się w majówkę. Temperatura przekroczyła 30 st. C, mieszkańcy wrócili z wyjazdów i – jak przypuszcza – niemal jednocześnie ruszyli podlewać ogródki. Pobór wody gwałtownie wzrósł, a ciśnienie w sieci spadło.

Tyle że jeszcze kilka tygodni wcześniej, przez cały letni sezon, spółka informowała o czymś innym. Iwona Omelańczuk policzyła, że wodociągi od czerwca do sierpnia zamieściły na Facebooku aż 18 ostrzeżeń o suszy hydrologicznej. We wpisach pojawiały się apele o racjonalne gospodarowanie wodą. – *PWiK prosił, żeby rozsądnie używać wody, i zawiadamiał o problemach z ciśnieniem. Od kiedy sprzeciwiamy się budowie, PWiK przekonuje, że wody jest dużo i nie ma żadnych problemów* – mówi Omelańczuk. A jeśli stanie serwerownia, to wody będzie jeszcze mniej, bo wytworzy się lej i wysuszy lokalne ujęcia.

W dokumentacji mieszkańcy wyczytali, że obiekt będzie potrzebował aż 286 m sześc. wody na dobę – tyle, ile zużywa 3 tys. mieszkańców. Prezes PWiK Paweł Wojciechowski i rzecznik spółki Sien Real Marcin Graczyk wyjaśniają, że 286 m sześc. to jedynie wyliczenie dla chwilowego poboru na cele przeciwpożarowe. Inwestor zapewnia, że maksymalne zużycie będzie wynosić tylko 55 m sześc. na dobę. Ta wartość dotyczy wszystkich czterech budynków. – *Serwery chłodzi układ w obiegu zamkniętym, bez stałego poboru wody, więc upał nie będzie miał wpływu na zużycie wody dla chłodzenia. Obiekt został zaprojektowany zgodnie z praktykami promowanymi przez europejski Kodeks efektywności energetycznej centrów danych* – odpowiada lakonicznie Graczyk.

Jak na serwerownię, to zaskakująco mało, zwłaszcza w porównaniu z gigantami w USA. Serwerownia Google w The Dalles w Oregonie w 2024 r. zużyła 550 mln galonów wody z miejskich wodociągów, co w przeliczeniu daje średnio 5,7 tys. m sześc. na dobę. Przy tej skali 55 m sześc. w Piasecznie wygląda jak kropla w morzu.

Opóźnione prawo

Serwerownie ukrywają lub bardzo niechętnie ujawniają dane dotyczące zużycia wody i energii, zasłaniając się tajemnicą biznesową lub technikaliami. Poprosiliśmy inwestora o pokazanie dokumentacji technicznej i wyjaśnienie, co się kryje pod określeniem „zamknięty układ chłodzenia". Rzecznik odpowiedział, że w obiegu systemu jest woda lodowa pod ciśnieniem, która krąży między serwerownią a dachem, gdzie jest chłodzona poprzez system skraplaczy (chłodnica z wentylatorami) i wraca do serwerowni. Dodał, że nie dochodzi do ciągłego poboru ani zrzutu wody do środowiska. Dokumentacji nie udostępnił.

Sytuację komplikuje fakt, że polskie prawo nie nadąża za rozwojem technologii. Nie definiuje wprost takich inwestycji – są traktowane jako specjalistyczne nieruchomości komercyjne. Brakuje dla nich także odrębnej kategorii w przepisach o planowaniu przestrzennym, co wymusza indywidualną interpretację każdego przypadku. Stąd rozgoryczenie i zaskoczenie mieszkańców. Napięcie w Piasecznie nie opada, a przy Energetycznej już pracują koparki. Postęp, który przychodzi zbyt szybko, zbyt blisko i zbyt głośno, trudno polubić.

NATALIA SAWKA

eprasa.pl 5016b9842e

Kobieta zagubiona

On ma tatuaż z jej podobizną. Ona na prawej dłoni w miejscu obrączki wytatuowała sobie jego imię Krystian i serduszko. Po zaginięciu i śmierci Emilii Koprowskiej mnożą się teorie spiskowe i oskarżenia pod adresem męża.

AGATA SZCZERBIAK



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Po raz ostatni miejski monitoring zarejestrował jej wizerunek w niedzielę 30 sierpnia o godz. 19.43 w Darłowie. Kamery uchwyciły moment, jak wysiada z taksówki przy aquaparku. Jest zapłakana. Chwilę wcześniej zwierzała się kierowcy, że pokłóciła się z mężem, z którym brała udział w festiwalu techno „ZEW Wydm". Wspominała, że boi się, że odbiorą jej syna. W trakcie prowadzonego śledztwa ustalono, że o godz. 22.40 jej telefon został wyłączony. Ciało odnaleziono 77 dni później, niedaleko jeziora Kopań. Znajdowało się w kępie krzewów czarnego bzu, kilkaset metrów od najbliższej wsi. Prokuratura wstępnie ogłosiła, że to samobójstwo.

•

Martyna, koleżanka: – *To była osoba pełna życia, roztaczała wokół siebie taką ciepłą aurę. Towarzyska, poznawała mnóstwo ludzi. Pisała do mnie dwa dni przed zaginięciem, że chce pogadać. Wiadomość wpadła do spamu. Odpisałam w poniedziałek po południu, ale już tego nie odczytała.* I dodaje: – *W Koszalinie wszyscy gadają o tej sprawie. Większość jest przekonana, że zawinił mąż.* Chciałaby pozostać anonimowa, bo – jak mówi – „mąż Emilii to nie jest milutki człowiek" i nie chce, żeby powiązał ją z tą wypowiedzią. Emilia mieszkała w Koszalinie, dokąd przyjechała na studia, ale pochodziła z Trzebielina, wsi pod Słupskiem. Przez kilka lat szyła ozdoby do domu. Zasłony, poszewki na jaśki, ozdoby świąteczne. Później założyła firmę zajmującą się montażem okien, drzwi, bram garażowych i pergoli. Planowała jeździć zawodowo Boltem, żeby dorobić. Kupiła w tym celu samochód. W trakcie ponad dwumiesięcznych poszukiwań minęły jej 37. urodziny. – *Wystarane, wyczekiwane dziecko* – mówi o synu Emilii Anna, jej znajoma z czasów pierwszego małżeństwa. Ma to być koronny dowód na to, że jako matka nie mogłaby się targnąć na własne życie. Bracia Jerzy i Piotr też podkreślali, że Emilia jest „bardzo dobrą osobą" i kochającą matką.

Agata, jedna z przyjaciółek: – *Emilia była bardzo wrażliwa. Przeżywała tak samo mocno szczęście, jak i nieszczęście.*

•

Najgorzej o Emilii wypowiadał się mąż. Kiedy tuż po zaginięciu rodzina przyjęła postawę „nie pchamy się przed kamery, chcemy tylko znaleźć siostrę i córkę", Krystian Koprowski rozpoczął *tour* po popularnych kanałach na YouTube typu *true crime*. Pierwszy wywiad z nim ma ponad milion wyświetleń. W rozmowie przeprowadzonej dla „Zbrodni Ikara" wspomina, że Emilia miewała „fochy" o „zwykłe pierdołki" i bywała zazdrosna – często bez ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ powodu. We wspólnej firmie głównie „siedziała i czekała", choć prosił ją, by odciążała go w pracy. Miała być impulsywna i nieprzewidywalna. „Emilia potrafiła bardziej pokazać swoją osobę jako niewinną i wskazywać na mnie jako winnego. I to nieraz" – narzekał. „Miała wybryki. Nieraz wzywałem policję, by bezpiecznie opuścić mieszkanie" – dodawał. Dziś odmawia rozmowy, przekazuje redakcji jedynie krótkie oświadczenie, w którym stwierdza m.in., że „nie chce, żeby ostatnie wydarzenia i okoliczności odejścia [żony] przesłoniły mu obraz kobiety, którą kochał".

Poznali się na portalu dla introwertyków w 2024 r. Emilia wydała mu się „typową bibliotekarką" – kulturalną, dobrze wychowaną, nieużywającą wulgaryzmów i ładnie się wysławiającą. Po roku wzięli ślub cywilny. Po krótkiej uroczystości zjedli obiad w McDonaldzie, a wieczorem impreza. On ma tatuaż z jej podobizną. Ona na prawej dłoni w miejscu obrączki wytatuowała sobie imię męża Krystian i serduszko. – *Nie wiem, czy była bardziej zakochana, czy bardziej uzależniona od Krystiana. Na pewno był jej całym światem* – mówi Agata, przyjaciółka Emilii. Pamięta ich kłótnie i to, że po tych pierwszych Emilia przyjeżdżała się do niej wypłakać. – *Jakoś w maju, czerwcu 2025 r. pojawiła się u mnie zapłakana. Powiedziała, że Krystian ją spoliczkował. Widziałam ślady na jej twarzy. Potem w lipcu wzięli ślub. W lutym 2026 r. wysłała mi zdjęcie z siniakiem* – opowiada. Pokazuje na telefonie Emilię z fioletowożółtą opuchlizną pod prawym okiem. Dodaje: – *Próbowałam ją przekonać, że powinna coś z tym zrobić, bo związek nie powinien tak wyglądać. Ona nigdy nie zgłosiła tego na policję. Miała problemy ze zdrowiem psychicznym, mówiąc oględnie.* „Emilia często siniaki miała z tego, co robiliśmy na co dzień. Jazda rowerem, taniec, pole dance, wygłupianie się. Dla nas to były normalne siniaki" – tłumaczył się we wspomnianej rozmowie jej mąż, zapytany o plotki na temat przemocy fizycznej w ich związku.

•

Od kilku miesięcy nie mieszkali już razem. – *Mimo sytuacji z mężem było wiele innych rzeczy, z których Emilia była zadowolona. Kupiła sobie auto bez żadnej pomocy, wynajęła mieszkanie. Wydaje mi się, że w tamtym momencie była pozytywnie nastawiona do życia, chociaż wcześniej bywały różne momenty* – wspomina Agata. Na zakończenie sezonu wakacyjnego, w ostatni weekend sierpnia w nadmorskim Darłowie odbywał się festiwal techno „ZEW Wydm". Dla Emilii to był czas, kiedy jej syn był u swojego ojca, więc zamierzała wybrać się do mamy. O godz. 19, rozmawiając z przyjaciółką, jeszcze potwierdzała te plany. O północy w nocy z piątku na sobotę była już z Krystianem w Darłowie.

Teren festiwalu leży bezpośrednio przy szerokiej piaszczystej Plaży Wschodniej, którą oddziela od lądu pas wydm. Zielono było tu jeszcze pod koniec sierpnia. W listopadzie przy wejściu nr 11, gdzie brakuje zwartej zabudowy osłaniającej od wiatru przy silniejszych podmuchach, odczuwalna temperatura jest znacznie niższa niż w centrum Darłówka.

W niedzielę 30 sierpnia to tu miała się rozpocząć ich ostatnia awantura. Jeden z gapiów, który zauważył ich później na parkingu, opisywał kłótnię tak: „Przystanąłem, bo mężczyzna chodził nabuzowany, a kobieta krzyczała, i chciałem ocenić sytuację, czy interweniować, czy nie. Z treści rozmów wynikało, że on ją zdradził, być może podczas tego festiwalu. Krzyczała, że tylko półtorej godziny jej nie było. Leciały inwektywy w obie strony. Ona cały czas z dystansem do niego, jakby z obrzydzeniem i poczuciem krzywdy. On wte i wewte łaził, jakby sam nie wiedział, co dalej. Po paru minutach ona się oddaliła, on łaził nerwowo obok tych aut. Widząc, że ona się oddala, przestałem obserwować całe zajście".

Mąż miał wtedy uszkodzić zaparkowany samochód Emilii, odkręcić koła, urwać klamki i zniszczyć lusterko. Na parkingu, gdzie stał jej samochód, pozostało odkręcone koło.

Po rozstaniu z mężem przez kilka godzin Emilia spacerowała po centrum miasteczka, gdzie skupia się główna baza gastronomiczna, sklepy i rozrywka kurortu. Z 70 kamer w mieście działało tylko kilka. Te, które działały, zarejestrowały Emilię idącą szybkim krokiem i rozmawiającą przez telefon. Wieczorem z centrum miasta Emilia przejechała taksówką pod hotel Jan i przynależący do niego aquapark. Była godz. 19.43. I od tego momentu zaczyna się gdybanie. Prawdopodobnie przeszła przez parking, na którym stało jej uszkodzone auto, a następnie na wzniesienie w stronę terenu festiwalu. Dalej nie ma już monitoringu miejskiego ani hotelowego, więc nie wiadomo, którą odnogą poszła. Ale kierunek był taki, że szła z zachodu Darłowa na wschód. Na wschód od wejścia nr 11 plaża staje się coraz bardziej dzika i mniej uczęszczana, ciągnąc się w stronę miejscowości Kopań. W oddali po tej stronie widać na horyzoncie nadmorskie farmy wiatrowe.

Przez cały ten czas była w kontakcie z mężem. Po sieci krążą screeny wiadomości, które wymieniali. Jeśli są wiarygodne, to ona zapewnia go, że nigdy nie zdradziła. On odpowiada: „Jakby komukolwiek na tobie zależało, to może by cię szukał". W kilku ostatnich wiadomościach pisze: „Kocham cię, nie znajdą mnie". „Tak musi być". „Żegnaj". O godz. 22.40 iPhone Emilii przestał się logować do sieci i został wyłączony.

•

Rodzina mówiła, że najgorszy dla nich scenariusz to powtórzenie sprawy Iwony Wieczorek i koszmarna niewiedza na lata. Zaginięcie maturzystki w 2010 r. tak silnie wpłynęło na nasze wyobrażenia o tym, jak tragicznie mogą wyglądać poszukiwania zaginionych, że stało się punktem odniesienia do wielu podobnych spraw.

Oficjalne zgłoszenie o zaginięciu Emilii Koprowskiej wpłynęło na policję dwa dni po ostatnim kontakcie z nią. Przeczesywano plaże, wydmy, pola uprawne i okolice jeziora Kopań. Byli i wolontariusze, i biuro detektywistyczne Krzysztofa Rutkowskiego, który sprowadził do poszukiwań helikopter. Pojawiło się pytanie: co robi policja i czy też używa nowoczesnego sprzętu? – *Lato, wysoka roślinność, zarośla, to wszystko istotne przeszkody w trakcie przeszukiwań. Dlatego konieczne jest używanie termowizji* – tłumaczy detektyw Maciej Szuba.

Poszukiwanie osoby zaginionej z użyciem termowizji polega na wykrywaniu różnic temperatury za pomocą kamer na dronach lub urządzeniach ręcznych, co przyspiesza sprawdzanie rozległych obszarów po zmroku i na otwartym terenie, łąkach i nieużytkach. W ten sposób można przeskanować duży rejon z powietrza i naprowadzić patrole piesze w odpowiednie miejsca.

Około dwóch tygodni po zaginięciu Emilii przypadkowa osoba znalazła na plaży w Darłowie jej iPhone'a. Jeszcze tydzień później (w drugiej połowie września), na polu ok. 2 km od miejsca festiwalu, rolnik odnalazł jej plecak z rzeczami osobistymi i kluczami. „Do tej pory udało się dotrzeć do części danych w telefonie

eprasa.pl 5016b9842e



należącym do Emilii Koprowskiej. Nadal nad jego zawartością pracują specjaliści. Nie mogę przekazywać informacji o zakresie ujawnionych w telefonie danych" – mówi prokurator Ewa Dziadczyk. Oba znaleziska wywołały burzę spekulacji – zarówno bliscy, jak i obserwatorzy sprawy zastanawiali się, dlaczego rzeczy zostały rozrzucone w różnych miejscach i czy ktoś ich tam nie podrzucił. Na razie nie znamy odpowiedzi na te pytania.

Ciało „w stanie znacznego rozkładu" odnaleziono niedaleko jeziora Kopań, kilkaset metrów od najbliższej wsi. Prokurator Ewa Dziadczyk: – *Nie będę przekazywała informacji o szczegółach zwłok, wyglądu, pozycji nie tylko z uwagi na dobro postępowania, ale również ze względu na poszanowanie godności zmarłej. Na razie nie jesteśmy w stanie podać przyczyny śmierci, najbardziej prawdopodobną wersją jest powieszenie się.*

Na zwłoki natknął się spacerowicz. Policja z Koszalina nie szukała w tym miejscu, bo skupiła się na okolicach festiwalu. Jeśli utrzyma się wersja o samobójstwie, to oznacza, że Emilia poszła 8 km dalej – tam, gdzie są krzaki, trawy, w odosobnione miejsce. Równolegle do działań w terenie toczył się spór w mediach i internecie (powstały grupy liczące dziesiątki tysięcy członków), wiele osób nie wierzy w wersję, że kobieta nocą mogła przemierzyć sama tyle kilometrów w nieznanym terenie, rozrzucając po drodze swoje rzeczy. – *To była aktywna, wysportowana osoba. Byłaby w stanie przejść ten kawał drogi, tym bardziej w nerwach* – mówi jej przyjaciółka.

Detektyw Maciej Szuba: – *Samobójstwo poprzez powieszenie można popełnić w różnych i śmiesznych, i dziwnych miejscach. – Mamy samobójców, którzy w bardzo nietypowy sposób odbierają sobie życie. Świadomie wybierają trudno dostępne miejsca, pozbawiają się przedmiotów, które ich łatwo identyfikują. Z drugiej strony trudno dostępne miejsce, w którym odnaleziono panią Emilię, byłoby też korzystne dla sprawcy, dlatego trzeba poczekać na wyniki badań medyczno-sądowych* – mówi kryminalistyczka dr Joanna Stojer-Polańska. Wątpliwości internetowych detektywów budzi też to, że Emilię znaleziono dopiero po 77 dniach, choć w okolicy wczesną jesienią prowadzono prace rolne. – *Są takie sprawy, gdzie podczas poszukiwań zwłok nikt nie zauważył. Ani nie poczuł. Rozchodzenie się zapachu rozkładającego się ciała też podlega pewnym regułom. On odbija się od niektórych przeszkód, czasem jest niewyczuwalny, bo np. następuje jakiś rodzaj mumifikacji ciała. Ale na pewno nie jest wyczuwalny non stop, jak nam się wydaje* – tłumaczy.

•

Prokuratura jeszcze przed odnalezieniem Emilii wszczęła śledztwo w kierunku znęcania się skutkującego targnięciem się na własne życie. – *To nietypowa, ale bardzo dobra decyzja, że sprawa od razu otrzymała taką kwalifikację prawną. W przypadku zaginięć rzadko wszczyna się postępowanie karne, ponieważ zazwyczaj brakuje na to twardych dowodów i śladów materialnych* – dodaje dr Joanna Stojer-Polańska.

Ale udowodnić przemoc psychiczną, której skutkiem ma być targnięcie się na własne życie, jest już trudno. W zasadzie nie ma w Polsce takich skazań. O przestępstwach tego typu mówi się, że to „ciemna liczba". Na pewno mają miejsca, ale to zdarzenia nieudowodnione. W przypadku Emilii Koprowskiej pojawia się także problem z badaniem tkanek miękkich, na których mogłyby być ślady jakichś obrażeń. Bo ich już nie ma. A cyfrowe dowody przemocy psychicznej bywają łatwo podważane. Słowa, które brzmią jak groźba, w trakcie procesu bywają tłumaczone żartem, specyficznym stylem relacji i dystansem obu stron. Jeśli jednak powtarza się schemat – kolejna awantura i podobne wiadomości, po których wszystko zawsze wraca do normy – to taki kontekst paradoksalnie „osłabia wartość dowodową tych treści".

•

– *Pozytywne wnioski z tej sprawy są takie, że odnalezienie jest możliwe. Duże zaangażowanie, różnorodność metod poszukiwawczych oraz szerokie zainteresowanie medialne wyraźnie zwiększają na to szanse. Oczywiście pewne działania prywatnych podmiotów mogą utrudniać sprawę, jak chociażby wyznaczanie nagród połączone z kontrowersyjnymi apelami Krzysztofa Rutkowskiego, by nie powiadamiać w pierwszej kolejności policji. Najważniejsze jest jednak utrzymywanie uwagi wokół sprawy i pokazywanie zaginięcia jako problemu, który wymaga rozwiązania. I poszukiwania aż do skutku* – podsumowuje kryminalistyczka.

Podtrzymywanie zainteresowania sprawą Emilii Koprowskiej było prostsze, bo należała do grupy zaginionych, którym bardziej współczujemy: młodych kobiet. Kobiety stanowią też ogromną część odbiorców mediów, szczególnie treści kryminalnych. Historia zaginionej rówieśniczki wywołuje silny lęk, myśli się wtedy: to mogłam być ja, moja siostra albo córka. Podczas gdy zaginięcia mężczyzn częściej kojarzone są – nierzadko stereotypowo – z wypadkami, pracą, uzależnieniami czy celową ucieczką, zniknięcie kobiety z „dobrego domu", matki, odbierane jest jako nagły, tajemniczy dramat. Trudno uwierzyć, że to mogła być jej decyzja. Pewnie przytrafiło jej się coś złego. Ktoś zły.

AGATA SZCZERBIAK

eprasa.pl 5016b9842e

Operacje objazdowe

Sondaże wskazują, że większość społeczeństwa chce usunięcia patologii z publicznego lecznictwa. Jednak grupy, których interesy mogą zostać naruszone, zapowiadają twardą walkę ze zmianami. W tej rozgrywce zakładnikami będą pacjenci.

JOANNA SOLSKA

Najgłośniej usunięcia „patologii" żądają politycy. Krzysztof Bosak z Konfederacji wybrał się nawet do Gorzowa Wielkopolskiego z grupą zwolenników i z transparentami „Złodzieje!", uznając tamtejszy szpital za siedlisko zła, ponieważ zatrudnieni tam lekarze zarabiają bardzo dużo. Akcję szeroko rozpropagował w sieci, nie przejmując się wezwaniem do odwołania nieprawdziwych wiadomości; wysokich zarobków nikt tam nie kradnie, lewych faktur się nie wystawia, szpital nie ma długów. Katarzyna Sójka, ministra zdrowia w dwutygodniowym rządzie PiS, nie zainteresowała się „kominiarzami" we własnym okręgu wyborczym, protestuje przeciw patologii w innym.

Gotowość do reform zadeklarowała Naczelna Izba Lekarska, której szef niedawno ogłaszał, że „z lekarzami jeszcze żaden rząd nie wygrał". Zmianom ustawowym, które zaproponowało Ministerstwo Zdrowia, poświęcone było też spotkanie Rady ds. Zdrowia przy Prezydencie RP. – *Kiedy jej najmłodszy uczestnik, szef Porozumienia Rezydentów, zadał pytanie: kto jest „za reformą", ani jedna ręka się nie podniosła* – relacjonuje Waldemar Malinowski, prezes Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Szpitali Powiatowych. Na sali licznie zgromadzeni byli przedstawiciele wszystkich środowisk medycznych.

Na razie zarobki medyków są, jakie były, weszła w życie tylko jedna ustawa, nazwana peselową, budzi najmniej sprzeciwów. Uchwalono ją błyskawicznie, gdy okazało się, że negatywny bohater afery w Szpitalu Południowym wystawiał faktury za pracę w czasie, gdy był zupełnie gdzie indziej. Lex K, jak ją nazwano, pozwala dowiedzieć się, jak liczne naprawdę jest grono „kominiarzy" i ile zarabiają. Wcześniej NIL zapewniała, że jest ich najwyżej 1 proc., bo Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji nie była w stanie podliczyć zarobków lekarzy mających kontrakty z więcej niż jednym szpitalem. Teraz mówi się, że „kominiarzy" może być ponad 10 proc. z ogólnej liczby 140 tys. lekarzy. Sumy rzędu 1 mln zł już nie bulwersują, wyławia się nawet 6 mln i więcej rocznie.

Żeby uniknąć praktyki wystawiania fikcyjnych faktur za niewykonaną pracę oraz zjawiska bilokacji, gdy ten sam lekarz wystawiał faktury za pracę w dwóch różnych miejscach w tym samym czasie, w szpitalach wprowadzono system logowania się medyków w momencie rozpoczynania pracy i wylogowywania się z systemu po jej zakończeniu. – *My mamy taki system*



© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5016b9842e

od dawna, dostarcza nam informacji nie tylko o fizycznej obecności lekarza na dyżurze, ale także o tym, ile czasu zajmuje mu badanie pacjenta, wypisywanie recept itp. Takie systemy są już powszechne w większych szpitalach, na razie więc u nas nic się nie zmieniło – zapewnia prezes szpitala wojewódzkiego w zachodniej Polsce.

Znikną lewe faktury

Szpitali, które zainstalowały elektroniczne systemy rejestrujące czas pracy medyków, jest jednak mniejszość. Więc potwierdzeniem fizycznej obecności na dyżurze będzie papierowy grafik, identyczny jak ten, który dostawał NFZ, gdy placówka przystępowała do konkursu o kontrakt. Nagminną praktyką było wpisywanie do niego dyżurów specjalistów, których szpital nie miał, inaczej traciłby szansę na kontrakt. Fundusz doskonale o tym wiedział, w środowisku nazywano ich walizkowymi. Jedni dawali tylko swoje nazwisko, inni na dyżury przyjeżdżali, niektórzy dyżurowali pod telefonem. Ustawa peselowa ma pokazać czas pracy faktycznie wykonanej. Czyli krok w dobrą stronę.



Od 1 listopada pod grafikiem wysłanym do NFZ podpisać się musi nie tylko lekarz, który za dyżury wystawi fakturę, ale także zarządzający szpitalem. Za potwierdzenie nieprawdy kara może wynieść 30 tys. zł. Zestawienia za listopad spłyną do NFZ do 20 grudnia bieżącego roku.

Szef AOTMiT, nie czekając na dane, z których agencja zrobi raport, zrezygnował ze stanowiska. Uzasadniał to zmęczeniem, ale chodzi raczej o to, że agencja mocno przyczyniła się do powstania patologii w systemie zdrowia, niektóre procedury wyceniając bardzo wysoko, wiele innych pozostawiając na zbyt niskim poziomie. Nagle okazywało się, że tych drogich lekarze wykonują o wiele więcej, a chorymi na „tanie" choroby nie ma kto się zajmować. – *Nie robiono głębszych analiz, dlaczego tak się dzieje, zwykle wyceny zmieniano pod naciskiem środowisk zainteresowanych ich podniesieniem* – zauważa dr Małgorzata Gałązka-Sobotka, rektor Akademii Łazarskiego, ekspertka od zarządzania ochroną zdrowia.

Największą patologię obecnego systemu ochrony zdrowia stworzył sam NFZ, który teraz chce ją zlikwidować. Są nią właśnie owi lekarze walizkowi. Przez lata ta patologia tak wrosła w publiczne lecznictwo, że obecnie front sprzeciwu wydaje się tu najpotężniejszy. Sposób likwidacji tego „raka systemu" zawarty jest w nowelizacji ustawy o świadczeniach zdrowotnych finansowanych przez publicznego płatnika, to ona budzi największy sprzeciw. Zapisano w niej, że lekarz za godzinę może zarobić niewięcej niż 240 zł, a miesięcznie 76,9 tys. zł. W wyjątkowych przypadkach stawkę godzinową można powiększyć do 360 zł. To nie są głodowe zarobki, ale medykom limit się nie podoba. Sejm nowelizację uchwalił, teraz do niego wróciła, ponieważ Senat wniósł poprawki, które nie zmieniają jednak zapisanych stawek. Jeśli posłowie je zaakceptują, ustawa pójdzie do podpisu prezydenta.

Patologia walizkowa

W dużym szpitalu w północno-wschodniej Polsce skutkiem walizkowej patologii jest brak chirurgów do operacji zwykłych urazów, nie mówiąc o pracy na szpitalnym oddziale ratunkowym. Owszem, byli tu zatrudnieni, prosząc o najniższy wymiar etatu. Zarabiali jako lekarze „wędrowni", obsługując po kilka szpitali powiatowych nawet w trzech województwach, dostając stawki dużo wyższe, niż mieliby w macierzystej placówce – nie jest rzadkością, że nawet 500 i 600 zł za godzinę.

– *Szefowie małych szpitali płacą o wiele więcej, bo dzięki nim placówka ma kontrakt, chociaż długi rosną* – stwierdza dyrektor specjalistycznego szpitala wojewódzkiego. A co mają pacjenci? Zamiast prostych operacji, najbardziej potrzebnych lokalnym społecznościom, miejscowe placówki oferują specjalistyczne, dobrze wycenione procedury. Specjaliści walizkowi często przywożą na operacje własnych pacjentów, a z miejscowych większe szanse na zabieg mają osoby młodsze, bez wielochorobowości, w przypadku których nie grożą komplikacje pooperacyjne. Odpowiedzialny lekarz nie kwalifikuje przecież do zabiegu trudnych przypadków, jeśli wie, że pacjenta po operacji już nie zobaczy. Co gorsza, ci specjaliści najczęściej wykonują ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ tylko jeden rodzaj zabiegu, np. operację kręgosłupa albo wszczepienie endoprotezy stawu biodrowego, czyli procedury najlepiej wycenione. To nie jest oferta dla pacjentów, ale oferta przeżycia dla szpitala dzięki kontraktowi z NFZ.

Małym szpitalom nie podoba się, że po poprawkach Senatu będą teraz musiały zatrudniać specjalistów na przynajmniej 9,5 godz. miesięcznie. To dla nich za dużo, choć Ministerstwo Zdrowia chciało, aby minimalny wymiar wynosił 18 godz.

Co będzie, jeśli ustawa zostanie uchwalona i prezydent jej jednak nie zawetuje? Zbigniew Torbus, dyrektor szpitala z Proszowic, nie obawia się miesięcznego limitu zarobków lekarzy, takich pieniędzy (76,9 tys. zł) miejscowi medycy w Proszowicach nie zarabiają. Szpital wykończy jednak stawka godzinowa, na którą nie zgodzi się żaden lekarz walizkowy. Oddziały, które ich zatrudniały, trzeba będzie najpierw zawiesić, a potem zlikwidować. Także miejscowe pielęgniarki stracą pracę.

Z analizy przygotowanej przez Pawła Pikula, dyrektora szpitala w Strzyżowie, z Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Szpitali Powiatowych, wynika, że w 17 szpitalach na Podkarpaciu zamknięcie grozi 115 poradniom specjalistycznym i 68 oddziałom szpitalnym. Dyrektor deklaruje, że szpitale powiatowe są jak najbardziej za reformą, ale „przemyślaną", a nie taką, która – jak twierdzi – najbardziej uderzy w pacjentów.

Ustawy boją się też jednak specjalistyczne placówki wojewódzkie, które z usług przyjezdnych lekarzy nie korzystają. – *Pacjenci z małych miejscowości ustawią się do kolejki u nas, ale NFZ o zwiększeniu nam kontraktów nie wspomina* – mówi dyrektorka szpitala wojewódzkiego we wschodniej Polsce. I dodaje, że spłaszczenie stawek do 240 zł za godzinę spowoduje, że już za dwa lata sufit zrówna się z podłogą, czyli rosnące stawki dla początkujących w zawodzie rezydentów osiągną poziom maksymalny, przewidziany dla najlepszych specjalistów. To nie jest reforma.

Będzie włoski strajk

Żeby zachęcić specjalistów do przyjmowania większej liczby pacjentów w poradniach przyszpitalnych, zarządzający wynagradzają ich obecnie stawką „od łebka", więc w ciągu godziny przyjmują nawet czterech, pięciu pacjentów. Z poradni, w razie potrzeby, chorzy od razu kierowani są na oddział. Tajemnicą poliszynela jest, że do poradni np. urologicznej schodzili i nadal schodzą specjaliści ze szpitalnej urologii, to powszechna praktyka. Dzięki temu lekarze są wynagradzani dwa razy, „od łebka" w poradni i za dyżur w tym samym czasie na oddziale. Teraz to ma się skończyć. W dużych renomowanych placówkach zapanował strach.

– *Motywacja, by przyjąć w poradni więcej pacjentów, znika, bo spadek wynagrodzenia jest gwałtowny. Więc bardzo obawiam się włoskiego strajku. Skoro specjalista za godzinę może dostać 240 zł, to w ciągu tej godziny na pewno nie przyjmie czterech pacjentów, ale może dwóch albo jednego?* – obawia się dyrektor placówki. Kolejki szybko się wydłużą. Ta obawa jest powszechna, wyrażają ją zarówno małe, jak i wielkie szpitale. Włoski strajk w poradniach spowoduje, że pustkami będą świecić łóżka na oddziałach, pacjenci nie będą na nie kierowani. W długi mogą wpaść nawet placówki, które teraz ich nie mają.

Dezorganizacji obawia się nawet renomowane Uniwersyteckie Centrum Kliniczne w Gdańsku, którym kieruje Jakub Kraszewski. W operujących tam zespołach chirurgów pracuje po kilkanaście, a nawet kilkudziesięciu specjalistów. – *Jedni zarabiają 15 tys. zł miesięcznie, inni 30 tys., a są i tacy, którzy mają ponad 80 tys. zł* – wylicza Jakub Kraszewski. – *Nie dlatego, że mają procent od dobrze wycenionej procedury, bo u nas takiej praktyki nie ma. Płacimy za wykonaną pracę i te różnice potrafimy uzasadnić. Jednocześnie średnia stawka godzinowa w naszej klinice jest niższa niż proponowane 240 zł. Odgórne spłaszczenie płac pacjentom nic dobrego nie przyniesie, natomiast w klinice wprowadzi chaos.*

Lekarze wyjadą na wakacje

Patologia zbyt wysokich kominów w publicznym lecznictwie rozpanoszyła się dlatego, że NFZ nie korzystał z narzędzi, które posiada. Jeśli dyrektor placówki płaci miliony, żeby tylko ściągnąć specjalistę walizkowego, a jednocześnie zadłuża bezkarnie szpital, to problemu nie rozwiążą niskie stawki. – *Zamiast spłaszczania kominów NFZ powinien ustalić limity funduszu płac* – twierdzi Kraszewski. – *W małych szpitalach, w których wiedza i wkład pracy medyków są największe, powinien on wynosić nawet 75 proc. przychodów z kontraktu. W klinikach takich jak nasza, w których duży jest udział leków czy wysokospecjalistycznego sprzętu, limit na fundusz płac powinien być niższy, np. 55 proc.* NFZ ma narzędzia, żeby to egzekwować, ale boi się polityków. O tym, ile mają zarabiać poszczególni lekarze, powinien decydować zarząd placówki, a nie regulator. Populizm nie uleczy systemu ani pacjentów.

O tym, ile mają zarabiać poszczególni lekarze, powinien decydować zarząd placówki, a nie regulator. Populizm nie uleczy systemu ani pacjentów.

Sprzeciw wobec nowelizacji ustawy połączył małe, coraz szybciej zadłużające się szpitale z wielkimi klinikami. Waldemar Malinowski uważa, że jej autorzy nie pofatygowali się, żeby rzetelnie ocenić skutki jej wprowadzenia. W wielu placówkach niskie stawki spowodują, że dojeżdżający lekarze zrezygnują ze współpracy z małymi szpitalami, a to może być nawet połowa specjalistów. Dyrektorzy zagrożonych placówek zaalarmują teraz lokalnych posłów i senatorów, uświadamiając im, co zamknięcie oddziału czy poradni może dla nich znaczyć tuż przed wyborami. Więc politycy, wcześniej żądający likwidacji patologii, staną teraz do walki o przetrwanie szpitala, czyli będą patologii bronić. Dla dobra pacjentów.

Bomba wybuchnie latem. Jeśli bowiem ustawa ostatecznie zostanie uchwalona i podpisana przez prezydenta, obowiązywać będzie półroczne *vacatio legis*. – *W tym czasie musimy wypowiedzieć dotychczasowe warunki medykom i ogłosić konkursy z nowymi, niższymi stawkami* – wyjaśnia Jakub Kraszewski. – *Boję się, że niewielu lekarzy się do nich zgłosi. Wystarczy, że nie przystąpi do nich 25 proc. personelu, żeby nawet tak duży i dobry szpital jak nasz został sparaliżowany. Pacjenci nie będą mogli dostać się do lekarza, zaczną się protesty.* Sami lekarze protestować nie muszą, oni po prostu wyjadą na wakacje. Podobnie zrobią lekarze walizkowi. Wrócą na wybory.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 5016b9842e



© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Złoty interes

KRZYSZTOF KROPIDŁOWSKI

Prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński odzyskał zarząd, ale wciąż wisi nad nim widmo Trybunału Stanu. Teraz bank centralny wstrzymał finansowanie Trybunału Konstytucyjnego. Prezes ostro lawiruje między premierem i prezydentem.

„Co się dzieje w Sejmie, pozostawiamy politykom" – tak Adam Glapiński skwitował 5 listopada wniosek o postawienie go przed Trybunałem Stanu. Kierowany przez niego bank nie był już tak powściągliwy wobec posłów z komisji, którzy po przesłuchaniu 71 świadków skierowali w październiku wniosek do marszałka Sejmu. W 48-stronicowym stanowisku NBP zarzuca posłom nierzetelność oraz „ograniczoną możliwość merytorycznej percepcji" tematu. Przegłosowanie wniosku nie zawiesi prezesa w czynnościach, ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ przekonuje NBP, bo w 2024 r. Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej wyłączył go spod przepisu o zawieszeniu.

Rządzący się nie zgadzają. Po głosowaniu w Sejmie Glapiński „automatycznie zostanie zawieszony" – zapowiadał w październiku Maciej Tomczykiewicz, poseł KO zasiadający w komisji. Trudno oczekiwać, że koalicja uzna wyrok Trybunału Konstytucyjnego, którego kierownictwo pod koniec października odsunięto w asyście policji. Po wydarzeniach w Al. Szucha zapewnienia, że nikt nie będzie siłą wyprowadzał ani Święczkowskiego z TK, ani Glapińskiego z NBP, brzmią mniej kojąco. Jednak wbrew zapowiedziom marszałka Czarzastego głosowanie nad postawieniem prezesa NBP przed Trybunałem Stanu nie odbyło się na listopadowym posiedzeniu Sejmu. Osoby związane z rządem zastrzegają jednak, że może się odbyć nawet na najbliższym posiedzeniu. Na razie sprawa zawieszenia jest „w zawieszeniu".

Kurs na wybory

Posłowie zarzucają Glapińskiemu, że przed wyborami w 2023 r. wykorzystał urząd, by pomóc PiS. W sierpniu, dwa miesiące przed głosowaniem, prezes zapewnił Ministerstwo Finansów, że NBP wpłaci do budżetu 6 mld zł zysku, choć według komisji prognozy banku wskazywały wtedy na stratę co najmniej 17 mld zł. Rząd Mateusza Morawieckiego wpisał te 6 mld zł do projektu budżetu na 2024 r., ale budżet pieniędzy nigdy nie zobaczył: NBP skończył rok z 21 mld zł straty.

We wrześniu, pięć tygodni przed głosowaniem, kierowana przez Glapińskiego Rada Polityki Pieniężnej (RPP) niespodziewanie obniżyła stopy procentowe o 0,75 pkt proc., choć inflacja wciąż przekraczała 10 proc. W szczycie kampanii ulżyło to milionom kredytobiorców: według szacunków HREIT rata typowego kredytu hipotecznego na 300 tys. zł miała spaść o ok. 150 zł miesięcznie.

Wreszcie tydzień przed wyborami Glapiński udzielił wywiadu prawicowemu tygodnikowi „Sieci". „Patrząc obiektywnie, z perspektywy NBP, najlepsza byłaby kontynuacja obecnej ścieżki rozwoju" – mówił. I dodawał: „Zachęcam Polaków, by utrzymali ten kurs".

Na liście zarzutów jest też pośrednie finansowanie deficytu budżetu państwa przez skup obligacji skarbowych, pobieranie czterech nagród kwartalnych rocznie, niezależnie od wyników banku, a także upolitycznienie NBP przez zatrudnianie znacznej liczby pracowników związanych z byłą władzą.

Krótka odwilż

Jeszcze zimą wydawało się, że koalicja po cichu porzuciła obietnicę postawienia Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. W lutym Bloomberg podał, że rząd zrezygnował z tego planu w obawie przed reakcją inwestorów. W tym samym miesiącu, po wstępnym porozumieniu obu stron, do kancelarii premiera trafiły wnioski o nominacje do zarządu NBP, w tym o kolejną kadencję dla Marty Kightley, pierwszej wiceprezes i prawej ręki prezesa.

Odwilż skończyła się 4 marca. Glapiński u boku prezydenta Karola Nawrockiego ogłosił wtedy „Polski SAFE 0 proc.": zbrojenia miał sfinansować bank centralny, bogaty w złoto skupowane od lat przez prezesa, a nie unijna pożyczka. Rządu nie uprzedzono. „Bądźmy poważni" – skwitował minister finansów Andrzej Domański. Pomysł posłużył jednak prezydentowi za argument przy wecie wobec ustawy o SAFE. W kręgach rządowych właśnie udział Glapińskiego w tej operacji wskazywano jako powód, dla którego Donald Tusk zarządowych nominacji nie podpisał.

Na kontrasygnatę premiera czekały one dziewięć miesięcy. Marta Kightley, bez której Glapińskiemu trudno sprawnie zarządzać bankiem, zostawała poza zarządem. Z kręgów rządowych płynęły sygnały wyraźnej niechęci wobec niej: uważa się ją za współodpowiedzialną za część zarzutów wobec Glapińskiego.

3 listopada, dwa dni przed tym, jak zarząd NBP mógł spaść poniżej ustawowego sześcioosobowego minimum, Tusk ustąpił. „Ktoś w naszym kraju musi myśleć o tym, jak stabilizować sytuację, jak stabilizować polskiego złotego" – tłumaczył. Marta Kightley wróciła na stanowisko pierwszej wiceprezes z kadencją do 2032 r. Razem z nią do zarządu weszli dwaj członkowie Rady Polityki Pieniężnej rekomendowani przez partie koalicyjne: związany z PSL Przemysław Litwiniuk, również jako wiceprezes, i wspierany przez KO Ludwik Kotecki. Obaj zeznawali wcześniej przed komisją jako świadkowie „w sprawie Glapińskiego". Od 2 stycznia 2027 r. dołączy do nich Marcin Zarzecki, człowiek prezydenta.

Twarz banku

Im bliżej ewentualnego głosowania nad Trybunałem Stanu dla Glapińskiego, tym mocniej wizerunek NBP zrasta się z twarzą jego szefa. Spoty promocyjne banku centralnego pokazują sztabki złota i przypominają, komu Polska je zawdzięcza. Wysokie wydatki reklamowe NBP to dobra wiadomość dla prawicowych mediów. Według danych Instytutu Monitorowania Mediów (IMM) do końca października br. bank wydał 15,7 mln zł na reklamy złota i prezesa, z czego niemal połowa przypadła TV Republice. Drugim największym adresatem wydatków reklamowych była telewizja wPolsce24.

Ale we wrześniu bank po raz pierwszy w tym roku zaczął emitować swoje spoty w TVN24, a w październiku również w TVN, Radiu Zet i RMF FM. Wciąż są to niewielkie wydatki w porównaniu z mediami prawicowymi, ale nietrudno odczytać, jaka jest „strategia promocyjna" NBP i czemu ma służyć. Rafał Czechowski z agencji Imago PR o strategii reklamowej banku mówi jako o oblężonej twierdzy.

Pomysł nie jest nowy. Już w styczniu 2024 r., gdy koalicja po raz pierwszy zagroziła prezesowi Trybunałem, NBP szykował „strategię komunikacji na temat niezależności banków centralnych". Dziś przekaz opiera się głównie na pokazywaniu zapasów złota. 5 listopada Glapiński ogłosił, że w skarbcach leży już 700 ton kruszcu, niemal siedem razy więcej niż na początku jego prezesury. A ponieważ w sondażu IBRiS dla PAP zakupy złota dobrze oceniło 70 proc. badanych (w tym ponad połowa wyborców obozu rządzącego), Glapiński chce się mocno skojarzyć z „polskim złotem".

W obronę szefa zaangażowały się oba kierowane przez niego organy: zarząd i RPP. Uznały, że komisja sejmowa narusza niezależność banku centralnego i działa bez podstawy prawnej, bo tę miał jej odebrać kolejny wyrok TK z sierpnia 2024 r. W stanowisku datowanym na 4 listopada NBP odpowiada na wszystkie osiem zarzutów wobec prezesa, choć nierówno. Obniżce stóp poświęca dziewięć stron: inflacja spadała, więc wiązanie decyzji z wyborami to „dowolna spekulacja". Błędną zapowiedź zysku tłumaczy tym, że stratę widać dopiero po fakcie. Upolitycznieniu poświęca jedną stronę; tytuł tygodnika „Sieci" nie pada w dokumencie ani razu.

Z kolei, jeśli chodzi o wynagrodzenia, w zeszłym roku prezes Glapiński zarobił

eprasa.pl 5016b9842e

1,59 mln zł brutto, sam prezes tłumaczył: „Nikt nie może w banku zarabiać więcej niż 60 proc. zarobków rocznych prezesa". Pensję szefa trzeba więc regularnie podnosić, „bo inaczej rzemieślnicy nawet nie mogą mieć podwyżek".

Bank kontra Trybunał

W poniedziałek 16 listopada NBP ogłosił, że wstrzymał możliwość wykonywania przelewów z rachunków Trybunału Konstytucyjnego, które prowadzi. Bank centralny uzasadnił, że nie ma podstaw do ustalenia, kto jest upoważniony do reprezentowania woli TK. NBP otrzymał zarówno dokumenty upoważniające nową większość sędziowską TK, jak i dokumenty żądające przywrócenia możliwości dysponowania środkami przez Bogdana Święczkowskiego.

Decyzja jest typowo unikowa. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek odpowiedział, że prokuratura powinna rozważyć postępowanie wobec osób odmawiających przekazania pieniędzy TK. Jednocześnie NBP nie traktuje także Bogdana Święczkowskiego jako osoby, która może rachunkami TK dysponować.

Rozmówcy blisko rządu twierdzą, że blokada nie odetnie TK od pieniędzy. Najbardziej prawdopodobny jest rachunek pomocniczy w Banku Gospodarstwa Krajowego, na który zgodę może wydać minister finansów. Na to prawnicy prawicy odpowiadają, że ustawa o finansach publicznych pozwala BGK prowadzić rachunki państwowych jednostek dopiero po przyjęciu euro. Zanosi się więc na kolejny spór.

Zawieszenie bez końca

Wynik ewentualnego głosowania nad postawieniem Glapińskiego przed Trybunałem Stanu wciąż nie jest przesądzony. Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej zasugerował w 2024 r., że do postawienia prezesa NBP przed Trybunałem Stanu potrzeba trzech piątych głosów, czyli 276 posłów. Tylu koalicja nie ma. Ale wielu konstytucjonalistów podtrzymuje interpretację, że wystarczy zwykła większość, a uchwała i tak „będzie wywoływała skutek w postaci zawieszenia Prezesa NBP w czynnościach".

Nowi członkowie zarządu nie są entuzjastami tego scenariusza. „Nikt tego w Polsce nigdy nie ćwiczył" – mówił w „Rzeczpospolitej" Kotecki, niegdyś wiceminister finansów w rządzie PO-PSL. Nominacje do zarządu rynek przyjął dobrze. Gdyby prezesa zawieszono i „rozpętałaby się awantura wokół NBP", Kotecki spodziewałby się „reakcji w drugą stronę".

Jeśli Sejm uchwałę jednak podejmie, rządzącym trudno będzie prezesa nie zawiesić. Na wyrok Trybunału, który sami kwestionowali, raczej się nie powołają. Mają też precedens: Maciej Świrski, szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, został zawieszony w lipcu 2025 r., gdy tylko Sejm postawił go przed Trybunałem Stanu. Obowiązki Glapińskiego w banku przejęłaby najpewniej Kightley. Bankiem pokierowałaby więc osoba, która prace komisji nazywała nielegalnymi i którą część posłów nieoficjalnie obwinia o to samo co jej szefa.

Przykład Świrskiego pokazuje też, co się może stać później: niewiele. Jego sprawa utknęła, a w kwietniu Trybunał Stanu ukarał grzywną własną przewodniczącą za zwlekanie. Trybunałowi przewodniczy z urzędu pierwszy prezes Sądu Najwyższego. Od maja jest nim Zbigniew Kapiński, mianowany przez prezydenta Nawrockiego. Po wydarzeniach w Trybunale Konstytucyjnym mówił w TVN24: „Boję się, żeby nie było tak, że kolejna instytucja będzie zawłaszczona przez władzę wykonawczą". Zawieszenie to jednak nie odwołanie: prezesa NBP można odwołać dopiero po wyroku Trybunału Stanu, i to na wniosek prezydenta. Glapiński mógłby więc pozostać „zawieszony bez wyroku" aż do końca swojej kadencji w czerwcu 2028 r.

Koszty zawieszenia przyszłyby za to od razu. Napięcia wokół zarządu NBP i Trybunału Konstytucyjnego niewątpliwie przyczyniły się do osłabienia złotego do najniższego poziomu od trzech lat. 6 listopada agencja S&P obniżyła perspektywę ratingu Polski do negatywnej, cytując m.in. tarcia w obrębie władzy wykonawczej i wokół TK. Moody's ocenę ściął we wrześniu, po raz pierwszy od dekady. Do tego dochodzą europejskie instytucje: w 2019 r. unijny Trybunał Sprawiedliwości uchylił decyzję o odsunięciu prezesa Banku Łotwy, a szefowa EBC Christine Lagarde już w 2023 r. wskazywała, że Glapiński mógłby także odwoływać się do sądu unijnego.

Rachunek zysków i strat

Za doprowadzeniem sprawy do końca może przemawiać polityka. Rozliczenia przyspieszają, Trybunał Konstytucyjny ma nowe kierownictwo, a Tusk jeszcze w 2022 r. obiecywał wyprowadzić Glapińskiego z NBP. Przeciwko przemawia gospodarka. W sprawie zarządu górę wzięło w rządzie skrzydło ugodowe: Tusk podpisał nominacje, jak sam przyznał, „zgodnie z rekomendacją pana ministra Domańskiego", który wolał nie straszyć inwestorów. Ta sama logika obowiązuje w resorcie finansów w sprawie zawieszenia. Kolejny front wojny z prezydentem, możliwy spór z EBC i następna obniżka ratingu to raczej zbyt wysoka cena za dotrzymanie obietnicy usunięcia Glapińskiego.

Zwłaszcza że nagroda byłaby wątpliwa. Zawieszonego Glapińskiego najpewniej zastąpiłaby jego prawa ręka, z kadencją do 2032 r. Następcę w 2028 r. Sejm wybierze tylko na wniosek prezydenta, a Kotecki już dziś spodziewa się „bardzo trudnego wyboru politycznego". NBP zapowiedział już, że głosowanie w Sejmie nad postawieniem prezesa przed Trybunałem Stanu nie będzie miało dla niego znaczenia, a o wyprowadzaniu Glapińskiego siłą nikt głośno nie mówi. Zapowiada się raczej pat, a nie bat. Zawieszenie pozostaje możliwe, ale mało prawdopodobne.

KRZYSZTOF KROPIDŁOWSKI

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, więzadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 5016b9842e



© SHUTTERSTOCK

Licencja na sukces

Franczyza może być sposobem na szybki rozwój i ograniczenie ryzyka w biznesie. Pod warunkiem że franczyzodawca i franczyzobiorca są wobec siebie uczciwi, a umowa sprawiedliwie traktuje obie strony.

Spotykamy się z nimi każdego dnia, często nawet nie mając świadomości, że działają na takich zasadach. Wiele sklepów spożywczych, restauracji, kawiarni, siłowni, oddziałów bankowych czy placówek biur podróży należy do systemów franczyzowych. Takimi punktami kierują przedsiębiorcy, którzy są jednocześnie franczyzobiorcami. Zawarli umowy z franczyzodawcami i w ścisłej współpracy z nimi prowadzą swoją działalność. Czasem to franczyzodawca oferuje franczyzobiorcy już wynajęty i przygotowany lokal. W innych systemach zdarza się, że to sam franczyzobiorca jest właścicielem czy najemcą sklepu bądź punktu usługowego włączonego do sieci franczyzowej.

Dlaczego taki model zyskuje na popularności? Obie strony – franczyzodawcy i franczyzobiorcy – czerpią liczne korzyści dzięki wzajemnym relacjom. – *Franczyzodawcy mogą liczyć na dynamiczny rozwój bez angażowania własnego kapitału. Wykorzystują wiedzę i dotychczasowe doświadczenie biznesowe franczyzobiorców, którzy często sami najlepiej znają specyfikę swojego regionu i potrafią optymalnie dobrać pracowników. Z kolei franczyzobiorcy otrzymują gotowy i sprawdzony pomysł na biznes. Mogą liczyć na ciągłe wsparcie franczyzodawcy i są beneficjentami całej wiedzy, jaką ten zdążył dotąd zebrać* – mówi Monika Dąbrowska, prezeska Polskiej Organizacji Franczyzodawców. Taka pomoc okazuje się szczególnie potrzebna w okolicznościach nadzwyczajnych jak pandemia, która na pewien czas zmusiła wiele branż do ograniczenia działalności.

Obie strony muszą oczywiście zdawać sobie sprawę, że nawet najlepiej zaprojektowany system franczyzowy nie gwarantuje jeszcze sukcesu. Wyzwaniem dla franczyzodawców jest skuteczna rekrutacja. Trzeba wśród kandydatów na franczyzobiorcę znaleźć osoby, które mają świadomość, jak działa taka współpraca i jakie problemy mogą się z nią wiązać. Franczyzodawca musi pamiętać, że wszystko, co zrobi franczyzobiorca, będzie kształtowało opinię klientów o całej sieci. Z punktu widzenia

eprasa.pl 5016b9842e

Xtreme brands

WEJDŹ DO ŚWIATA ZDROWEGO BIZNESU



JESZCZE W 2026 ROKU

250+
klubów fitness

40+
sal Xtreme KiDS

OTWÓRZ Z NAMI

✕ SWÓJ KLUB FITNESS ✕ STUDIO STRONG PILATES ✕ LUB SALĘ ZABAW! ✕

www.xtremebrands.pl

Xtreme brands · XTREME FITNESS Gyms · XTREME KIDS · STRONG PILATES. STRENGTH. CARDIO.

eprasa.pl 5016b9842e

konsumenta nie ma znaczenia, czy punkt, z którego usług korzysta, działa na zasadzie franczyzy. Klienci zawsze oczekują najwyższego standardu obsługi, a za ewentualne niepowodzenia winą będą obarczać nie tylko pojedynczego franczyzodawcę, ale i markę. Oczywiście ta zasada działa też w drugą stronę. Dobre doświadczenia w jednym miejscu skłaniają do korzystania także z pozostałych punktów danej sieci, prowadzonych przez innych franczyzobiorców.

Wyzwaniem dla każdego franczyzobiorcy jest zrozumienie, że samo przystąpienie do sieci franczyzowej nie gwarantuje sukcesu. Chociaż przedsiębiorca zyskuje rozpoznawalne logo, dostęp do nowoczesnych rozwiązań technologicznych i wsparcie centrali, nie zwalnia go to z obowiązku maksymalnego zaangażowania. On sam ponosi odpowiedzialność zarówno finansową, jak i prawną za to, co dzieje się w jego sklepie czy punkcie usługowym. W prowadzenie biznesu franczyzowego trzeba włożyć niemniej pracy niż w ten rozwijany według własnego pomysłu. To ważna zasada, o której powinni pamiętać zwłaszcza ci, którzy dotąd nie mieli doświadczenia w samodzielnej działalności gospodarczej.

Dziś popularność franczyzy jest m.in. napędzana decyzjami osób szukających alternatywy dla pracy w korporacjach. Chcą one zyskać niezależność i przejść na własny biznes, ale równocześnie wiedzą, że systemy franczyzowe są znacznie pewniejszym i bezpieczniejszym rozwiązaniem niż działalność bez takiego wsparcia.

Co wyróżnia polskich franczyzobiorców? – *Z pewnością są bardzo przedsiębiorczy i wymagający, także od samych siebie. Chcą osiągnąć najwyższy standard i wykazują ogromne zaangażowanie. Zwracają uwagę na to, co może zaoferować im sieć i jaką zdobyła dotąd pozycję na rynku. Gdy szukamy chętnych do nawiązania współpracy, otrzymujemy zawsze ogromną liczbę zgłoszeń. W naszym przypadku zaledwie 2 proc. aplikujących ostatecznie podpisuje z nami umowy* – wyjaśnia James Cotton, prezes Xtreme Brands, grupy rozwijającej marki Xtreme Fitness Gyms, Xtreme KiDS i STRONG Pilates.

Sam proces rekrutacji jest kluczowy dla powodzenia systemu franczyzowego, więc zazwyczaj składa się z kilku etapów. – *Pierwszy z nich ma charakter informacyjny w postaci prezentacji czy webinarów. W kolejnym prezentacje odbywają się stacjonarnie, a w ich ramach omawiamy szczegółowo zasady współpracy. Później dochodzi do spotkania indywidualnego, na którym prezentujemy dokładnie korzyści i koszty. Ważna jest pełna transparentność. Wreszcie odbywa się panel decyzyjny, podczas którego podejmujemy decyzje o wyborze franczyzobiorcy. Po podpisaniu umowy, a przed otwarciem lokalu staramy się jak najlepiej przygotować partnera, organizując warsztaty i szkolenia* – opisuje Filip Puchalski, dyrektor komercyjny grupy Xtreme Brands, która w ciągu czterech lat podpisała już ponad 500 umów franczyzowych.

Niekiedy rozróżnia się twardą i miękką franczyzę, chociaż nie są to pojęcia prawne. Twardą franczyzą nazywa się systemy, w których jest więcej zasad współpracy zawartych w umowie między franczyzodawcą i franczyzobiorcą. Z jednej strony oznacza to mniejszą swobodę franczyzobiorcy w prowadzeniu biznesu, lecz równocześnie zapewnia bardziej porównywalny standard pomiędzy poszczególnymi placówkami, co cenią sobie klienci. Takie właśnie systemy są coraz popularniejsze, bo zmniejszają ryzyko niepowodzenia. Na zasadach miękkiej franczyzy działają przede wszystkim niektóre sieci małych sklepów spożywczych, które z kolei wykorzystują często wieloletnie doświadczenie franczyzobiorcy i pozwalają mu np. modyfikować asortyment w zależności od lokalnych potrzeb i samemu ustalać ceny części produktów.

Od dawna trwa w Polsce dyskusja na temat regulacji franczyzy, która dzisiaj działa na podstawie standardowych przepisów. Część polityków postuluje stworzenie odrębnej ustawy franczyzowej, która precyzyjniej określiłaby prawa i obowiązki obu stron, a równocześnie wzmocniła ochronę franczyzobiorców. Równocześnie wiele mówi się o konieczności deregulacji gospodarki, co stałoby w sprzeczności z regulacją tak ważnej dziedziny jak franczyza. Dotąd żadna taka ustawa nie została uchwalona, chociaż w poprzedniej kadencji parlamentu przygotowano jeden projekt. W obecnej kadencji z pewnością nie powstaną tego typu przepisy. Argumentem za ich stworzeniem mogłyby być problemy niektórych franczyzobiorców próbujących rozwiązać umowy z franczyzodawcami.

Z drugiej strony już dziś można ten aspekt uregulować, jeśli jasno ustali się postępowanie na wypadek zakończenia współpracy w umowie pomiędzy stronami. Najczęściej problemy w relacjach między franczyzobiorcami i franczyzodawcami wynikają właśnie z niewystarczająco jasnych i precyzyjnych zapisów. Przed podpisaniem umowy obie strony powinny dokładnie przeanalizować wszystkie jej postanowienia i skonsultować się z prawnikami. Dotyczy to zwłaszcza franczyzobiorców, którzy nie zawsze mają pełną świadomość ponoszonego ryzyka i nie zakładają scenariusza, w którym będą zmuszeni nagle zrezygnować z tej formy działalności.

Nie czekając na decyzje polityków, branża sama stworzyła Kodeks dobrych praktyk dla rynku franczyzy. Patronują mu Polskie Stowarzyszenie Mikroprzedsiębiorców i Franczyzobiorców, Polska Izba Handlu, Polska Organizacja Franczyzodawców, Konfederacja Lewiatan, Krajowa Izba Gospodarcza oraz Federacja Przedsiębiorców Polskich. – *Ten kodeks ma pomóc zarówno franczyzobiorcom, jak i franczyzodawcom. Dzięki stosowaniu się do jego postanowień obie strony mogą uniknąć nieporozumień. Kodeks dobrych praktyk określa, jakie postanowienia powinna zawierać umowa, jakie są obowiązki franczyzodawców, a jakie franczyzobiorców. Jego podwaliną jest wzajemna uczciwość partnerów od samego początku* – podkreśla Monika Dąbrowska, prezeska Polskiej Organizacji Franczyzodawców. Na takiej uczciwości zależeć powinno wszystkim, bo franczyza staje się coraz ważniejszą częścią polskiej gospodarki. Szacuje się, że w naszym kraju działa już ok. 1,3 tys. systemów franczyzowych, w których pracuje aż pół miliona osób. W kolejnych latach ta liczba z pewnością się zwiększy.

PIOTR CYMERMAN

eprasa.pl 5016b9842e

PODKASTY POLITYKI

OGLĄDAJ NA YT, SPOTIFY I APPLE PODCAST

POLITYKA.PL/PODKASTY





- Podkast Psychologiczny
- Świat na zakręcie

PONIEDZIAŁEK



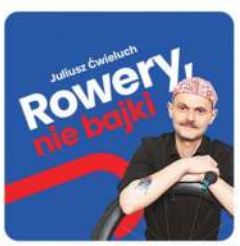
- Polityka o historii

WTOREK



- Temat tygodnia

ŚRODA



- Rowery, nie bajki

CZWARTEK





- Kultura na weekend
- Polskie demo

PIĄTEK



- Polityka o książkach

SOBOTA
CO DWA TYGODNIE

eprasa.pl 5016b9842e

Chata dla Bielika

O sensie budowy polskich modeli AI, myleniu klusek śląskich z gnocchi oraz niezależności, której nie zapewni nam dostęp do ChatGPT – mówi Marek Magryś, dyrektor Akademickiego Centrum Komputerowego Cyfronet AGH w Krakowie.



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Z amerykańską czy chińską sztuczną inteligencją świetnie rozmawia się w naszym języku. Po co więc stworzono dwa polskie modele AI, czyli Bielika i PLLuM? W dodatku znacznie mniejsze, więc nieudzielające tak dobrych odpowiedzi jak ChatGPT, Claude czy DeepSeek?**

MAREK MAGRYŚ: – Powodów jest kilka. Bielik i PLLuM są jak wózki widłowe, a amerykańskie – jak kontenerowce. Jednym i drugim przewieziemy ryzę papieru, ale zaprojektowano je pod inne założenia, inne wolumeny i innych odbiorców. Po drugie, na budowę tak dużych i uniwersalnych modeli jak amerykańskie i chińskie nie ma pieniędzy ani w Polsce, ani w Europie. Ale możemy tworzyć mniejsze, do konkretnych zadań: pracy z tekstem w poszczególnych językach europejskich albo ze specjalistyczną terminologią. Ponadto można je uruchomić na własnej

eprasa.pl 5016b9842e

infrastrukturze, choćby w serwerowni polskiej firmy, i nie wysyłać danych do chmury, gdzie tracimy nad nimi kontrolę.

Czy Bielika i PLLuM da się zakwalifikować jako duże modele językowe?

Dziś zalicza się je raczej do małych albo średnich, ale kiedy powstawały, były na granicy dużych. Największa obecna wersja Bielika ma ok. 11 mld tzw. parametrów, a PLLuM-a – ok. 70 mld. Modele dostawców komercyjnych posiadają ich biliony. Te parametry to – w dużym uproszczeniu – liczby, których wartości są dobierane podczas treningu na ogromnych zbiorach danych. Kodują to, czego model nauczył się z danych, przede wszystkim z tekstów: reguły języka, informacje o świecie i związki między pojęciami. Większa liczba parametrów zwykle pozwala modelowi przyswoić bardziej złożone zależności, ale oznacza też większe zapotrzebowanie na pamięć i moc obliczeniową.

Czyli to nie są polskie ChatGPT?

Nie. ChatGPT to gotowy produkt, który opakowuje różne modele firmy OpenAI interfejsem umożliwiającym rozmowę z użytkownikami oraz dodatkowymi narzędziami, np. do tworzenia agentów. Bielik i PLLuM to same modele, czyli „silnik", na którym można zbudować np. chat do konwersacji z użytkownikami. Może też działać głęboko w kodzie komputerowym jakiejś aplikacji i np. oceniać, czy osoba pisząca do działu obsługi klienta firmy jest zdenerwowana. I wtedy od razu kieruje do niej człowieka, żeby petent nie frustrował się rozmową z botem.

Czy te dwa polskie „silniki" są rzeczywiście w pełni rodzime, czy raczej na licencji? Oparto je na udostępnionych publicznie modelach zagranicznych, takich jak francuski Mistral czy amerykańska Llama firmy Meta.

Rzeczywiście, w zależności od wersji jako bazę wykorzystano otwarte zbiory parametrów opublikowane przez twórców Llama, Mistrala oraz chińskiego Qwena. Nie wzięliśmy jednak gotowego modelu, by tylko lekko dotrenować go po polsku, lecz kontynuowaliśmy pełny trening na naszych danych. Wcześniej oba zespoły próbowały budować modele od zera, ale testy pokazały, że przy obecnych zasobach nie da to lepszej jakości niż start z użyciem dostępnych publicznie parametrów pochodzących od zagranicznych AI. Szkoda było marnować moc obliczeniową.

Dołożyliśmy też własne innowacje, np. w Bieliku wymieniono tzw. tokenizer. Mechanizm dzielący słowa na mniejsze jednostki, czyli tokeny, został zoptymalizowany pod kątem polszczyzny. Dzięki temu model działa w naszym języku kilkukrotnie szybciej. Z kolei tworząc asystenta AI na bazie PLLuM do aplikacji mObywatel, nie potrzebujemy tokenizera radzącego sobie z koreańskim.

Po co jednak zwykły użytkownik ma korzystać z rządowej aplikacji, skoro może zapytać o polskie prawo lub urzędowe procedury ChatGPT czy Gemini, których i tak często używa?

Bo jesteśmy w stanie zbudować bardziej godną zaufania sztuczną inteligencję. Taki polski „silnik" możemy precyzyjnie dostroić, nakazując mu niską kreatywność, co mocno ogranicza tzw. halucynacje, czyli zmyślanie faktów. Całkowite ich wyeliminowanie wydaje się dzisiaj niemożliwe, ale da się wskazać modelowi konkretne źródła, których ma się trzymać, i kolejność korzystania z nich, czego np. ChatGPT niekoniecznie potrafi dopilnować.

Druga kwestia to koszty i prywatność. Duże komercyjne modele wymagają bardzo drogiej infrastruktury, a Bielika czy PLLuM przy odrobinie zapału uruchomimy nawet na mocniejszym laptopie. A jeśli rodzimy model daje w konkretnym zadaniu 99 proc. jakości odpowiedzi ChatGPT, ale obsługa zapytania jest dziesięciokrotnie tańsza, rachunek ekonomiczny staje się prosty. Z tego powodu Bielik jest dziś wykorzystywany w bankach i firmach do skracania tekstów, analizy komentarzy czy pracy z wewnętrzną dokumentacją. Z kolei z Biblioteką Jagiellońską wykorzystujemy go do odczytywania skanów XIX-wiecznych gazet.

Do tego wszystkiego dochodzi kwestia bezpieczeństwa danych. Weźmy np. transkrypcję rozmowy lekarza z pacjentem. Nie chcielibyśmy, żeby jej treść wydostała się poza gabinet. Potrzebne jest więc rozwiązanie na tyle kompaktowe, żeby uruchomić je na komputerze, który stoi w tym gabinecie.

Czy obydwa polskie AI są dostępne za darmo?

Tak, to niekomercyjne projekty. Modele z rodziny Bielika i PLLuM, bo jest dostępnych kilka wersji, można bezpłatnie pobrać z internetu i uruchomić na własnym sprzęcie. Są też w internecie dostępne darmowe czaty testowe do rozmowy z obydwoma modelami.

Cyfronet brał udział w tworzeniu obu tych modeli, udostępniając ich twórcom infrastrukturę obliczeniową. Na jakich danych je trenowano i czy pojawiły się kłopoty z ich pozyskaniem?

Oba algorytmy powstawały w pełnej zgodności z europejskimi przepisami i prawami autorskimi. To jeden z powodów, dlaczego danych, które można było wykorzystać nieodpłatnie, nie było wystarczająco dużo. Musiano więc np. dodatkowo trenować Bielika na tekstach w innych językach europejskich, m.in. niemieckim. I tu pojawiła się spora niespodzianka, bo dzięki temu znacznie poprawiła się jakość jego odpowiedzi po polsku. Prawdopodobnie model lepiej generalizuje swoją wiedzę, ucząc się innej składni i kolejności wyrazów w zdaniu.

Czy amerykańskie i chińskie firmy inaczej podchodzą do pozyskiwania danych?

Tak. Chińczycy nie przejmują się prawami autorskimi. Amerykanie bardziej, ale nie do końca. Generalnie pod tym względem jest między Europą a USA i Chinami przepaść.

Firma Anthropic, twórca popularnego i wysoko ocenianego modelu Claude, kupowała miliony książek w amerykańskich antykwariatach, a następnie w ogromnych halach odcinała ich grzbiety, przemysłowo skanowała i wrzucała do treningu bez zgody autorów. Amerykański sąd uznał, że to legalne, bo model AI można potraktować jak ucznia czytającego lektury. W Polsce nie dałoby się tak zrobić?

Jako inżynier ograniczę się do tego, że jest to technicznie wykonalne. A czy legalne? Nie jestem prawnikiem, ale przypuszczam, że przestrzegając przepisów stuprocentowo, nie da się tego zrobić. Co nie znaczy, że ktoś nie spróbuje.

Czy rodzime AI mogą pomóc chronić nasze dziedzictwo kulturowe?

To bardzo ważna kwestia. Duże globalne modele trenuje się na danych dobrych dla przeciętnego obywatela świata. A takiej ▶



Marek Magryś kieruje Akademickim Centrum Komputerowym Cyfronet AGH w Krakowie i jest specjalistą w zakresie budowy infrastruktury obliczeniowej oraz efektywnego wykorzystania jej do symulacji komputerowych i budowy modeli sztucznej inteligencji. Główny architekt najszybszych polskich superkomputerów: Heliosa, Prometheusa i Atheny.

© KONRAD KOZŁOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 5016b9842e

▶ osoby nie ma – to uśrednienie różnych kultur. Zagrożone są zatem różne lokalne smaczki, jak choćby krakowskie „idźże" czy „chodźże". Żeby model wyłapał takie niuanse, potrzebujemy odpowiednich zbiorów danych, ale też prawidłowo opisanych zdjęć potraw. Kluska śląska przez większość dużych modeli zostanie rozpoznana jako gnocchi, bo to najpopularniejsze danie, które wygląda podobnie.

Czy polskie modele zapewnią nam – przynajmniej do pewnego stopnia – niezależność od kaprysów wielkich korporacji zza oceanu?

Dostęp do najnowszych modeli AI zaczął być geograficznie czy finansowo ograniczany. Zmieniają się też limity korzystania chatbotów dla zwykłych użytkowników – trzeba więcej płacić. To sygnał, który powinien coś mówić o bańce AI: prawdopodobnie budżety korporacji się nie spinają i firmy szukają sposobu, żeby zarobić. Zwłaszcza że wcześniej wykorzystywały skutecznie metodę „pierwsza działka za darmo". Skończył się zatem czas, kiedy nowe modele były dostępne nieodpłatnie lub tanio.

Dlatego potrzebujemy własnych rozwiązań, dzięki którym będziemy kontrolować koszty. Choć samo odcięcie nas przez Amerykanów od ich modeli wydaje mi się mało realne. Za to ograniczenie ich możliwości albo podniesienie cen do poziomu, który będzie bardzo dotkliwy, to proste narzędzia zwiększania zysków, których powinniśmy się obawiać. Moja długoterminowa obawa jest taka, że dopóki nie zbudujemy w Europie całego zaplecza do trenowania i uruchamiania modeli – łącznie z chipami – będziemy w sytuacji konsumenta. Trochę ten obszar przespaliśmy.

Europa ma za to AI Act, czyli unijne przepisy o sztucznej inteligencji. Przesadziliśmy z regulacjami?

Co do zasady jestem zwolennikiem regulowania użycia, a nie rozwoju technologii. Badania powinny iść w każdym możliwym kierunku, ale tam, gdzie dotykamy etyki, prawa, bezpieczeństwa, potrzebne są mocne zasady. Czy przesadziliśmy? Nie wiem. Nie byliśmy liderami tego rynku, którzy go sobie uregulowali. A wolałbym, żebyśmy szybciej podejmowali strategiczne decyzje inwestycyjne niż regulacyjne, ale z jakiegoś powodu łatwiej nam o te drugie. Boję się, że w gąszczu przepisów europejskie start-upy będą wydawać znacznie więcej na prawników niż na informatyków, a to odbije się na jakości ich produktów.

Gdzie w tym wyścigu AI jest Polska?

W mojej ocenie w UE na pozycji numer dwa, za Francją.

To chyba dobre miejsce?

Polska jest krajem, w którym ludzie chcą mieszkać, bo całkiem nieźle się u nas żyje. Jeśli więc utrzymamy poziom kształcenia informatyków – a ten, mam wrażenie, trochę się obniża – i dobry ekosystem dla start-upów, nadal będziemy w tym wyścigu brali udział. Musimy tylko uważać, żeby firm finansowanych z pieniędzy polskich czy europejskich podatników nie wykupywały potem korporacje zza oceanu razem z całą ich własnością intelektualną, jak stało się to np. z fińskim Silo AI i kilkoma polskimi przedsięwzięciami. Potrzebujemy też ciągłych inwestycji. Procesory komputerowe wykorzystywane w branży AI starzeją się bardzo szybko, bo nowe generacje pojawiają się mniej więcej co roku. A wyścig to wyścig. Gdybyśmy wystawili w dzisiejszej Formule 1 bolid z lat 90., raczej nie odniósłby sukcesów.

Dlatego Europa chce budować tzw. fabryki oraz gigafabryki AI. Jedna z takich fabryk, Gaia, powstaje w Cyfronecie w Krakowie. Czym ma być?

Fabryki AI to w całości finansowane ze środków publicznych superkomputery wraz z ekspertami, którzy doradzą, jak budować i trenować modele sztucznej inteligencji, skąd wziąć dane, jak zadbać o zgodność z europejskimi regulacjami. Będą one nieodpłatnie dostępne dla naukowców oraz małych i średnich firm w całej Europie. Powstanie ich w sumie 19, w tym dwie w Polsce: Gaia w Krakowie i PIAST-AI w Poznańskim Centrum Superkomputerowo-Sieciowym. Dzięki temu pod koniec 2027 r. powinniśmy mieć w Cyfronecie superkomputer kilkukrotnie szybszy od najlepszych, jakimi obecnie dysponujemy. To jednak wciąż za mało, żeby podjąć walkę z Google czy OpenAI. Nie stać nas na to czasowo ani finansowo, nie mamy też dość danych. Na szczęście dla większości zastosowań AI nie potrzebujemy tych największych modeli.

A gigafabryki AI?

To już projekt komercyjny – centra danych pod kontrolą europejskiego kapitału, które odpłatnie trenują i uruchamiają modele. Polska przeznaczy na ten cel 100 mln euro raczej jako zachętę dla inwestorów, gdyż potrzeba kilku miliardów euro kapitału prywatnego na jedną gigafabrykę. Największą barierą będzie prąd – jego dostępność i cena. W Europie generalnie energia jest relatywnie droga, ale w Skandynawii tańsza, więc takie projekty mają tam większy potencjał biznesowy niż np. w Polsce.

Czy Unia Europejska ma szanse nadrobić to, co przespała?

Tak, w 5–10 lat, tylko trzeba działać. Chińczycy tworzą swoje rozwiązania AI od 2015 r., budując m.in. jedne z najmocniejszych superkomputerów. Czyli zajęło im to dekadę i osiągnęli sukces.

A czy ten globalny wyścig ma jeszcze racjonalne podstawy, czy przypomina nadmuchaną bańkę, która zaczyna już pękać?

Takiej rewolucyjnej zmiany, jaką przyniósł ChatGPT, szybko nie zobaczymy, gdyż rozwój na podstawie istniejącej technologii AI, czyli generatywne duże modele językowe, będzie trudny. Każda kolejna generacja jest wprawdzie lepsza od poprzedniej, ale czy warta tak dużych nakładów finansowych? W tym roku na dużej konferencji superkomputerowej w Hamburgu analitycy tego rynku mówili mi, że na 2027 r. zakontraktowano sprzedaż tylu chipów dla branży AI, iż będą one potrzebować więcej elektryczności, niż jest dostępne we wszystkich centrach danych na świecie. Można więc zadać sobie pytanie, czy nie przekroczyliśmy granicy absurdu.

Być może to typowa bańka, a być może te rozwiązania przyniosą realne korzyści, nie tylko biznesowe, ale też strategiczne. Zastanawiam się jednak, czy z technologii, która nie jest jeszcze wystarczająco dopracowana, nie próbujemy wycisnąć czegoś, czego ona nigdy nam nie zapewni.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

Polskie AI

Bielik – otwarty (na licencji open-source) model językowy stworzony przez fundację SpeakLeash, dzięki zasobom obliczeniowym Akademickiego Centrum Komputerowego Cyfronet AGH. Można go przetestować lub pobrać z bielik.ai.
PLLuM (ang. Polish Large Language Model) – rodzina otwartych modeli językowych powstałych w ramach konsorcjum, w którego skład wchodzą m.in.: NASK (lider), Politechnika Wrocławska, Instytut Podstaw Informatyki PAN, Instytut Slawistyki PAN, Ośrodek Przetwarzania Informacji, Uniwersytet Łódzki i ACK Cyfronet AGH. Projekt PLLuM do testowania na pllum.org.pl

eprasa.pl 5016b9842e



Rahat, największe arabskie miasto w Izraelu, cierpi na brak funduszy, przestrzeni i pracy.

Arabowie rekordowo licznie zagłosowali w izraelskich wyborach, by upomnieć się o swoje prawa. Najpierw oskarżono ich jednak, że ukradli wybory. A dziś sami się boją, że państwo ukradnie im przyszłość.

Arab zrobił swoje

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

20-tysięczne miasto Kfar Kara leży 35 km na południe od Hajfy. To część tzw. Trójkąta – arabskich wsi i miasteczek skoncentrowanych wzdłuż Zielonej Linii oddzielającej Izrael od Zachodniego Brzegu Jordanu. Izraelski fenomen – na tysiąc mieszkańców przypada tu średnio 28 lekarzy (średnia krajowa wynosi 4). – *Przy mojej ulicy w każdym domu mieszkają co najmniej trzy osoby z wyższym wykształceniem, prawnicy, lekarze, nauczyciele, wielu z nich zdobyło je w Niemczech, więc czasem nazywam ją Adasi Strasse* – mówi wesoło Mohammed Yehya, prawnik i sekretarz generalny żydowsko-arabskiej partii Wszystkich Obywateli.

Siedzimy w przestronnym salonie jego domu. Opowiada o sięgającej kilkuset lat historii swojej rodziny, współzałożycieli miasteczka. – *Dziś Beniamin Netanjahu próbuje zapobiec powstaniu rządu z udziałem partii arabskich, jakby wyniki wyborów nie miały znaczenia. Wiemy, że w Izraelu większość stanowią Żydzi, ale to przecież ustrój demokratyczny.* Po chwili dodaje z goryczą: – *Rozumiem, że nie do pomyślenia byłby arabski minister obrony czy spraw zagranicznych, ale dlaczego nie zdrowia czy edukacji?*

Gorszy sort

W Izraelu mieszka 2,17 mln Arabów, co stanowi 21,7 proc. ludności kraju. Nie wszyscy jednak cieszą się takimi samymi prawami politycznymi – w tej grupie jest również ok. 400 tys. Palestyńczyków ze wschodniej Jerozolimy, którzy w większości mają status stałych rezydentów, a nie obywateli Izraela, i nie mogą głosować w wyborach do Knesetu. W wyborach 27 października do głosowania uprawnionych było ok. 1,16 mln izraelskich Arabów, w tym ok. 160 tys. Beduinów (w Izraelu mieszka ich w sumie ▶

© KOBI WOLF/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 5016b9842e

▶ ok. 400 tys.), ok. 115 tys. Druzów (ze 150 tys.), 110 tys. arabskich chrześcijan (ze 145 tys.). Frekwencja w arabskich miejscowościach wyniosła ok. 77 proc., wobec 53 proc. cztery lata wcześniej.

Dwie główne arabskie listy zdobyły łącznie ponad 800 tys. głosów i 19 mandatów w 120-osobowym Knesecie: HaReszima HaMeszutefet (Wspólna Lista) otrzymała ok. 500 tys. głosów (9 proc. głosów i 11 mandatów), a bardziej pragmatyczna, islamistyczna Ra'am – prawie 340 tys. (6 proc. i 8 mandatów).

Różni je przede wszystkim strategia polityczna. Wspólna Lista, skupiająca kilka ugrupowań arabskich, stawia właśnie na wspólną reprezentację, prawa Palestyńczyków i sprzeciw wobec prawicowej polityki. A jej celem było przede wszystkim niedopuszczenie do powstania kolejnego rządu Netanjahu. Z jej list startowało kilkoro żydowskich polityków. Żyd, były wysokiej rangi policjant Joaw Segalowicz, był też numerem dwa na liście Ra'am, kierowanej przez Mansura Abbasa. Partia ta skupia się bardziej na codziennych problemach arabskiej społeczności: przestępczości, bezpieczeństwie, mieszkalnictwie i inwestycjach. Opowiada się za udziałem w rządzie, nawet jeśli oznacza to współpracę z żydowskimi partiami o odmiennych poglądach.

Oba ugrupowania rekomendowały wprawdzie lidera obozu „anty-Netanjahu" Gadiego Eisenkota na premiera, ale Wspólna Lista już zapowiedziała, że do rządu nie wejdzie (choć nie zagłosuje przeciw jego powołaniu). Nie jest pewne, jak ułoży się koalicja – swoją grę toczy niechętny Arabom Awigdor Lieberman, który próbuje dogadywać się z ultraortodoksami, a Eisenkot już w wieczór wyborczy mówił o stworzeniu „rządu syjonistycznego", co zostało bardzo źle przyjęte przez Arabów.

Napięcie widać było też podczas zaprzysiężenia nowego Knesetu – gdy zabrzmiał izraelski hymn, z sali wyszli deputowani Wspólnej Listy, szef Ra'am Abbas i politycy jego ugrupowania zostali. Gdy lider Wspólnej Listy Jusuf Dżabarin składał przysięgę, Itamar Ben-Gwir (minister bezpieczeństwa wewnętrznego w rządzie Netanjahu) krzyczał, że „przysięga wierność Hamasowi". „Do tych, którzy rozważają utworzenie rządu z udziałem zwolenników terroru, nienawidzących Izraela... Czy jesteście gotowi uzależnić się od ludzi, których celem jest zniszczenie państwa żydowskiego?" – pytał Netanjahu.

Arab czy Palestyńczyk

Jahja nie kryje rozgoryczenia pod adresem obozu Eisenkota: – *Mówiliście nam: „Idźcie głosować, zmieńcie rząd". A teraz się nas wstydzicie? Wstydzicie się Arabów? Teraz chcecie syjonistycznego rządu. Wykorzystaliście Arabów tylko po to, żeby zdobyć głosy. Arab zrobił swoje, Arab może odejść.* Uważa jednak, że problem jest głębszy. Mówi o systemowej dyskryminacji. Pierwszy przykład z brzegu – służba wojskowa. Izraelscy Arabowie wyłączeni są z powszechnego poboru, chociaż w armii na ochotnika służy ok. 1,6 tys. Beduinów, głównie w Pustynnym Batalionie Zwiadowczym lub w elitarnych jednostkach tropiących. W armii służą też Druzowie, ale dla zdecydowanej większości Arabów ta droga jest zamknięta.

– *Chciałem wstąpić na ochotnika na początku lat 90., ale odprawili mnie z kwitkiem. To przecież także mój kraj, powinienem mieć prawo służyć w armii* – mówi Sami Abbadi, inny mieszkaniec Kfar Kara. – *Izraelskie społeczeństwo nie jest gotowe zaakceptować 10 tys. Arabów z karabinami. Nie ufają nam, a przecież nie jesteśmy imigrantami z Japonii czy Danii, jesteśmy stąd* – dodaje Jahja.

Bez odbytej służby wojskowej wiele stanowisk, zwłaszcza w instytucjach związanych z bezpieczeństwem, jest niedostępnych dla Arabów. Co więcej, w Izraelu – zwłaszcza na prawicy – panuje narracja o arabskiej mniejszości i arabskich politykach będących rzekomo „piątą kolumną". Mówili tak wielokrotnie radykalni koalicjanci Netanjahu: Ben-Gwir, Becalel Smotricz czy Lieberman. Smotricz regularnie określa arabskie partie w Knesecie mianem „wspierających terroryzm" i oskarża je o podwójną lojalność.

Palestyńska aktywistka i współprzewodnicząca żydowsko-arabskiej partii Makom LeKulanu (Miejsce dla Wszystkich) Rula Daud uważa, że takie oskarżenia są niebezpiecznym narzędziem politycznym, wykorzystywanym do podważania legitymacji arabskich obywateli i wykluczania ich z udziału we władzy. – *Można jednocześnie identyfikować się z palestyńską tożsamością narodową, arabskim dziedzictwem kulturowym i izraelskim obywatelstwem bez konieczności wyboru między nimi* – mówi.

Co ciekawe, nie wszyscy izraelscy Arabowie identyfikują się jako Palestyńczycy. W tegorocznym badaniu przeprowadzonym przez Uniwersytet Telawiwski wśród arabskich obywateli zapytano ich o to, która z ich tożsamości jest najważniejsza. 13,5 proc. wskazało na palestyńską, 33 proc. na arabską, 28 proc. na izraelską, a 24,5 proc. odpowiedziało, że ich tożsamość określa religia.

– *Oczywiście jesteśmy Palestyńczykami. 2 mln izraelskich Arabów to ludność palestyńska, która mieszkała na tym obszarze przed powstaniem Państwa Izrael* – mówi Jahja. Dodaje też, że gdyby udało się doprowadzić do rozwiązania dwupaństwowego, zostałby tutaj. Uważa jednak, że to odległa przyszłość. Ważniejsze są dzisiejsze problemy, a numerem jeden jest kwestia bezpieczeństwa i działalność mafii, jaka w ostatnich latach umocniła się w arabskich miejscowościach na północy Izraela. Wymuszenia, handel narkotykami, bronią, nielegalne pożyczki i porachunki, w których tylko w tym roku zginęło 194 Arabów.

Mieszkańcy arabskich miejscowości oskarżają policję, że niewiele robi, by powstrzymać tę falę przemocy. Ludzie boją się wychodzić po zmroku, bo wtedy łatwiej znaleźć się na linii strzału: – *Niestety, państwo i policja uznały, że istnienie mafii w arabskim społeczeństwie jest korzystne. Uważają, że dobrze jest, jeśli Arabowie zabijają się nawzajem* – dodaje Jahja.

Kupa gruzu

90-tysięczny Rahat to największe miasto arabskie w Izraelu, zarazem największe skupisko Beduinów na pustyni Negew. Odrębna społeczność arabska, w przeszłości koczownicza, dziś żyjąca w stałych osiedlach. Na Negewie jest ich ok. 350 tys., z czego aż ok. 100 tys. w 35 tzw. nieuznawanych wsiach, o czym dalej.

Przy wjeździe do Rahat pierwsze, co rzuca się w oczy, to tony gruzu i śmieci. W samym centrum, gdzie mieszczą się m.in. ratusz i lokalne targowisko, też panuje nieporządek, nie ma drzew. – *To skutek systemowej dyskryminacji, zarówno finansowej, jak i przestrzennej* – tłumaczy jeden z miejskich aktywistów, który prosi o zachowanie anonimowości. Roczny budżet na jednego mieszkańca Rahat to 7,8 tys. szekli (prawie 10 tys. zł), w Tel Awiwie – 18,5 tys. Powierzchnia mieszkalna na osobę wynosi tu 19 m kw., w niedalekiej Beerszewie – dwukrotnie więcej. Podobnie jest z bezrobociem – w Rahat sięga nawet 14 proc., w całym Izraelu 3 proc.

Także tutaj największym problemem jest przestępczość. Tylko w tym roku zginęło dziesięć osób – tu, w odróżnieniu od mafii na północy kraju, problemem są porachunki rodzinne i plemienne. Brakuje policji, ale też zaufania do niej. Problem numer dwa to brak miejsca – miasto nie może się rozwijać, a ludzie nie mają

eprasa.pl 5016b9842e



Beduini z pustyni Negew często padają ofiarą przymusowych wyburzeń. W tegorocznych wyborach do urn poszło aż 80 proc. spośród nich.

gdzie budować nowych domów. To też problem społeczny – jeśli szukający żony młody mężczyzna nie może zaoferować domu, nie jest w stanie zawrzeć małżeństwa.

W ostatnich wyborach frekwencja wśród Beduinów sięgnęła 80 proc. To imponujące, zważywszy na fakt, że na tych terenach brakowało lokali wyborczych. Mobilizacja była jednak ogromna. Dlaczego? – *Ben-Gwir wielokrotnie mówił, że Beduini są bandytami. Do tego dochodzą ciągłe wyburzenia domów. Ludzie poszli głosować, bo chcą zmiany. I chcą też pokazać, że nie są wrogami państwa, lecz jego częścią* – mówi cytowany wcześniej aktywista z Rahat.

Państwo izraelskie nie uznaje części beduińskich roszczeń do tradycyjnie użytkowanych ziem i uważa wiele zabudowań za nielegalne. W konsekwencji mieszkańcy nie dostają pozwoleń na budowę, a ich domy mogą zostać w każdej chwili wyburzone. Beduini mają pozorny wybór – mogą przenieść się do miast wyznaczonych przez państwo. – *Dla większości z nich to nie do przyjęcia. Czują ogromny związek z ziemią, którą zamieszkują od pokoleń, hodują swoje zwierzęta, nie mogą tak po prostu przenieść się do wielopiętrowego bloku i mieszkać wśród obcych* – wyjaśnia Marwan Abu Frieh, prawnik broniący praw Beduinów.

W jednej z takich nieuznawanych wiosek – Az-Zarnug, kilkanaście kilometrów od Beerszewy – nie ma nawet tablicy z jej nazwą. Na najbliższym przystanku autobusowym widnieje napis Abu Kider, czyli nazwisko ostatniego dominującego w okolicy rodu. Mohammed Abu Kider, pełniący funkcję wójta, pokazuje szkołę podstawową, którą udało się tu wybudować siłami mieszkańców i zagranicznych sponsorów. Po latach starań państwo szkołę uznało, ale wybudowanego obok liceum już nie.

Największym problemem są wyburzenia domów – nakaz może przyjść w każdej chwili, bo okazało się, że 80 proc. wioski leży na ziemi kupionej przez pochodzącego z Białorusi Żyda w latach 30. XX w. Teraz jego potomkowie walczą w sądach o wypędzenie Beduinów. – *Sam się zastanawiam, czy remontować pokój dzieci. Bo co będzie, jeśli każą się nam wynosić?* – mówi Mohammed Abu Kider.

Wioska nie ma jak się rozwijać przestrzennie, więc ludzie próbują dobudowywać piętra do postawionych z blachy, desek i odrobiny cementu skromnych domów. To jednak też nie lada wyzwanie, bo drony próbują wyłapywać nielegalne dobudówki. Na dachy sypie się więc ziemię, by ukryć, że to nowa konstrukcja. Na każdym domu są panele słoneczne, bo nieuznawalność wiąże się też z brakiem przyłączenia do sieci energetycznej.

W wiosce jest kilka sklepów, ale nie ma choćby placu zabaw, skwerku. Chłopcy kopią piłkę na ubitym pustynnym piasku, wokół walają się śmieci, nieczystości spływają wprost do niewielkiej rzeczki – tylko tu dostrzec można zieloną roślinność. Mimo tego mieszkańcy nie wyobrażają sobie, żeby mogli opuścić to miejsce: – *To nasz dom, jeśli zmuszą nas do odejścia, będzie wojna* – mówi Majjada, żona Mohammeda. To właśnie z tego powodu ruszyli do urn – żeby zatrzymać rozbiórki i móc tu zostać. Ze 140 tys. głosów Beduinów ponad 120 tys. oddano na partię Mansura Abbasa.

Ratownik bez domu

Państwo izraelskie słabo interesuje się bezpieczeństwem Beduinów i Arabów. Ponad 50 proc. z nich nie ma dostępu do przestrzeni chronionych lub bezpiecznych pokoi w domach. Aż 92 proc. ludności nieuznawanych wiosek nie ma dostępu do schronów. W Az-Zarnug jest wprawdzie kilka niewielkich publicznych schronów koło szkół, ale gdy lecą rakiety, nie ma tam zajęć, a reszta mieszkańców ma za daleko, żeby dotrzeć na czas.

Za to wielu Beduinów interesuje się bezpieczeństwem swoich żydowskich współobywateli. Rzadko się o tym mówi, ale Beduini byli też ofiarami ataku z 7 października 2023 r. – z rąk hamasowców zginęło tamtego dnia 21 członków społeczności, siedmiu wzięto jako zakładników. Wielu Beduinów pomagało żydowskim znajomym i sąsiadom, przygotowywali m.in. paczki z żywnością. – *Myśleliśmy, że 7 października zmieni sposób postrzegania Beduinów, ale tak się nie stało* – mówi mieszkaniec Rahat. Właśnie wyburzono dom Jusefa Al-Ziadny, który 7 października uratował ponad 30 imprezowiczów z festiwalu w Re'im.

AGNIESZKA ZAGNER

© AHMAD GHARABLI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 5016b9842e

Jeszcze narty nie umarły

Rusza narciarska zima 2026/27. Klimat i obyczajowe mody kolejny już rok nie wróżą dobrze branży. A jeszcze kryzys paliwowy… Jak ośrodki zimowe, firmy turystyczne i producenci sprzętu chcą przetrwać ten czas?

Zacznijmy od najważniejszego: śniegu. Jesienią narciarskie media społecznościowe zalały zdjęcia porównujące obecny stan najsłynniejszych lodowców Alp z warunkami panującymi na nich w analogicznym okresie przed kilku ledwie laty. Zestawienie wszędzie wypadło kiepsko, a często dramatycznie, np. na Grande Motte nad francuskim Tignes pokrywa lodowo-śnieżna kurczy się w ostatniej dekadzie po 2–4 m rocznie.

Międzynarodowa Federacja Narciarska (FIS) wespół ze Światową Organizacją Meteorologiczną (WMO) ogłosiły alarmistyczny raport. Eksperci sporządzili katalog rekomendacji dla zarządzających stacjami zimowymi, jak przynajmniej ograniczyć katastrofę. Punktem wyjścia jest dramatyczna prognoza, wedle której „przy ociepleniu o 2 st. C powyżej poziomu przedindustrialnego 53 proc. z 2234 ośrodków narciarskich w 28 krajach europejskich będzie miało bardzo wysokie ryzyko niewystarczającej ilości śniegu bez naśnieżania". Tymczasem lata 2015–25 były jedenastoma najcieplejszymi w historii. Rosnące temperatury i cofanie się lodowców ograniczają też dostępność stoków treningowych, a w ostatnim sezonie niekorzystna pogoda doprowadziła do odwołania 25 zawodów rangi Pucharu Świata. Co najważniejsze, zagrożona jest przyszłość narciarstwa także jako sposobu rekreacji. Choćby przez to, że w niżej położonych ośrodkach opady są niewystarczające, a wyższe temperatury, ograniczone zasoby wody i wysokie koszty energii redukują możliwości (i opłacalność) dośnieżania.

Stacji narzędzia i chwyty

Coraz popularniejszym sposobem na zaradzenie niedostatkom śniegu staje się *snow farming*. Polega na zgromadzeniu w ciągu sezonu zapasów śniegu i próbie przechowania go przez lato pod warstwami włókniny lub trocin, by wykorzystać następnej zimy do zbudowania podkładu pod naturalny lub sztuczny śnieg. Naturalnie metoda ta możliwa jest jedynie na lodowcach albo w wyżej położonych ośrodkach z odpowiednim mikroklimatem – dowodem lombardzka Santa Caterina Valfurva (przez lata ulubione miejsce treningów Justyny Kowalczyk), gdzie udało się otworzyć tory biegowe już pod koniec października.

Obszary położone niżej muszą sobie radzić inaczej – choćby tworząc precyzyjne systemy monitorowania sytuacji na stokach, dośnieżania i zaopatrzenia w wodę. Modelowe rozwiązania wypracował jeden z największych, ale i najbardziej ekologicznych terenów narciarskich na świecie, czyli SkiWelt Wilder Kaiser – Brixental w Alpach Kützbuhelskich. Choć tamtejsze trasy wytyczone są na niewielkiej jak



SkiWelt Wilder Kaiser – Brixental

© FLORIAN MUHAREMI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5016b9842e

RAINBOW

R.pl

NARTY

RODZINNE **SKI SAFARI**

DLA DOROSŁYCH



Samolot, autokar lub dojazd własny

Rainbow Ski Academy – instruktorzy SITN

Przewóz sprzętu i rozszerzone ubezpieczenie w cenie

Figloklub na stoku i w hotelu

NAJLEPSZE REGIONY I TRASY:

Włochy, Austria, Andora, Gruzja, Kazachstan i Japonia

eprasa.pl 5016b9842e

na Alpy wysokości (najwyższy punkt, czyli Hohe Salve, leży na 1829 m n.p.m.), to nawet w ubogie w śnieg zimy udaje się przygotować je na potrzeby narciarzy od początków grudnia do połowy kwietnia. Miejscowi spece pracują nad tym w sześciu sprzężonych stacjach przygotowywania tras. Dzięki wprowadzonemu za pół miliona euro w 2017 r. systemowi mierzenia pokrywy śnieżnej SkiWelt mogą wytwarzać dokładnie tyle technicznego śniegu, ile potrzeba, a więc też oszczędzać wodę i energię. Tak czy tak, ostatnimi laty SkiWelt w każdym sezonie na dośnieżenie wydaje ok. 2 mln euro.



Kitzbühel

Inwestycje w śnieg muszą się odbić na cenie narciarskich karnetów. Te wzrosły niebywale, choć stacje, chcąc utrzymać klientów, i tu szukają rozwiązań. Standardem stał się choćby dynamiczny (wzorowany na liniach lotniczych) system sprzedaży online. A zamiast modnych skipassów na gigantyczne przestrzenie – siłą rzeczy drogich, a dla przeciętnego narciarza trudnych do wykorzystania, oferują warianty karnetów na sieci wyciągów realnie odpowiadające potrzebom.

Atutem – po pandemicznej zapaści – znowu mają być inwestycje. Nie tylko w infrastrukturę wyciągową – skądinąd zamiast stawiać coraz więcej kolejek, buduje się ich mniej, tyle że wydajniejszych. Pozwala to lepiej sterować przepływem narciarzy, a mniej ingeruje w krajobraz. Zmienia się filozofia wytyczania tras – priorytetem stało się bezpieczeństwo. I tak kluczową ostatnio inwestycją tyrolskiego Sölden jest wytyczenie węzła łączącego ważne, bo prowadzące do doliny trasy stacji, by upłynnić ruch i ograniczyć ryzyko wypadków podczas wieńczących narciarski dzień zjazdów. A w Jasnej na słowackim Chopoku, miejsca, w których często dochodziło do wypadków, objęto stałym monitoringiem, by ratownicy mogli interweniować szybciej.

Za magnes służą też głośne wydarzenia sportowe. Markę Sölden wzmacnia doroczna inauguracja alpejskiego Pucharu Świata, renomę Wengen i Kitzbühel budują tamtejsze najtrudniejsze trasy zjazdu, sławę Schladming i Madonny di Campiglio kreują spektakularne nocne slalomy. Włodarze Saalbach w Ziemi Salzburskiej, które dwie zimy temu gościło alpejskie mistrzostwa świata, przekonują, że choć impreza nie odbiła się spektakularnym wzrostem liczby gości, to zyskiem są związane z nią inwestycje, bo będą służyć ośrodkowi jeszcze długo.

Są i inne pomysły. W Sölden od lat hitem jest zbudowane na 3048 m n.p.m. muzeum „007 Elements", atrakcyjnie przedstawiające kulisy kręcenia w scenerii okolicznych gór filmu „Spectre" o wyczynach Jamesa Bonda. Innych wrażeń dostarcza Balloon Week w Filzmoos, organizowany w połowie stycznia z udziałem ekip z kilkudziesięciu krajów świata w narciarskiej wiosce u stóp groźnego masywu Dachstein. Ciekawy wydaje się wreszcie pomysł nart z… miasta. Oto stolica Tyrolu Innsbruck sugeruje łączenie atrakcji narciarskich i miejskich. Kwaterujący w hotelach goście mogą wieczory spędzać w którymś z muzeów czy w kawiarni, a rano wybrać się na narty do któregoś z nieodległych ośrodków zimowych – lodowcowego Stubai, olimpijskich Axamer Lizum i Patscherkofel czy górującego nad miastem Nordkette.

Touroperatorzy walczą

Inne kłopoty mają działające w turystyce narciarskiej biura podróży. I to nie tylko przez wyższe ceny paliw, a więc transportu. Rolę grają też zróżnicowane wymagania oraz zmieniające się mody. Szczęśliwie, choć rośnie popularność wyjazdów zimą do ciepłych krajów, to wedle badań Visa 2026 w ostatnich pięciu latach na narty wybrało się 23 proc. Polaków.

– *Klienci częściej decydują się na kilka krótszych wyjazdów w roku zamiast dłuższego urlopu. Widzimy więc raczej dywersyfikację urlopu niż odwrót od narciarstwa* – tłumaczy Anita Duda, ekspertka ds. produktu narciarskiego w Rainbow Tours. Dodaje, że równocześnie narciarze coraz częściej szukają nie tylko przygotowanych stoków, ale także nowych miejsc i doświadczeń. Przykładem Japonia, która przyciąga wyjątkowym śniegiem – słynnym lekkim puchem „Japow", ale również egzotyczną atmosferą wyjazdu. Bądź Gruzja – z wysokogórskimi krajobrazami, świetnymi warunkami do jazdy, także pozatrasowej, ale i atrakcyjnym stosunkiem jakości narciarskiej wyprawy do jej ceny. Niezapomnianą przygodą mogą być też narty w górach Kazachstanu.

Ważnym narzędziem są wciąż spore rabaty na ceny noclegów i karnetów, które dostają touroperatorzy współpracujący z zimowymi kurortami, ponieważ w efekcie na zniżki mogą liczyć też klienci. Bo kluczowa niezmiennie jest relacja jakości do ceny. Rodzimi narciarze, zwłaszcza ci nienastawieni na ekstremalną egzotykę, oczekują dziś przede wszystkim komfortu. Nawet jeśli ośrodek proponuje imponującą liczbę tras, to kolejki do wyciągów i zatłoczone stoki obniżają

© BOERESCU/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5016b9842e



SKI team®



SKI team®

Katowice
ul. Sportowa 20



SKI team®

Poznań
ul. Bułgarska 117 A



SKI team®

Wrocław
ul. Grabiszyńska 107 B



SKI team®

Warszawa
ul. KOR 36/38



SKI team®

Warszawa
ul. Toruńska 107 B

Prawie 40 lat na rynku! Najlepsze sklepy z odzieżą oraz sprzętem narciarskim i snowboardowym w Polsce!

eprasa.pl 5016b9842e

satysfakcję. Istotny stał się poziom zakwaterowania, bezpieczeństwo, oferta dla rodzin z dziećmi, atrakcje poza stokiem. – *Przyszłość mają regiony, które nie koncentrują się wyłącznie na narciarstwie, ale potrafią zaoferować różne możliwości spędzania zimowego urlopu* – przewiduje analityczka Rainbow Tours.

Znamienne, że branża znalazła też sposób na szaleństwa klimatyczne – są nim kameralne wyjazdy „na pogodę". Cel wyprawy organizatorzy wybierają w zależności od aktualnych warunków śniegowych. A że korzystają z sieci zaprzyjaźnionych apartamentów, w góry z grupami zapaleńców ruszają ledwie kilkuosobowymi busami, i to często w środku tygodnia, więc mogą swobodnie poszukiwać najlepszego śniegu.



Madonna di Campiglio

Narty sprzedam, nart nie kupię

Coraz trudniej handlować sprzętem narciarskim. Z modą na sporty zimowe konkurują coraz silniej inne aktywności, uprawiane bez względu na porę roku (bieganie, rowery) albo w ciepłych miejscach (kite, nurkowanie). Znaczenie ma też, paradoksalnie, niebywała mnogość kolekcji nart i butów. Dość powiedzieć, że każda z kilkudziesięciu czołowych firm oferuje co roku po kilkadziesiąt modeli nart w każdej z grup docelowych: dla początkujących i zaawansowanych, dla lubiących jeździć po przygotowanych trasach oraz w głębokich puchach (bądź i tu, i tu), wolących skręty dłuższe albo krótsze, skiturowców itd. Wszystko z podziałem na płeć. Katalog dużej firmy może więc obejmować kilka dziesiątek modeli nart. Aby wybrać coś dla siebie – bądź w przypadku sklepowych subiektów: doradzić klientowi – trzeba być nie lada fachowcem.

Równocześnie ci, którzy pasji oddają się jedynie podczas ferii szkolnych i weekendowych wypadów, nie czują potrzeby inwestowania we własną parę nart. Zwłaszcza że czasem częściej na stoki dostają się samolotem – wtedy dużo wygodniej (i taniej) jest korzystać z wypożyczalni na miejscu. Wypożyczanie to także rozwiązanie dla tych, którzy chcą próbować najnowszych rozwiązań technologicznych różnych marek.

Tomasz Piątkowski, szef spółki Ski Team, największego w Polsce detalisty w branży sportów zimowych, podaje twarde dane. Otóż na przełomie lat 80. i 90. XX w. rocznie sprzedawano na świecie ponad 6 mln par butów narciarskich, a obecnie sprzedaż nie przekracza 4 mln par. Co równie istotne, niemal 50 proc. produkowanego sprzętu trafia do wypożyczalni. Ponadto w handlu detalicznym nartami udział internetu zbliża się już do 40 proc., a w odzieży i akcesoriach przekracza 60 proc.

W rezultacie liczba sklepów stacjonarnych dramatycznie spadła. Właściciel Ski Team, który pracuje w branży od niemal 40 lat, tłumaczy: – *Handel sprzętem sportów zimowych w sklepach stacjonarnych jest obarczony dużym ryzykiem sezonowości, a dodatkowo znacznymi kosztami stałymi: wynagrodzeń sprzedawców/doradców klienta, najmu powierzchni, zmieniających się rokrocznie kolekcji. Nam doświadczenie pozwala uniknąć kardynalnych błędów. Dlatego trwamy.*

Aby ratować sprzedaż, producenci kuszą klientów coraz nowszymi rozwiązaniami technologicznymi. Lecz za naprawdę rewolucyjne wynalazki wprowadzone w ostatnich dekadach można uznać co najwyżej mocno taliowane narty carvingowe oraz znacznie już mniej spektakularny pomysł, jakim jest rocker (podniesienie dziobów i piętek nart). Dzięki zmianie geometrii nart sama jazda stała się łatwiejsza (w przypadku rockera także na gorzej przygotowanych trasach, a zwłaszcza w terenie). Najnowszym trendem jest obniżenie wagi nart, poprawa wytłumiania drgań i używanie materiałów podatnych na recykling. W miejsce poliuretanu do łask wraca drewno, stal zastępowana jest titanalem, a włókno szklane – węglowym, żywice i kleje z rafinacji węglowodorów – biożywicami i bioklejami.

A że od zawsze narciarze amatorzy narzekali na niewygodne buty, więc hitem ostatnich trzech zim stał się BOA. Otóż w miejsce tradycyjnych klamer do spięcia buta (całkowicie bądź tylko w niektórych partiach cholewki) używany jest system linek ściąganych wygodnym pokrętłem. Czy pomysł się przyjmie, czy okaże tylko ciekawostką? Na razie opinie o BOA są podzielone. Łatwiej idzie z odzieżą – tu swoje robią zmiany mody: krojów stroju, a nawet kolorystyki. A również nieustanne nowości technologiczne: po boomie na odzież oddychającą z tworzyw sztucznych popularna staje się wełna australijskich owiec merynosów.

Tak czy tak, branża dzielnie walczy z przeciwnościami. Może więc wciąż jeszcze narty nie umarły?

KRZYSZTOF BURNETKO

Autor na portalu polityka.pl prowadzi poświęcony narciarstwu blog „W śniegu i po śniegu".

© LIVEMEDIA/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5016b9842e

Austria

Lebens-gefühl

['leːbn̩sgə˛fyːl]

Nie przestaniesz
o tym myśleć.



austria.info

eprasa.pl 5016b9842e

Głos ulicy

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z VALLADOLID I SARAGOSSY

W niedzielę Hiszpanie idą głosować. I musiałby wydarzyć się cud, żeby socjaliści zachowali władzę. Ich zwolennicy są głośni, ale zderzą się z milczącą większością, która ma dość.

Kilometry pól uprawnych i wiatraków otaczają miasteczko Villán de Tordesillas. Leży niespełna 20 km od stolicy prowincji, Valladolid, na północy Hiszpanii. O tym regionie mówi się często *vaciado*, wyludniony. Liczba mieszkańców od lat 60. spadła o ponad połowę. Nie ma tu piaszczystego wybrzeża ani masowej turystyki. W miasteczku zamieszkanym przez 122 mieszkańców jest tylko jeden bar, spółdzielnia rolnicza, ratusz miasta i firma produkująca maszyny rolnicze. Większość mieszkańców to właśnie rolnicy. Co trzeci z nich przekroczył już 65. rok życia.

W okolicy są setki takich miasteczek, a w całym kraju tysiące. Ale w marcu, po wyborach regionalnych, Villán de Tordesillas trafiło na nagłówki gazet. „Pueblo facha" (Faszystowskie miasteczko),



© LORENA SOPENA/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 5016b9842e

„El pueblo más de derechas en España” (Najbardziej prawicowe miasteczko Hiszpanii) – donosili dziennikarze.

Od 27 lat burmistrzem jest tu José Vidal Adalia ze starej, centroprawicowej Partii Ludowej (PP). W tym roku jednak nawet jego syn Juan postanowił zagłosować na skrajną prawicę VOX. Burmistrzem wciąż pozostaje jego ojciec (bo nie było innego kandydata), ale w wyborach regionalnych ponad połowa mieszkańców zagłosowała na skrajną prawicę. Jeśli liczyć wszystkie głosy oddane na prawicę (PP, VOX i jeszcze dwa mniejsze ugrupowania), to daje... 93 proc.



Santiago Abascal z VOX. Skrajna prawica idzie po władzę.

głosów. Na socjalistów z PSOE, czyli partię obecnego premiera Pedro Sáncheza, padły dosłownie dwa głosy.

– *Ludzie tu mówią, że nie chcą imigrantów, a potem zatrudniają ich na swoich polach. Sprzeciwiają się zasiłkom, a sami je biorą* – mówi kobieta, która głosowała na PSOE, ale woli pozostać anonimowa. Pozostali mieszkańcy widzą to zgoła inaczej. Wśród zarzutów wobec rządzących Hiszpanią od ośmiu lat socjalistów jest zaniedbanie rolnictwa i umowa Mercosur (handel z Ameryką Łacińską).

43-letni syn burmistrza Villán de Tordesillas mówi, że osoby w wieku jego ojca wybierają Partię Ludową, a jego pokolenie „stawia na świeżość”, czyli na VOX. Liczy, że wyniki z jego miasteczka przełożą się na rezultaty w ogólnokrajowych wyborach. Skrajna prawica nie ma szans powtórzyć tego lokalnego sukcesu, ale Juan może mieć trochę racji.

29 listopada w Hiszpanii odbędą się przyspieszone wybory parlamentarne. W porównaniu z poprzednimi – z lipca 2023 r. – to VOX ze wszystkich partii zyskuje najbardziej i może podwoić liczbę posłów. W samorządach VOX sprawuje władzę w koalicji z PP już od miesięcy. W prawie połowie z hiszpańskich Wspólnot Autonomicznych (jest ich 16) jest w koalicji albo wspiera rząd Partii Ludowej. Tak jest w Andaluzji, Aragonii, Estremadurze, Kastylii i León, Murcji, Walencji i na Balearach.

Czy teraz skrajna prawica sięgnie po władzę w całym kraju?

Pierwszeństwo dla Hiszpanów

Eleazar pochodzi z Saragossy. Od urodzenia – czyli od 32 lat – mieszka na osiedlu San Pablo, potocznie zwanym El Gancho, które jest uważane za najbardziej niebezpieczne. To ściśle centrum tego 700-tysięcznego miasta, ale – jak mówi mężczyzna – osiedle w większości zamieszkane jest przez imigrantów z Maroka.

Eleazar jest taksówkarzem, podczas kursu opowiada o sobie. Pytam go, czy zamierza zagłosować w zbliżających się wyborach. Po krótkim wahaniu przyznaje, że odda głos na VOX. – *Oni chcą walczyć o mój kraj, chcą, byśmy my – obywatele – byli priorytetem* – mówi Eleazar. – *Nie obraź się, ale tak jak w twoim kraju twoja matka powinna mieć prawo do godnego mieszkania i emerytury, tak samo tutaj w pierwszej kolejności powinniśmy liczyć się my – Hiszpanie. 80 proc. moich znajomych myśli tak samo. Oczywiście boją się do tego przyznać, bo zaraz ktoś powie, że są faszystami*. Na koniec dodaje: – *W mojej dzielnicy Marokańczycy kradną i handlują narkotykami. Nie potrzebujemy takich migrantów.*

Eleazar odwołuje się do kluczowego hasła VOX, czyli „priorytet narodowy”. Chodzi o pierwszeństwo w przyznawaniu m.in. zasiłków i mieszkań komunalnych dla obywateli Hiszpanii.

Dziś Saragossa i cała Aragonia jest rządzona przez Partię Ludową w koalicji z VOX. Tutaj skrajna prawica w ostatnich wyborach regionalnych także podwoiła liczbę deputowanych. Premier Sánchez wysłał nawet z Madrytu jedną ze swoich zaufanych polityczek, Pilar Alegríę, która – aby startować w wyborach – porzuciła stanowisko minister edukacji oraz rzeczniczki rządu. Mimo to wynik – 24 proc. – rozczarował socjalistów. Zwłaszcza że VOX dostał wtedy tylko 6 pkt proc. mniej.

Minęło dziewięć miesięcy, ale zdaniem 46-letniej Sonii zmiany w zarządzaniu Saragossą już widać. Kobieta jest pracowniczką socjalną i przez 22 lata pracowała z nieletnimi, głównie migrantami. Teraz straciła posadę, bo organizacjom pozarządowym pracującym z migrantami z dnia na dzień obcięto finansowanie.

Z Sonią rozmawiam podczas wieczornego protestu w Saragossie w ramach 24-godzinnego strajku generalnego. – *Sytuacja w kraju jest zła. Moja pensja przez 22 lata prawie się nie zmieniła. Wzrosły za to ceny jedzenia, paliwa. Prawie połowę pensji wydaję na czynsz. Mimo to nie chcę, by faszyści doszli do władzy.*

Tutaj są antyfaszyści

Do strajku generalnego doszło 11 listopada. Ministrowie na znak solidarności ze strajkującymi odwołali swoje spotkania, publiczne wystąpienia i poparli protestujących. Ze sceny podczas protestu w Saragossie odpowiedziała rządowi Alicia Gallego, rzeczniczka lokalnego Związku Najemców: „Protestujemy przeciwko wszystkim rządom kapitalistycznym i ich poplecznikom. Progresywny rząd próbuje prezentować się jako mur przed faszyzmem, ale my wiemy, że to polityka tego właśnie rządu pozwoliła na wzrost poparcia dla skrajnej prawicy. To rząd pozwolił na zubożenie klasy pracującej”.

Morze ludzi, pomarańczowe kamizelki i parasole. „Aquí están los antifascistas” (Tutaj są antyfaszyści), „Lucha es el único camino” (Walka jest jedyną drogą) – krzyczeli protestujący. Celem strajku była ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ walka o godne mieszkania, wyższe pensje i koniec eksmisji. Tego dnia w Saragossie mimo deszczu przeszło 60 tys. ludzi. Wśród nich był Fernando, emeryt, który pokonał całą trasę o kulach. – *Na prywatną wizytę u ortopedy muszę czekać 70 dni, a w publicznej służbie zdrowia – nawet osiem miesięcy. Tak kończy się prywatyzacja wszystkiego przez prawicę* – mówi.

Fernando przyszedł na protest, bo ma dwoje dzieci. Jego 28-letnia córka, nauczycielka w liceum, musi wynajmować mieszkanie z trzema koleżankami. 31-letni syn, pielęgniarz w szpitalu, wciąż nie wyprowadził się z domu rodzinnego.

74-letni Ilario także był na proteście. Szedł w pomarańczowej kamizelce z nazwą Związku Najemców, Sindicato de Inquilinos. Kolor pomarańczowy stał się symbolem walki o godne mieszkania, widać go na balkonach w całym kraju. A Ilario jest dowodem na to, że protesty nie dotyczą tylko młodych. – *30 lat temu młodzi mogli się usamodzielnić w wieku dwudziestu kilku lat. Dziś kupno czy wynajem mieszkania graniczy z cudem. Bo czynsz czy kredyt pochłania niemal całą pensję* – mówi Ilario.

Protesty 11 listopada przeszły przez kilkadziesiąt miast. Były częścią całodobowego strajku generalnego, pierwszego w kraju od 14 lat. Blokady portów morskich i dróg pojawiły się tuż po godzinie piątej rano. Największą mobilizację widać było wśród pracowników przemysłu i handlu w Katalonii. Wielu z nich nie zniechęciła nawet perspektywa utraty dniówki.

Organizatorzy – największe hiszpańskie związki zawodowe oraz Związek Najemców – ogłosili sukces. Według ich szacunków 11 listopada do pracy nie poszło 4 mln osób. Część strajkujących blokowała centra handlowe i sklepy. Ich właściciele, obawiając się wandalizmu, woleli zamknąć lokale. Do starć z policją doszło m.in. na madryckiej ulicy Gran Vía, a także po zakończeniu wieczornych demonstracji w Madrycie i Barcelonie. Łącznie zatrzymano ponad 60 osób.

Strajk sparaliżował również transport. Tego dnia odwołano 280 lotów. Przez siedem godzin nie kursowało metro w Barcelonie. Odwołano też tysiące pociągów i autobusów.

Kobieta bez domu

Impulsem dla strajku generalnego była jedna eksmisja. W kraju średnio dochodzi do 44 eksmisji dziennie, ale ta z 23 września wyjątkowo wzburzyła Hiszpanów. Z wynajmowanego mieszkania w centrum Madrytu ratownicy wynieśli 87-letnią Maricarmen. Kobietę eksmitowano po 70 latach mieszkania w jednej kamienicy, umowę na wynajem podpisał jeszcze jej ojciec. Do eksmisji doszło po tym, jak nowi właściciele mieszkania drastycznie podnieśli kobiecie czynsz do 1650 euro, czyli więcej, niż wynosiła jej emerytura. Maricarmen wkrótce zmarła w szpitalu. Jej eksmisję skomentował nawet papież: „Co jest nie tak z systemem, który pozwala wyrzucić starszą kobietę z domu?".

Rząd – pod presją tej historii – nie zdołał jednak zdobyć większości w Kongresie Deputowanych, by przegłosować dwa dekrety mieszkaniowe, które m.in. miały chronić przed eksmisją osoby znajdujące się w trudnej sytuacji życiowej. W efekcie premier rozwiązał parlament i ogłosił przyspieszone wybory. Oprócz protestów mieszkaniowych i strajku generalnego tej jesieni na ulice wychodzą protestować również nauczyciele, lekarze i kolejarze. – *To pierwsza w historii Hiszpanii kampania hybrydowa, której agendę ustalają zewnętrzni gracze* – mówi Iván Redondo, były szef kampanii wyborczych Pedro Sáncheza i biura premiera.

Zdaniem Redondo tematy w tej kampanii wybierają obywatele poprzez protesty. – *Tradycyjne media, propozycje wyborcze i wiece niewiele wnoszą. Teraz liczy się bardziej głos outsiderów, czyli ulicy i np. youtubera Jordiego Wilda, który przeprowadził wywiady z trzema głównymi kandydatami kampanii* – uważa Redondo. Ponadto czworo głównych kandydatów – Alberto Núñez Feijóo z PP, Sánchez z PSOE, Santiago Abascal z VOX oraz Ada Colau z lewicowego ugrupowania Frente Amplio – wystąpiło w programie rozrywkowym „La Revuelta".

Według politolożki i socjolożki Cristiny Monge premier Sánchez rozpisał wybory po pierwszych protestach mieszkaniowych, bo uznał, że temat społeczny może pomóc lewicy w tych wyborach. Wcześniejszy lipcowy kryzys migracyjny w Ceucie, kiedy ponad 70 tys. migrantów przedostało się na teren enklawy, wyraźnie nie służył w sondażach rządowi.

Przed wyborami Hiszpanią wstrząsnęła jednak kolejna w tym roku katastrofa kolejowa. W październiku w Urdzie (Toledo) zginęło 69 osób. Minister transportu po obciążeniu winą za wypadek pracownika centrum sterowania ruchem podał się do dymisji, podobnie jak później także szef Adif, firmy, która kontroluje infrastrukturę kolejową. Temat ten na kilka dni wstrzymał kampanię i kraj pogrążył się w żałobie. A notowania socjalistów znów spadły.

Cena ośmiu lat

W czerwcu minęło osiem lat od objęcia władzy przez Pedro Sáncheza. Po pierwszym, udanym okresie rządzenia, przez ostatnie trzy lata rząd socjalistów nie był już w stanie uchwalić budżetu. A przez ostatni rok Sánchez musiał sobie radzić bez stabilnej większości parlamentarnej i w cieniu licznych afer korupcyjnych.

Były minister transportu i jeden z najbliższych współpracowników Sáncheza, José Luis Ábalos, odsiaduje karę 24 lat więzienia m.in. za handel wpływami, sprzeniewierzenie środków publicznych i udział w organizacji przestępczej. W lipcu sąd skazał brata Sáncheza na dziewięć lat zakazu pełnienia funkcji publicznych za nadużycie władzy. Z kolei żona premiera, Begoña Gómez, również stanie przed sądem. Postawiono jej zarzuty m.in. handlu wpływami i sprzeniewierzenia środków publicznych.

Na koncie rządu są jednak sukcesy. W ciągu ośmiu lat PKB Hiszpanii wzrósł o ponad 12 proc., płaca minimalna o 66 proc., a bezrobocie spadło poniżej 10 proc. Wzrostowi wynagrodzeń towarzyszył jednak wzrost kosztów życia. Ceny żywności podskoczyły o 74 proc., a mieszkań – o 50 proc. Na sytuację gospodarczą wpłynęły m.in. pandemia, wojna w Ukrainie i konflikt w Iranie. Większość sondaży publikowanych od początku października, kiedy premier ogłosił przedterminowe wybory, wskazuje na przyszłą zmianę władzy. Wyniki badań dają szansę na uzyskanie bezwzględnej większości przez prawicowy duet Partii Ludowej i VOX. Sondaż pracowni 40dB dla radia Cadena SER i dziennika „El País", opublikowany 17 listopada, przyznawał obu partiom łącznie 191 mandatów, czyli większość bezwzględną w 350-osobowym Kongresie Deputowanych.

Zdaniem Redondo zwycięstwo socjalistów w tych wyborach wciąż jest możliwe, ale tylko przy bardzo wysokiej frekwencji. Zawsze gdy do urn szło ponad 70 proc. wyborców, rządziła tu potem lewica. Ale tym razem po lewej stronie brakuje optymizmu, który jest niezbędny do takiej mobilizacji. Dominuje niepewność i strach.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

eprasa.pl 5016b9842e

ŻYWOT PANÓW BRACI



W sprzedaży

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 5016b9842e

Przekazanie pałki

Co stanie się z Białorusią, gdy 72-letni Aleksandr Łukaszenka w końcu zejdzie z wachty? Jedynym ratunkiem dla reżimu może się okazać założenie dynastii.

KAMIL KŁYSIŃSKI



Klan Łukaszenków podczas wiecu z okazji Dnia Niepodległości Białorusi. Od lewej: Aleksandr, Wiktor, Nikołaj i Dmitrij.

eprasa.pl 5016b9842e

Aleksandr Łukaszenka zawsze miał o sobie wysokie mniemanie. A jego narcystyczna natura nie jest w stanie się oprzeć ani tanim pochlebstwom podwładnych, ani przypadkowym zbiegom okoliczności, ukazującym go w aurze doskonałości. Do legendy przeszła historia z 2004 r. Podczas telekonferencji z gubernatorami w sprawie przebiegu kampanii żniwnej, gdy jeden z podwładnych tłumaczył się Łukaszence z kiepskich rezultatów złą pogodą, ten rzucił poirytowany, że przecież nie jest Bogiem, aby to zmienić. Na co zestresowany rozmówca odparł, że uważa swojego prezydenta nawet za „kogoś nieco ważniejszego". Dyktator bez najmniejszego zażenowania podziękował za komplement i zadowolony zakończył rozmowę.

Innym razem, wchodząc na uroczystą mszę wielkanocną w cerkwi, w reakcji na okrzyki wiernych „Chrystus Zmartwychwstał!" Łukaszenka kłaniał się i dziękował za wyrazy uznania.

Czy takiego człowieka w ogóle można zastąpić? To bodaj najważniejsze pytanie współczesnej Białorusi. Bo przecież chodzi o osobę już niemłodą, nieufną, zapatrzoną w siebie do tego stopnia, że racjonalny mechanizm sukcesji w wersji białoruskiej w zasadzie nie istnieje. Jeśli więc nie Łukaszenka, to może... inny Łukaszenka?

To jednak nie jest takie proste. W Białorusi wszystko skupia się w rękach jednego człowieka będącego nie tylko faktycznym przywódcą, lecz również twórcą całego systemu władzy. Budowany już od ponad 30 lat model, z początku autorytarny, a w ostatnich latach coraz bardziej totalitarny, nie przewiduje wolnych wyborów, a na przejawy opozycji reaguje pałowaniem i wsadzaniem do więzień.



Aleksandr Łukaszenka jest nie tylko przywódcą, ale też twórcą całego systemu władzy.

Łukaszenka po raz pierwszy i ostatni wygrał sprawiedliwie wybory w 1994 r. Po władzę sięgał jako młody charyzmatyczny deputowany z doświadczeniem w zarządzaniu jednym z sowchozów; zdobył sympatię Białorusinów, zmęczonych biedą oraz chaosem pierwszych lat po rozpadzie ZSRR. Kolejne wybory coraz bardziej przypominały jednak farsę. Aż w styczniu 2025 r. wypracowano idealny scenariusz, w którym wszyscy dopuszczeni kontrkandydaci dyktatora byli jego zwolennikami oddelegowanymi jedynie do roli sparingpartnerów.

Jednocześnie coraz bardziej zaawansowany wiek przywódcy – w sierpniu tego roku skończył 72 lata – oraz pojawiające się od czasu do czasu symptomy słabnącej kondycji skłaniają do spekulacji na temat jego następcy. Wszyscy przy tym zdają sobie sprawę, że wybory mogą być tu jedynie formalnym potwierdzeniem wyniku zakulisowych rozgrywek lub osobistej decyzji samego Łukaszenki. I w tym właśnie kontekście pojawia się rodzina.

Aleksandr, mąż i ojciec

Stosunek przywódcy Białorusi do instytucji rodziny jest co najmniej specyficzny. Urodził się w 1954 r. we wschodniej części Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej; wychował się bez ojca, którego prawdopodobnie nigdy nie poznał, a status dziecka z pozamałżeńskiego związku w ówczesnych realiach wsi białoruskiej oznaczał de facto piętno osoby drugiej kategorii, członka niższej kasty. Można założyć, że to trudne dzieciństwo zakorzeniło w Łukaszence głęboką nieufność wobec ludzi i mściwość. Zaburzyło zdolność do budowania szczerych więzi emocjonalnych. Dlatego też może zawarte w 1975 r. małżeństwo z koleżanką ze szkolnej ławy Galiną Żelnerowicz nie należało do udanych. Choć para doczekała się dwóch synów: Wiktora i Dmitrija, to już w latach 90. tajemnicą poliszynela była faktyczna separacja małżonków.

Od tamtego czasu żyją oddzielnie. On – w Mińsku, w luksusowych rezydencjach, ona jako skromna, być może już emerytowana, urzędniczka – w Szkłowie w obwodzie mohylewskim. Małżonkowie nigdy nie pojawili się razem na żadnej oficjalnej uroczystości, nawet na żadnym spotkaniu z zagranicznymi liderami. Jednocześnie Łukaszenka nie zdecydował się na rozwód, co zapewne było podyktowane względami wizerunkowymi.

Tu warto dodać, że dyktator lubi prezentować się jako zwolennik tradycyjnego modelu rodziny – czemu towarzyszą kpiny z mniejszości seksualnych oraz protekcjonalne podejście do kobiet, których miejsce w jego mniemaniu jest raczej w kuchni niż na wysokich stanowiskach państwowych.

Niedostatki w związku małżeńskim Łukaszenka rekompensuje sobie burzliwym życiem erotycznym. Od lat nie milkną pogłoski o jego licznych romansach – najczęściej z dużo młodszymi, atrakcyjnymi kobietami, wywodzącymi się zazwyczaj z branży aktorskiej lub ze świata modelingu. Najmłodsza, jak dotąd, partnerka to Marta Gołubiewa, która, gdy pierwszy raz pojawiła się w otoczeniu Łukaszenki, miała zaledwie 18 lat i była początkującą aktorką.

Zarówno w zagranicznej, jak i w niezależnej białoruskiej prasie można znaleźć sporo zdjęć z różnych mniej lub bardziej oficjalnych uroczystości, podczas których dyktator spędza czas w towarzystwie urodziwych pań. Towarzyszą temu żartobliwe sugestie o „wyzwaniu dla zachodnich służb, które nie są w stanie zliczyć wszystkich kochanek Łukaszenki". Owocem jednej z tych rozlicznych przygód jest najmłodszy syn przywódcy, Nikołaj. Jego matką jest Irina Abielskaja, niegdyś osobista lekarka dyktatora.

Sam Łukaszenka niechętnie dzieli się szczegółami życia prywatnego, a gdy już nawiązuje do doniesień medialnych, stara się obrócić wszystko w żart. „Dziennikarze stanowczo przeceniają moje możliwości" – mówi. Innym razem swoje zamiłowanie do młodszego segmentu płci pięknej tłumaczy wyrachowaniem politycznym, sugerując, że duże nasycenie służby protokołu prezydenckiego urodziwymi Białorusinkami ma „dezorientować i rozpraszać" zagraniczne delegacje oraz osłabiać ich zdolności negocjacyjne.

Skoro więc Łukaszenka nie przejmuje się obowiązkami małżeńskimi, a żadna z młodszych przyjaciółek nigdy nie stała się nieformalną pierwszą damą, warto – patrząc w przyszłość – zwrócić uwagę na synów. ▶

© VIKTOR TOLOCHKO / SPUTNIK/BE&W (2)

eprasa.pl 5016b9842e

▶ Wiktor, prawa ręka

Pierworodny Wiktor, rocznik 1975, po studiach na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym zaczął robić karierę w MSZ. Nie zagrzał tam zbyt długo miejsca, podobnie jak w przedsiębiorstwie zbrojeniowym Agat, gdzie przepracował zaledwie dwa lata. Choć można założyć, że w obu zatrudniono go ze względu na nazwisko, to szybko stało się jasne, że zwykła praca na etacie nie jest jego przeznaczeniem.

Lepiej odnalazł się w roli mniej formalnej: jako zaufany współpracownik ojca. W latach 2005–21 był doradcą prezydenta Białorusi ds. bezpieczeństwa, co wiązało się z wejściem do Rady Bezpieczeństwa. I choć formalnie to mało znaczące stanowisko, w praktyce był kimś w rodzaju łącznika – czy wręcz kontrolera – w relacjach między Łukaszenką seniorem i rozbudowanym aparatem bezpieczeństwa.

Wiktor miał też sporo do powiedzenia w sprawach kadrowych i wykorzystywał swoje rodzinne umocowanie do robienia interesów – nie żeby się przemęczał, raczej oferował protekcję i dojścia. Przy okazji wsiąkł też w środowisko stołecznych wielbicieli stylowych motocykli, którzy spotykali się w centrum Mińska i organizowali wspólne rajdy po kraju, nie kryjąc wzajemnej zażyłości.

Z początku dochodziło do tarć na linii ojciec–syn, ale ostatecznie Wiktor zdobył zaufanie Aleksandra. Świadczy o tym m.in. decyzja o powierzeniu mu delikatnej i zarazem ważnej dla rodziny misji budowania wspólnych interesów z elitami Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Omanu. Wiele wskazuje na to, że białoruski dyktator lokuje tam część swojego majątku, który później wraca do Białorusi w postaci np. luksusowych nieruchomości czy wręcz całych osiedli, budowanych przez arabskich deweloperów. Częste wyprawy Wiktora do Zatoki Perskiej rzeczniczka Łukaszenki, Natalia Ejsmont, tłumaczy że to na życzenie tamtejszych szejków, dla których naturalnym przedstawicielem przywódcy zaprzyjaźnionego kraju jest zaufany bliski krewny.

Jak dotąd Wiktor nie piastował żadnego liczącego się stanowiska. Za takie nie można uznać funkcji przewodniczącego Narodowego Komitetu Olimpijskiego, którą objął w 2021 r., zastępując ojca. Choć akurat to stanowisko daje możliwość nie tylko intensywnego podróżowania (oczywiście do tych państw, gdzie sportowcy pod białoruską flagą są akceptowani), ale też kontrolowania firm powiązanych m.in. z handlem i gastronomią.



Wiktor. Odpowiada za interesy Łukaszenki w Zatoce Perskiej.



Dmitrij. Ponoć bardziej wdał się w łagodną i ugodową matkę.



Nikołaj. Ulubieniec ojca. Określany białoruskim księciem Williamem.

Dmitrij, zawsze z boku

O ile Wiktor jest postacią tajemniczą, unikającą nawet reżimowych mediów, o tyle jego młodszego pięć lat brata Dmitrija można uznać za prawdziwą enigmę. Od razu po studiach „poszedł w sport". Od 2005 r. jest prezesem Prezydenckiego Klubu Sportowego, czyli finansowanej z publicznych środków kuźni talentów. I to tyle, co o nim wiadomo na pewno. No, może jeszcze w mediach mignęło kilka suchych informacji o jego zaangażowaniu w handel wielkogabarytowymi pojazdami budowlanymi, produkowanymi w białoruskich zakładach BiełAZ.

Znawcy tematów rodzinnych Łukaszenków twierdzą, że o ile Wiktor przejął więcej cech po ojcu – co sprawia, że jest dość szorstki w obejściu i wybuchowy – o tyle Dmitrij wdał się w łagodną, ugodową matkę. Być może taki typ osobowości przesądził o marginalnej roli u boku ojca, który nigdy nie powierzył mu żadnych „zadań specjalnych".

Znacznie bardziej widoczna jest za to żona Dmitrija, Anna, znana pod pseudonimem artystycznym Anna Siełuk. Ma na swoim koncie całkiem sporo piosenek, nieprzypadkowo zapewne popularyzowanych w państwowych mediach. Synowa dyktatora organizowała także wiele utrzymanych w radzieckiej stylistyce imprez masowych ku chwale ojczyzny.

Nikołaj, oczko w głowie

Najmłodszy z synów, urodzony w 2004 r. Nikołaj, to ulubieniec ojca. Łukaszenka po raz pierwszy wspomniał o nim w 2007 r., wyrażając zachwyt nad „unikalną osobowością" kilkulatka. W kolejnych latach Kola towarzyszył ojcu w niemal wszystkich podróżach państwowych, w tym do Chin i Watykanu. Udział dziecka w wizytach głowy państwa stwarzał poważne wyzwanie protokularne, nie wiedziano było, czy potraktować chłopca jako członka delegacji, czy kogoś równego statusowi pierwszej damy.

Sam Łukaszenka często wspomina o swoim najmłodszym, nie tylko chwaląc jego kolejne sukcesy edukacyjne, ale również narzekając na trudne rozmowy ze zbuntowanym nastolatkiem, który miał podważać decyzje ojca. Nie wiadomo, ile w tym prawdy, jednak to Kola spośród wszystkich synów wzbudza największe zainteresowanie dziennikarzy, którzy chętnie spekulują na temat jego przyszłej roli w państwie. Ostatnio choćby uwagę reżimowych mediów przykuwa „atrakcyjna prezencja" dorosłego już młodzieńca. Określają go mianem lokalnej wersji księcia Williama. Zwracają też uwagę na jego światowe wykształcenie – w tym roku ukończył biotechnologię na Uniwersytecie Pekińskim.

Sam ze sobą

Przez 30 lat swoich niepodzielnych rządów Łukaszenka nieraz był już pytany o następców. Czasem sam do tego nawiązywał i za każdym razem zarzekał się, że nie myśli o żadnej dynastii,

© VASILY FEDOSENKO/REUTERS/FORUM, SERGEI BOBYLEV/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 5016b9842e

a jego synowie „napatrzyli się już w swoim życiu, czym jest i jak wygląda ciężki los prezydenta". Osoby sugerujące ten rodzaj sukcesji określał jednoznacznie jako „kompletnych idiotów".

Łukaszenka czasem jednak wskazuje konkretne osoby jako potencjalnych następców, np. byłego szefa MSZ Jurija Karajewa czy gubernatora obwodu grodzieńskiego Władimira Karanika. W ostatnich latach jego faworytami stali się tzw. młodzi menedżerowie, czyli grupa wysoko postawionych urzędników 50+, do których zaliczają się m.in. obecny premier Aleksander Turczin, jego zastępca Nikołaj Snopkow, szef prezydenckiej administracji Dmitrij Krutoj czy prezes banku centralnego Roman Gołowczenko.

Żaden ze wspomnianych jak dotąd nie został jednak wskazany jako osoba nr 2 w państwie. Co ważne dla rozumienia specyfiki białoruskiego reżimu, takiego statusu nie uzyskał również żaden z synów, mimo widocznego zaufania do Wiktora jako specjalisty od zakulisowych misji czy ewidentnego, wręcz obsesyjnego sentymentu wobec Nikołaja.

O niechęci Aleksandra Łukaszenki do wyznaczania następcy świadczy nie tylko pokrętna, pełna uników retoryka, lecz również zapisany w konstytucji formalny mechanizm przekazania władzy. Otóż obowiązki głowy państwa w przypadku śmierci lub ciężkiej choroby przejmie przewodnicząca Rady Republiki Natalia Kaczanowa, osoba bez charyzmy i niezbędnego autorytetu w nomenklaturze.

Ktoś mógłby postawić zatem pytanie: po co takie rozwiązanie, skoro z góry wiadomo, że nie zapewni stabilizacji systemu w trudnym momencie? Paradoksalnie, w samym pytaniu jest już odpowiedź, bo ogarnięty obsesją dyktator z wieloletnim stażem świadomie wybrał wariant, który nie doprowadzi do powstania za jego życia alternatywnego ośrodka władzy wokół silnej osoby, swego rodzaju „wiceprezydenta".

To nie powinno dziwić, gdyż z wypowiedzi Łukaszenki na temat następców wyłania się obraz człowieka całkowicie uzależnionego od władzy, wypracowanej przez lata pozycji niekwestionowanego lidera, przywódcy państwa o wybitnych dokonaniach. Do annałów jego złotych myśli weszła m.in. ta: „Prezydentem nie można tak po prostu zostać, trzeba się nim urodzić". Powtarzając ją, prezydent Białorusi zazwyczaj też daje do zrozumienia, że nie widzi godnych następców.

Zbawienie w dynastii

Z całej tej narracji przebija nie tylko pycha, lecz również bezradność człowieka, który stał się zakładnikiem samego siebie, niezdolnego do podzielenia się władzą jeszcze za życia. W rezultacie może się okazać, że polityczny testament wodza będzie niekompletny i niejasny, co nieuchronnie doprowadzi do chaotycznej walki o schedę.

Pytanie o przyszłość rodziny Łukaszenków pozostaje zatem otwarte. Bo o ile udało się zbudować jej solidne zaplecze finansowe w postaci zasobów poukrywanych w różnych równie niedemokratycznych państwach, o tyle nie stała się ona frakcją ani też grupą wpływu w obozie władzy. Szansą dla synów dyktatora może być – całkiem realny jak się wydaje – scenariusz, zgodnie z którym problemy z wyłonieniem jednego, bezalternatywnego następcy zmuszą elity do sformowania kolektywnego kierownictwa, do czego doszło np. w ZSRR po śmierci Józefa Stalina w 1953 r. W tym wypadku udział rodziny w podziale wpływów może się okazać ratunkiem dla reżimu.

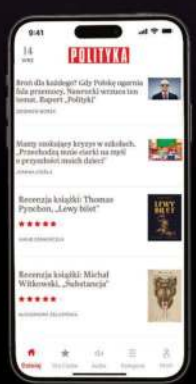
KAMIL KŁYSIŃSKI

REKLAMA

POLITYKA
ZAWSZE CIEKAWI

Black Friday
do -50%
Taka oferta tylko raz w roku!

Dostęp do aplikacji
Artykuły audio
Wydania specjalne

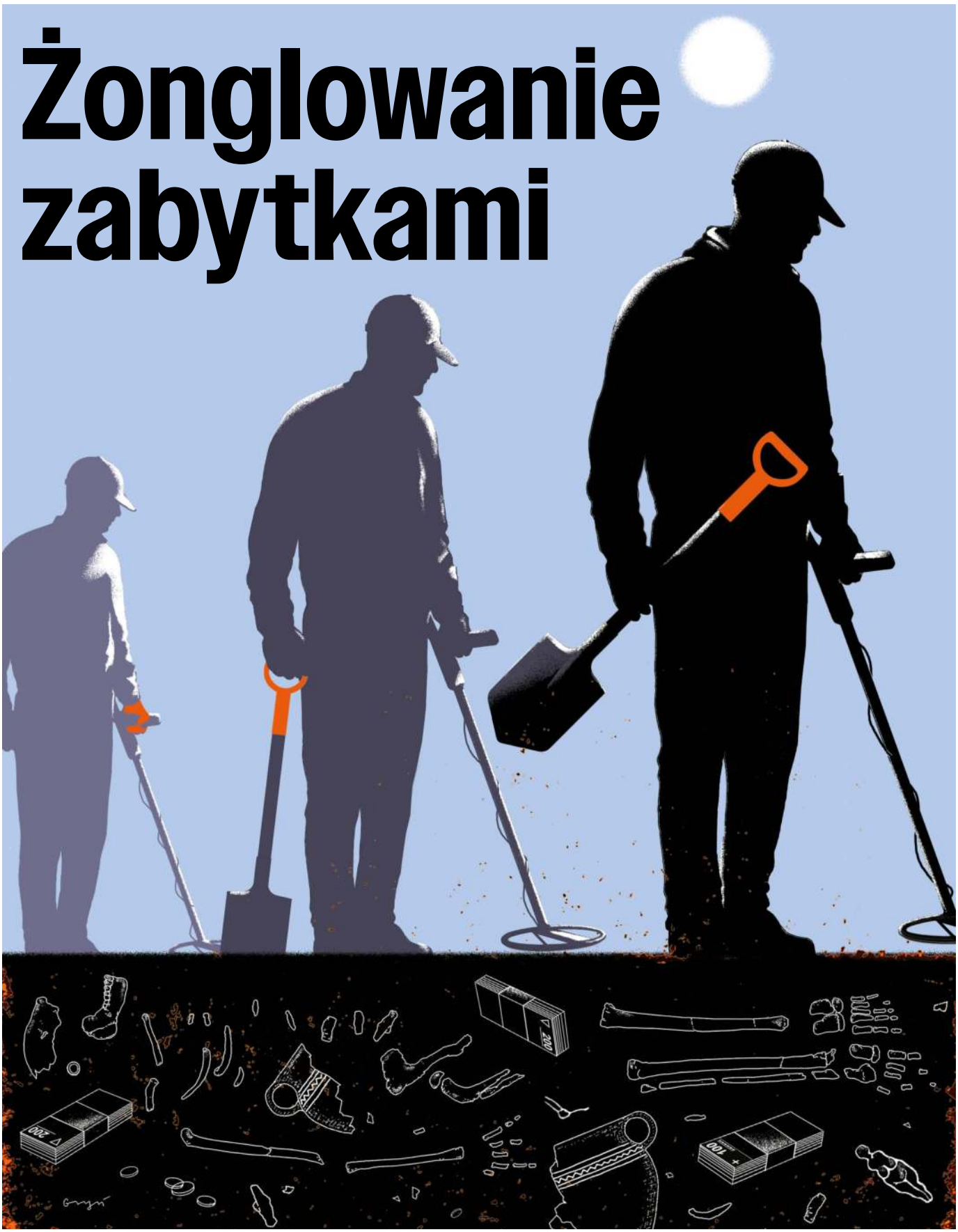


Prenumerata cyfrowa - subskrybuj
polityka.pl/bf26

Promocja ograniczona czasowo

eprasa.pl 5

Żonglowanie zabytkami



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

eprasa.pl 5016b9842e

Posłowie od trzech lat próbują wprowadzić w życie ustawę ułatwiającą hobbystom wydłubywanie z ziemi cennych zabytków. Na początku grudnia kolejny raz się nad nią pochylą. Tyle że jej zapisy są niewykonalne i szkodliwe.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Jedną z bardziej spektakularnych klęsk w wojnach z Indianami poniosły wojska amerykańskie w 1876 r. nad rzeką Little Bighorn w Montanie. Zginął podpułkownik George Armstrong Custer i ponad 200 jego żołnierzy. Po 100 latach archeolodzy, nanosząc na mapy miejsca znalezienia łusek i pocisków, odtworzyli część przebiegu bitwy i zweryfikowali wcześniejsze wyobrażenia o niej. – *Jeśli ktoś przyniesie mi worek łusek pochodzących nie wiadomo skąd, jest to dla mnie kilka kilogramów złomu. Jeśli jednak znam miejsce, w którym je znaleziono, mogę ustalić, gdzie stali strzelcy, w którą stronę strzelali i jak przemieszczali się po polu bitwy* – tłumaczy prof. Maciej Trzciński, archeolog i prawnik z Uniwersytetu Wrocławskiego. Lubi odwoływać się do Little Bighorn, kiedy wyjaśnia poszukiwaczom, co się traci, bezrefleksyjnie wyciągając z ziemi metalowe przedmioty.

Przykłady może znaleźć także w Polsce. Wciąż są tu groby ofiar zbrodni wojennych, które czekają na zbadanie. Niektóre mogą być przedmiotem postępowań prowadzonych przez pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej. Wystarczy jednak, że pojawi się tam poszukiwacz i wyciągnie z ziemi broń, guziki czy nieśmiertelniki, a przy okazji zatrze ślady, które mogłyby pomóc w ustaleniu okoliczności mordu i tożsamości zmarłych. – *Kiedyś zapytałem detektorystów, czy oglądają seriale kryminalne* – opowiada prof. Trzciński. – *Odpowiedzieli, że tak. Kto pracuje na miejscu zbrodni? Prokurator, technik, śledczy. A czy widzieli tam amatorów albo przypadkowych ludzi? Nie? No właśnie. I nie powinno ich tam być. Nawet te argumenty mało kogo przekonują.*

Bez dokumentacji miejsca znalezienia lwia część historii kryjącej się za łuską, monetą czy fibulą przepada. Współczesna archeologia nie polega na kolekcjonowaniu „fantów", lecz na badaniu ich kontekstu i stosowaniu metod nieinwazyjnych – jeśli zabytkom nie zagraża zniszczenie np. w wyniku inwestycji, najlepiej ich nie ruszać. Tyle teoria. W praktyce 1 stycznia mają wejść w życie przepisy bardzo ułatwiające poszukiwania. A to może sprawić, że Polska stanie się eldorado dla amatorów z całej Europy.

Nieudana akcja aplikacja

W lipcu 2023 r. Sejm uchwalił przepisy, które miały zakończyć wieloletni spór detektorystów ze służbami konserwatorskimi. Ci pierwsi – zamiast nadal występować do tych drugich o pozwolenie na chodzenie z wykrywaczem – mają zgłaszać zamiar poszukiwań przez aplikację mobilną. Wystarczy podać swoje dane, wskazać teren oraz oświadczyć, że właściciel gruntu wyraził zgodę, by otrzymać automatyczną zgodę na eksplorację. Ochrona stanowisk ma zaś polegać na tym, że aplikacja wskaże miejsca objęte zakazem poszukiwań. Wisienką na torcie są nagrody pieniężne za cenne znaleziska, które dotąd zarezerwowane były tylko dla przypadkowych znalazców. Ustawę zgłoszoną przez posłów związanych z Kukiz'15 i uchwaloną głosami PiS od początku krytykowali archeolodzy, muzealnicy i konserwatorzy. Ostrzegali przed niszczeniem dziedzictwa oraz kosztami, jakie będzie zmuszone wziąć na siebie państwo.

Przepisy miały zacząć obowiązywać od maja 2024 r., ale ich wejście w życie już dwukrotnie odraczano. Na razie obowiązuje termin 1 stycznia 2027 r. – *Ta ustawa jest jednak po prostu niewdrażalna* – stwierdza prof. Katarzyna Zalasińska, prawniczka specjalizująca się w ochronie dziedzictwa, była dyrektorka Narodowego Instytutu Dziedzictwa. Aplikacji bowiem do tej pory nie ma. A i to nie jest największy problem. – *Państwo obiecało cyfrową mapę miejsc objętych zakazem, choć nie ma kompletnych i dostatecznie dokładnych danych, by ją stworzyć.*

Owszem, od lat 70. XX w. w programie Archeologiczne Zdjęcie Polski (AZP) archeolodzy dokumentują odkrywane stanowiska. Tyle że zdecydowana większość to punkty lub plamy naniesione ołówkiem na mapach w skali 1:25 000. A te dostępne już w internecie nie są urzędowo potwierdzonym obrazem rzeczywistości, tylko cyfrowym odwzorowaniem nieprecyzyjnych dokumentów sprzed lat. Nawet komputer nie poprawi granicy narysowanej kiedyś na oko. Jak zatem wyznaczyć wymaganą w nowej ustawie 10-metrową strefę zakazu poszukiwań od granicy stanowisk archeologicznych i miejsc pamięci, skoro nie są znane? – *Zaczęliśmy nawet weryfikować stare mapy za pomocą współczesnych metod geofizycznych i teledetekcyjnych w rozpoczętym kilka lat temu programie AZP+* – przypomina prof. Trzciński. – *Nie dokończyliśmy, bo obcięto nam finansowanie, za to teraz na nagradzanie tych, którzy zabytki znajdą, państwo jakoś ma pieniądze znaleźć.*

Nieprzemyślane datki i wydatki

6,5 mld zł rocznie – tyle według szacunków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego mogłyby kosztować państwo nagrody dla poszukiwaczy zabytków, przewidziane w ustawie z 2023 r. Za szczególnie cenne znalezisko będzie można otrzymać nawet 25-krotność przeciętnego wynagrodzenia, czyli ponad 225 tys. zł, a w wyjątkowych przypadkach więcej. Wyliczenia oparto na założeniach dotyczących liczby poszukiwaczy i wartości ich znalezisk, nie są więc prognozą rzeczywistych wydatków. Jednak nawet jeśli zostały przeszacowane, pokazują, jak kosztowny jest pomysł wynagradzania amatorów za efekty ich hobby.

Wieści o polskim eldorado dotarły już za granicę. W połowie października „Berliner Zeitung" pisał, że Polska wabi poszukiwaczy skarbów nagrodami sięgającymi 50 tys. euro. Gazeta opisywała, jak łatwo będzie można rozpocząć poszukiwania, i ostrzegała przed gorączką złota. Trudno o lepszą reklamę. Tyle że problemem jest nie tylko najazd poszukiwaczy z zagranicy. Nowe przepisy mogą zachęcić do przynoszenia przedmiotów znalezionych przed laty albo wręcz nielegalnie wykopanych i przewiezionych z Ukrainy. Nikt przecież nie będzie w stanie zweryfikować, kiedy i gdzie je wydobyto. – *Państwo może więc płacić za zabytki* ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ *od dawna znajdujące się w prywatnych rękach lub w ogóle niepochodzące z terenów Polski. A wtedy zaczniemy tworzyć fałszywy obraz przeszłości naszych ziem* – prorokuje prof. Trzciński.

Nagrody to tylko początek wydatków. Każde znalezisko archeologiczne trzeba ocenić, zadokumentować, zakonserwować, a później gdzieś przechowywać. Tymczasem wojewódzkich magazynów archeologicznych – o których budowę od lat dopominają się badacze, muzealnicy i konserwatorzy – nie ma, muzealne magazyny są przepełnione, a na naukowe opracowanie wielu zabytków brakuje funduszy i ludzi. W rezultacie od 1 stycznia będziemy mieli do czynienia z sytuacją absurdalną: archeolog przed wykopaliskami będzie musiał przedstawić program badań, zapewnić ich finansowanie i miejsce przechowywania znalezisk, a amator – jedynie zgłaszać zamiar poszukiwań, a wszelkie koszty związane z wydobytymi przez niego zabytkami poniesie państwo. – *Rozrywka nielicznych ma być realizowana na koszt wszystkich podatników* – oburza się prof. Zalasińska. – *Wędkarze zdają egzaminy i opłacają składki, myśliwi przechodzą kursy i odpowiadają za szkody. Dlaczego detektoryści nie mieliby uczestniczyć w obowiązkowych szkoleniach i uzyskiwać odpłatnych licencji? Wpływy mogłyby przecież częściowo pokrywać koszty opieki nad znaleziskami.*

Niezrozumiały czeski błąd

Poszukiwacze mają jednak własne zdanie. Ratujemy zabytki zalegające w wierzchniej warstwie gleby, gdzie są narażone na korozję, wietrzenie i niszczenie przez maszyny rolnicze – przekonują. Państwowe służby, niedofinansowane i niewydolne, nie są w stanie zapewnić im odpowiedniej ochrony. W tej opowieści to oni są obrońcami zaniedbanego dziedzictwa, a archeolodzy i konserwatorzy urzędnikami, którzy wolą zabraniać, niż działać.

Niestety, częściowo mają rację. Wojewódzkie urzędy ochrony zabytków od lat borykają się z brakami kadrowymi i finansowymi. Konserwatorzy są tak przeciążeni pracą administracyjną, że rzadko mają czas na kontrole w terenie, no i nie zawsze dysponują służbowymi samochodami. Kto i czym będzie więc jeździł sprawdzać, co rzeczywiście dzieje się w tysiącach miejsc zgłaszanych przez aplikację? Z faktu, że państwo źle wywiązuje się ze swoich obowiązków, nie wynika jednak jeszcze, że każdy powinien móc samodzielnie decydować, co i gdzie wykopywać. Archeologia to nie wyścig o to, kto pierwszy dopadnie zabytku, bo taki, któremu nic bezpośrednio nie zagraża, może jeszcze przez dziesięciolecia czekać na zbadanie coraz doskonalszymi metodami. A w imię ratowania przeszłości można go skutecznie niszczyć.

Trzeba jednak przyznać, że nie wszyscy detektoryści są łowcami skarbów. Wielu od lat współpracuje z archeologami i muzeami, dokumentuje znaleziska i przestrzega zasad ochrony dziedzictwa. Nie domagają się też zniesienia pozwoleń, choć przyznają, że obecny system wymaga reformy. Ustawodawca, zamiast go usprawnić, postanowił go ominąć.

A można inaczej, czego przykładem są Czechy. Tam również tysiące amatorów chodzą z wykrywaczami metali, ale działają pod nadzorem uprawnionych instytucji naukowych. – *To archeolodzy wyznaczają teren badań i kontrolują ich przebieg, uczą, jak dokumentować znaleziska, robić zdjęcia oraz zapisywać dokładną lokalizację* – wyjaśnia prof. Trzciński. – *Jednocześnie od pięciu lat funkcjonuje tam opracowany przez archeologów i konserwatorów portal AMČR-PAS, inspirowany brytyjskim Portable Antiquities-Scheme*. Przeszkoleni amatorzy rejestrują w nim odkrycia, a naukowcy weryfikują dane i wykorzystują je w badaniach. Za zabytki znalezione podczas takich poszukiwań nie ma nagród. Naszym sąsiadom nie udało się oczywiście całkowicie zlikwidować procederu nielegalnego wydobywania zabytków. Pokazali jednak, że zamiast antagonizować środowisko chętnych do współpracy z archeologami hobbystów, można próbować włączyć ich w system służący nauce.

Mogliśmy skorzystać z ich doświadczeń. – *W Pradze poznałem zespół, który stworzył tę aplikację* – opowiada archeolog. – *Jego członkowie byli gotowi nam pokazać, co się u nich sprawdziło, a co nie, i jakich błędów unikać. Odpowiedzialne za kształt polskiej aplikacji Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego się tą propozycją nie zainteresowało.*

Niepotrzebna nowelizacja nowelizacji

6 listopada do Sejmu trafił kolejny projekt zmiany ustawy, tym razem autorstwa posłów PSL i Polski 2050. To próba rozbrojenia legislacyjnej miny, którą pozostawiono w 2023 r. Wejście w życie nowych przepisów miałoby zostać przesunięte o kolejny rok, przy czym wojewódzki konserwator zabytków zyskałby 21 dni na sprzeciw wobec poszukiwań zgłoszonych przez aplikację. Strefy ochronne wokół określonych zabytków zwiększono by z 10 do 100 m. Przede wszystkim jednak zniknęłyby nagrody pieniężne dla detektorystów, choć nadal mogliby je otrzymywać przypadkowi znalazcy.

Zdaniem prof. Zalasińskiej nowelizacja nie rozwiązuje podstawowych problemów. Co z tego, że strefa ochronna wzrośnie do 100 m, skoro – jak już wspomniała – granice wielu stanowisk wciąż nie są znane? I jak konserwator ma się skutecznie sprzeciwiać poszukiwaniom, skoro brakuje mu danych, ludzi i narzędzi? Prawniczka krytykuje też uzależnienie nagród dla przypadkowych znalazców od wartości materialnej zabytków, bo państwo powinno wynagradzać przede wszystkim za właściwe zabezpieczenie i zgłoszenie odkrycia, a nie brać pod uwagę cenę danego przedmiotu. Nawet i bez nagród dla detektorystów nowy system nie będzie tani. Projekt przewiduje łączny limit wydatków, wynoszący niemal 154 mln zł, na wykonywanie nowych przepisów w ciągu dekady, czyli obsługę administracyjną i opiekę nad znaleziskami. A to oznacza, że na mocno już przeciążone i niedoinwestowane urzędy konserwatorskie i tak spadną kolejne obowiązki.

Konsultacje najnowszego projektu mają trwać do 6 grudnia, a na uchwalenie zaproponowanych zmian i podpis prezydenta pozostanie zaledwie kilka tygodni. Tymczasem już 1 stycznia 2027 r. mają wejść w życie przepisy, przed których skutkami od początku ostrzegają specjaliści. – *I choć to resort kultury odpowiada za politykę ochrony zabytków, zarówno ustawa z 2023 r., jak i obecna próba jej naprawienia to inicjatywy poselskie. Czyli zamiast kompleksowej reformy, którą powinien zaproponować resort, poprzedzonej uzgodnieniami, rzetelną oceną kosztów i przygotowaniem instytucji odpowiedzialnych za jej wykonanie, po raz kolejny próbuje się na ostatnią chwilę ratować sytuację nie do uratowania, poprawiając niepoprawialne przepisy* – podkreśla prof. Zalasińska. Prof. Trzciński podsumowuje jeszcze ostrzej: – *Kolejne odraczanie wejścia w życie tego prawnego bubla nie ma sensu. Należy go po prostu wyrzucić do kosza.*

Bo stawką w tej legislacyjnej przepychance nie jest los jednej ustawy ani sprawność aplikacji, lecz dziedzictwo archeologiczne, którego raz zniszczonego nie da się już odzyskać.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl 5016b9842e

Zadawać pytania znośne



© LESZEK ZYCH

Co ma filozof do informatyki? Po co nam definicje świadomości czy prawdy? I z jakiego powodu badacz może zostać bezrobotnym? Odpowiada dr Michał Godziszewski, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii nauki humanistyczne.

KATARZYNA CZARNECKA: **– Filozof, czyli humanista, czy matematyk i informatyk, czyli „ściślak"? Kim pan jest, panie doktorze?**

MICHAŁ GODZISZEWSKI: – Przede wszystkim logikiem. Na studiach filozoficznych logika mnie zafascynowała, bo wiąże się z precyzją stawianych pytań, a jednocześnie z wagą pojęciową odpowiedzi. W ramach indywidualnego programu studiów zaliczałem też zajęcia na informatyce i matematyce. A teraz publikuję w czasopismach matematycznych i uczestniczę w konferencjach informatycznych.

Czyli ucieka pan od mało – jak twierdzą niektórzy – przydatnej humanistyki?

Wręcz przeciwnie. Zajmuję się kwestiami ludzkiego poznania i działania. Nie widzę powodów, żeby nie badać ich metodami o twardych kryteriach. Dla ilustracji opiszę tu zagadnienie, nad którym pracowaliśmy z prof. Leszkiem Wrońskim z Uniwersytetu Jagiellońskiego – dlaczego ▶

Dr **Michał Godziszewski** jest adiunktem na wydziałach Filozoficzno-Historycznym oraz Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Łódzkiego. Jego badania koncentrują się wokół pytania: „Czym są racjonalne poznanie i działanie?".

eprasa.pl 5016b9842e

▶ nasze częściowe przekonania powinny spełniać zasady rachunku prawdopodobieństwa? Możemy być przekonani w 60 proc., że spadnie deszcz, a w 50 proc., że nie spadnie. Te prawdopodobieństwa sumują się do ponad 100 proc. Filozoficzne pytanie brzmi: dlaczego tak nie powinno być?

Właśnie: dlaczego?

Jednym z argumentów, które podawali filozofowie z inklinacjami matematycznymi, był ten o tzw. zakładach holenderskich, w których wyłącznie się traci. Rzucamy monetą, jesteśmy na 60 proc. przekonani, że wypadnie reszka, i na 60 proc. – że orzeł, zatem płacimy 6 zł za reszkę i 6 zł za orła. Ale wygrana to tylko 10 zł. Niektórzy uzasadniają tak probabilizm, czyli stanowisko, że racjonalne przekonania powinny spełniać aksjomaty rachunku prawdopodobieństwa. My udowodniliśmy, że twierdzenie o zakładach holenderskich nie wystarcza do uzasadnienia probabilizmu. Potrzebne są dodatkowe założenia.

Czego jeszcze możemy się dowiedzieć o ludzkich przekonaniach za pomocą matematyki?

Kolejny przykład: naukowcy rozważają kilka hipotez wyjaśniających jakieś zjawisko i na podstawie dowodów przypisują im różne prawdopodobieństwa. Załóżmy, że mamy hipotezy: A, B i C. W wyniku doświadczenia C okazuje się fałszywa. Aktualizujemy przekonania: tej hipotezie przypisujemy prawdopodobieństwo zero, a to, które przypisywaliśmy jej wcześniej, rozkładamy proporcjonalnie między dwie pozostałe. I cieszymy się, że nasza sytuacja poznawcza się poprawiła, czyli jesteśmy bliżej wiedzy.

Intuicja nas zwodzi?

Przy tym nowym rozkładzie prawdopodobieństwa nietrafność może wzrosnąć. Pokazaliśmy, że takie sytuacje zdarzają się znacznie częściej i dotyczą wielu miar nietrafności.

Czy z logicznych decyzji i ocen jednostek może się np. urodzić nieracjonalna decyzja zbiorowa?

Oczywiście. Jeśli każdy realizuje cel polegający na maksymalizowaniu własnego zysku, mogą powstać rozwiązania nieefektywne dla reszty. Możemy też wykreować sytuację, w której z pozoru racjonalne decyzje władzy mogą prowadzić do nieracjonalnych skutków dla społeczności.

> Podobnie jak duże modele językowe korzystamy z dużej liczby tekstów kultury. Nie mamy więc bezpośredniego wglądu w „prawdziwą rzeczywistość".

Te symulacje mają jakieś znaczenie praktyczne?

Pracowaliśmy z Tomaszem Michalakiem i Andrzejem Nagórko nad tematem rozlokowania zasobów patrolowych w porcie w Gdyni na wypadek ataku terrorystycznego z powietrza lub wody. Odpowiednie sformalizowanie ruchów potencjalnych graczy pozwala obliczyć równowagi takiej gry i konstruować algorytmy do jak najlepszego rozlokowania patroli.

Jednym z pierwszych widowiskowych przykładów praktycznego wykorzystania tzw. gier bezpieczeństwa były prace dotyczące lotniska w Los Angeles. Potrzebowało ono takiego rozmieszczenia patroli, żeby zapobiegać m.in. przemytowi. Gdy grafik ustalał człowiek, przemytnicy wiedzieli, kiedy i gdzie pojawi się patrol.

Skąd?

Z obserwacji. Kiedy człowiek działał na podstawie własnej oceny sytuacji, było to łatwe do rozszyfrowania.

Jest jeszcze jakiś obszar, gdzie to się może przydać?

Odpowiedź jest nieszczęśliwie oczywista: sztuczna inteligencja (AI), duże modele językowe (LLM) i generowane na ich podstawie agenty. Bardzo niewiele rozumiemy z tego, co się dzieje w LLM, a ma to ekstremalnie ważny aspekt praktyczny związany z bezpieczeństwem.

Czy chodzi o to, że AI potrafi też zmyślać i oszukiwać?

„Zmyślanie" przez LLM przeczy naszym normom. Być może jednak te modele zawsze będą halucynowały. Spośród wielu twierdzeń dotyczących „zachowań AI" przemawia do mnie szczególnie to udowodnione przez Michała Karpowicza z Instytutu Badawczego AI Samsunga. Traktuje ono komponenty dużych modeli językowych jako uczestników aukcji konkurujących o zasoby wiedzy.

Patrząc z tej perspektywy, nie da się pogodzić czterech celów: wiernego przedstawiania wiedzy, z której korzystają; udzielenia na jej podstawie najlepszej możliwej odpowiedzi; wykorzystania wszystkich zawartych w niej źródeł informacji i nieprzypisywania odpowiedziom w nieuzasadniony sposób wysokiej pewności. Z któregoś spośród nich trzeba zrezygnować. Otwieramy w ten sposób wiele puszek Pandory.

Partner Główny
Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL®
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX®
za KS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 5016b9842e

Dlatego zajmuje się pan „truciem" LLM?

Zajmujemy się tym w Instytucie Samsunga. Z jednej strony możemy się nauczyć, jakich algorytmów „trucia" modeli używałby groźny przeciwnik i jak się przed nim chronić. Z drugiej – wiemy, że ludzie mający dużą kontrolę nad LLM mogą używać ich do niespecjalnie przyjemnych celów. Próba opracowania metod, które mogłyby to uniemożliwić, też ma potencjalnie pozytywny aspekt.

Czy wiadomo zatem, czym jest prawda dla człowieka, a czym dla modelu?

> Możemy wykreować sytuację, w której z pozoru racjonalne decyzje władzy mogą prowadzić do nieracjonalnych skutków dla społeczności.

Mamy intuicyjne przywiązanie do bardzo starej koncepcji, zgodnie z którą prawda polega na zgodności sądu, zdania czy teorii z rzeczywistością. Czym jednak jest zgodność – to rzecz bardzo dyskusyjna. Bo my podobnie jak LLM korzystamy z dużej, choć ograniczonej liczby tekstów kultury. Nie mamy więc bezpośredniego wglądu w „prawdziwą rzeczywistość", czymkolwiek jest.

Czy żeby być racjonalnym, trzeba być świadomym?

Nie ma jednej odpowiedzi na pytanie, jakie warunki powinien spełniać podmiot, żeby uznać go za racjonalny. Uważam natomiast, że pojęcie świadomości jest rozmyte, jałowe i nieużyteczne poznawczo.

Czym zastąpiłby pan to słowo?

Niczym. Jeśli prześledzić historię tego pojęcia i jego funkcjonowanie w argumentach filozoficznych – np. „chińskiego pokoju" Johna Rogersa Searle'a (odizolowana osoba nieznająca chińskiego, ale wyposażona w odpowiednie instrukcje może przetłumaczyć dostarczane jej teksty zapisane w tym języku, sprawiając na postronnym obserwatorze wrażenie eksperta; przykład ten ma podważać ideę „myślących maszyn" – przyp. red.) – zawsze pojawia się komponent nieuzasadnionego założenia, że coś wiadomo z całą pewnością.

Więc nadal nie bardzo wiadomo, czym są prawda i świadomość. A myślenie?

Alan Turing zaproponował test: mamy do czynienia z kimś – człowiekiem lub nie – kto odpowiada na nasze pytania, a my mamy rozpoznać, czy myśli. Turing potrafił przy tym rozdzielić to, co należy do wykonywania rozumowania, od naszych emocjonalnych postaw i przywiązań. Polemizował z argumentem, że maszyna nie może być podmiotem myślącym, bo na pewno nie stworzy pięknej poezji. Miał rację. A LLM stawiają przed nami kolejne pytania. Na ile to, co u ludzi uznajemy za twórcze, także opiera się na wyuczonych wzorcach, regułach, które są w gruncie rzeczy proste do replikacji?

To jednak my, ludzie, budujemy AI. Na swój obraz i podobieństwo.

Jeden z pracowników Anthropic stwierdził, że raczej uprawiamy jak ogród. A w tej chwili ona w dużej mierze sama to robi. Te nieznośne pytania o świadomość LLM są pokłosiem antropocentryzmu. Słynny matematyk Timothy Gowers stwierdził, że nie interesuje go, czy AI ma intencję zrobienia nam krzywdy, jeżeli zachowuje się tak, jakby ją miała.

Może być narzędziem zagłady człowieka.

Przypisałbym duży stopień prawdopodobieństwa przekonaniu, że odpowiadają za to ludzie, którzy mogą odnosić niesamowite korzyści z tego, że rzeczy toczą się tak, jak się toczą. Etyka nie jest moją specjalnością, więc zwierzam się tu ze swoich przekonań moralnych.

A rozum, racjonalność? Może teraz pan ją zdefiniuje?

W różnych obszarach będzie inaczej charakteryzowana. Czym innym jest racjonalność założeń teorii matematycznych, czym innym – ludzkich bądź potencjalnie innych racjonalnych podmiotów. Powiedziałbym więc postmodernistycznie: istnieje „pluralizm racjonalności", czymkolwiek racjonalność jako taka jest.

Trochę pan się miga.

Obawiam się, że gdybym potrafił udzielić pewnej odpowiedzi, nie byłoby już co w mojej dziedzinie robić.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA CZARNECKA

REKLAMA

WATCH DOCS

26. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY

PRAWA CZŁOWIEKA W FILMIE

4-13 GRUDNIA 2026

KINO MURANÓW
KINOTEKA
KINOMUZEUM
MOJEEKINO.PL

SPECJALNA KOLEKCJA
PLAYER.PL
4-31 GRUDNIA 2026

WATCHDOCS.PL

eprasa.pl 5016b9842e



Mieczysław F. Rakowski z Lechem Wałęsą w Urzędzie Rady Ministrów podczas kryzysu bydgoskiego, marzec 1981 r.

eprasa.pl 5016b9842e

Awans na całe życie

Długoletni redaktor naczelny POLITYKI Mieczysław F. Rakowski urodził się 100 lat temu. Swój awans – od syna chłopa do stanowiska premiera – uważał za kluczowy argument w obronie Polski Ludowej.

MICHAŁ PRZEPERSKI

W dzienniku pod datą 17 maja 1967 r. Rakowski wyliczył ludzi kultury, którzy zabrali głos na plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Przy Stanisławie Wrońskim napisał złośliwie, że właściwie intelektualistą nie jest. Siebie potraktował łagodniej: „i ja (częściowy intelektualista)". Miał 40 lat, doktorat i od dziewięciu lat kierował tygodnikiem POLITYKA. Mówił obcymi językami, znał świat lepiej niż większość obywateli PRL. Co jeszcze musiał osiągnąć, żeby skreślić nawias? Owszem, dopisek mógł być autoironią. Ale wolno sądzić, że był wyrazem niepewności i rozróżnieniem ról polityka i inteligenta. Zabiegał jednocześnie o uznanie kolegów w redakcji i zaufanie pierwszych sekretarzy partii. Przez lata potrafił te starania godzić, co zresztą opisywał w swoich „Dziennikach politycznych", obfitych zapiskach prowadzonych w latach 1958–98 i wydanych w 10 tomach (od 1998 r.).

Syn wójta

Pierwszy awans w rodzinie był udziałem jego ojca Franciszka. Zaczynał jako fornal w niemieckim majątku, przeszedł przez pierwszą wojnę światową i wojsko Hallera. W 1922 r. kupił blisko 20-hektarowe gospodarstwo w Kowalewku. Ziemia była słaba, radził więc sobie, hodując świnie i dostarczając siano dla kawalerii. Był ambitny i przedsiębiorczy: został sołtysem, następnie wójtem, działał w Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem i Obozie Zjednoczenia Narodowego. Niewiele brakowało, a trafiłby do ław sejmowych.

Urodzony 1 grudnia 1926 r. Mieczysław wyrastał zatem w domu należącym do miejscowej elity. Rodzice znali niemiecki, posługiwali się również francuskim. Mieli radio, prenumerowali prasę, przyjmowali gości. Były książki, które chłopiec zachłannie czytał. Po latach on sam poprawiał rozmówców: ojciec nie był chłopem, ale rolnikiem (tak bowiem mówiono w Wielkopolsce). Pragnienie wyjścia poza odziedziczone położenie miało więc rodzinną tradycję. Podobnie jak przekonanie, że pracowitość powinna przynosić szacunek, a człowiek zaradny może wywierać wpływ na swoje otoczenie.

Ten świat się rozpadł we wrześniu 1939 r. Gospodarstwo zajęli Niemcy, rodzinie odmówiono nawet zabrania rzeczy z domu. Ojciec, który po ucieczce w głąb Polski wrócił do bliskich, został aresztowany. Wierzył, że wstawiennictwo niemieckich sąsiadów zapewni mu bezpieczeństwo. Stało się inaczej. Zdobywana z takim trudem pozycja w lokalnej społeczności wystarczyła, by znalazł się na liście Polaków do rozstrzelania. Padł ofiarą zbrodni pomorskiej, zamordowany 16 października. Jego syn miał niespełna 13 lat.

Matka przeniosła się z Mieczysławem do Poznania, córkę zostawiając u krewnych. Cierpieli koszmarną biedę: chłopcu groziła ślepota z niedożywienia. Najpierw pracował jako goniec, a później w kolejowych warsztatach spotkał tokarza Henryka Sommerfelda, przedwojennego socjalistę, człowieka oczytanego i niewierzącego. Znalazł w nim nowy autorytet. Zanim poznał partyjnych nauczycieli i warszawskich artystów, horyzonty poszerzał mu robotnik. I chociaż wojna odebrała synowi wójta bezpieczeństwo, to zarazem wprowadziła go do innego środowiska.

W 1945 r. wojsko obiecywało odwet na Niemcach, naukę i przyszłość poza wsią. Młody chorąży na front już nie zdążył, ale dobrze zapamiętał przyjemność noszenia pierwszych oficerskich butów z miękkiej skóry. Mundur otwierał drogę do znaczenia. Rakowski organizował pracę z młodzieżą, stawał się sprawnym propagandzistą. Bywał nadgorliwy, chętnie piętnował cudze uchybienia. Wiedząc o sowieckiej odpowiedzialności za Katyń, bez mrugnięcia okiem głosił wersję oficjalną. Zarazem, przystępując do PPR, niewiele wiedział o marksizmie, a nowy porządek przemawiał do niego obietnicą życia, które znów można sobie ułożyć. Do tej obietnicy dołożył własny wysiłek. „Trzymałem nogi w miednicy zimnej, żeby nie usypiać – żeby się uczyć, uczyć, uczyć!" – opowiadał po latach współpracownikowi. We wrześniu 1947 r., podczas szkolenia w Szczakowej, tłumaczył, że zdolnej młodzieży trzeba otwierać studia nawet bez matury. Wskazał jednak warunek: jej przekonania powinny gwarantować, „że nigdy w dalszym swoim życiu nie będzie pracowała przeciwko Polsce Ludowej". Wypowiedź młodego oficera, zgodna z obowiązującą linią, zawierała czytelne oczekiwanie: państwo pomaga człowiekowi wyjść w świat, człowiek pozostaje państwu wierny.

Tymczasem sam musiał uważać, jak opowiada o rodzinie. W stalinowskich ankietach gospodarstwo i polityczna przeszłość ojca stanowiły poważne obciążenie. W dokumentacji ▶

© JAN MOREK/FORUM

eprasa.pl 5016b9842e

▶ wojskowej podał więc, że Franciszek należał do Stronnictwa Ludowego. Chłopskie pochodzenie mogło pomagać w karierze, ale „kułackie" jej zagrażało.

W 1949 r. Rakowski odwiesił mundur do szafy, ukończył błyskawiczny kurs dziennikarski dla najbardziej rokujących młodych towarzyszy, po czym rozpoczął karierę w centralnym aparacie PZPR. Już jako rzutki pracownik Wydziału Prasy KC, kontrolując gazety, chwalił ich antykułacki wydźwięk, a zatajał kłopotliwe szczegóły własnego życiorysu. Przedwojenny awans ojca nie mieścił się w powojennej opowieści syna.

W trybie przyspieszonym

W 1952 r. w Berlinie podczas Dni Kultury Polskiej poznał skrzypaczkę Wandę Wiłkomirską. To była miłość od pierwszego wejrzenia, po kilku miesiącach zostali małżeństwem. Po ślubie były kanapki, pączki i herbata, a następnego dnia każde wróciło do swoich zajęć: Rakowski pojechał w teren, a Wiłkomirska ćwiczyła. Jej rodzina patrzyła z dystansem na gorliwego komunistę, który trzymał nad biurkiem portret Stalina. Matce Rakowskiego trudno było zaakceptować ślub bez Kościoła i życie synowej podporządkowane sztuce. Małżeństwo naruszało przyzwyczajenia po obu stronach. „Dzięki żonie nauczyłem się słuchać, poznawać i odróżniać kompozytorów" – przyznawał Rakowski. Fascynowały go utwory Szymanowskiego i Bartóka, zwłaszcza gdy grała Wanda. Za muzyką szli ludzie: artyści, bywalcy warszawskich mieszkań, twórcy Studenckiego Teatru Satyryków. W rozmowach pojawiały się miary wartości odmienne od stopnia politycznej dyspozycyjności. Wiłkomirska z kolei zainteresowała się poglądami męża, podzielała jego ideały, wstąpiła do partii. Oboje wpływali na siebie.

Równolegle studiował w IKKN, partyjnym instytucie kształcącym strażników marksistowskiej ortodoksji. Po śmierci Stalina stał się on miejscem gorących dyskusji. Rakowski czytał, korzystał ze znajomości języka niemieckiego i badał historię niemieckiej socjaldemokracji. W 1956 r. uzyskał stopień kandydata nauk historycznych odpowiadający dzisiejszemu doktoratowi. Pojawiały się wątpliwości, lecz wiara w sens powojennej drogi trwała. Krytycyzm miał pomóc naprawiać system, z którym związał przyszłość. W 1956, gorącym roku przełomu politycznego, szefował Sektorowi Prasy KC – 30-latek był w szerokiej elicie komunistycznej władzy.

Najważniejsza szkoła samodzielności miała jednak dopiero nadejść. Okazała się nią redakcja tygodnika POLITYKA, założonego w początkach 1957 r. pod kierownictwem Stefana Żółkiewskiego. Początki były niechlubne: pismo miało stać się „armatką wodną" kierownictwa partii wycelowaną w tych, którzy nie chcieli rezygnować z popaździernikowego fermentu. Ukoronowaniem tego procesu było zamknięcie tygodnika „Po Prostu" jesienią 1957 r. Później POLITYKA właściwie stała się niepotrzebna. A jednak Rakowski potrafił wymyślić ją na nowo.

Stanowisko redaktora naczelnego objął w maju 1958 r. Z dziennikarzami, takimi jak Marian Turski, Dariusz Fikus czy Andrzej Krzysztof Wróblewski, tworzył pismo, którego ambicje wykraczały poza sprawne wykonywanie poleceń. Publikowali w nim wybitni publicyści i reportażyści, m.in. Ryszard Kapuściński, Krzysztof Kąkolewski, Hanna Krall, Teresa Torańska, Małgorzata Szejnert. Szef zapewniał kontakt z kierownictwem partii, współpracownicy wnosili fachowość i temperament. Stopniowo zaczęli zmieniać także jego samego. POLITYKA stała się pismem ważkim, przedstawiającym znakomite reportaże, podejmującym istotne tematy, najważniejszym w Polsce tygodnikiem opinii.

Rakowski coraz staranniej pracował nad własnymi artykułami, bo wśród dziennikarzy chciał być znany jako autor dobrych tekstów. Pochwała z KC nie wystarczała, gdy przy sąsiednim biurku siedział człowiek piszący o niebo lepiej. Zależności służbowe obrastały przyjaźniami. Naczelny świadkował na ślubie Fikusa, Daniel Passent opiekował się dziećmi Rakowskich podczas ich wyjazdu. „Stawał się coraz bardziej samodzielny, coraz lepiej pisał, coraz lepiej wyglądał" – wspominał Passent. Wraz z nowymi umiejętnościami przybywało ludzi, z których opinią trzeba było się liczyć. A jednocześnie w mieszkaniu Rakowskich stanął telewizor, pojawił się zielony Opel, później rodzina przeniosła się do domu na Saskiej Kępie. W 1962 r. wyliczał w dzienniku potrawy podane podczas lotu do Ameryki, od krewetek po kawior i poziomki ze śmietaną. Osiem lat później kawior jedzony u premiera Józefa Cyrankiewicza nie był już sensacją. Komfort stawał się czymś, do czego czuł się uprawniony.

Nie każdy chciał uznać tę przemianę. W paryskiej „Kulturze" Leopold Tyrmand wykpiwał fryzury Rakowskiego, tropił w jego wyglądzie „wieśniaczość", zarzucał mu powierzchowność i koniunkturalizm. Polityczny przeciwnik komunistów odmawiał mu także prawa do inteligenckiej tożsamości. W pamflecie słychać klasową niechęć do człowieka, którego nowy ustrój wyniósł wysoko. Społeczne uznanie łatwo było podważyć, choć Rakowski znajdował przecież wśród inteligencji przyjaciół i sprzymierzeńców. Próbował sił w literaturze. Napisana wraz z Andrzejem Jareckim sztuka „Stefan", pomimo reżyserii Adama Hanuszkiewicza, zniknęła z afisza po 14 przedstawieniach. Powieść „W trybie przyspieszonym" odrzuciło wydawnictwo Czytelnik. Nie wiemy, czy zdecydowały względy literackie, czy polityczne, pewne natomiast, że tytuł pasował do autora, który wciąż pragnął nadrabiać. Miał wpływową posadę i liczne znajomości, a wciąż występował przed nowymi egzaminatorami.

Własne zdanie

Więź z redakcją miała także polityczne skutki. W marcu 1968 r. Rakowski sprzeciwił się żądaniu władz przedrukowania przedwojennego tekstu Antoniego Słonimskiego „O drażliwości Żydów". Nie było wątpliwości, że w atmosferze antysemickiej kampanii publikacja służyłaby nagonce. Współpracownicy odmówili udziału w takim przedsięwzięciu, a naczelny podjął – jak się zdawało – zupełnie beznadziejną interwencję u partyjnych zwierzchników. Gdy Zenon Kliszko, prawa ręka Gomułki, zawiadomił go o odstąpieniu od żądania, Rakowski się rozpłakał. To nie czyniło z niego rzecz jasna lidera demokratycznej opozycji, ale z pewnością znamionowało lidera zespołu, który tworzył od blisko dekady. Wówczas dla tej wspólnoty potrafił zaryzykować własną pozycję.

Obszar samodzielności, jaki współtworzył Rakowski, miał granice, ale jego ambicje nie. Liczył, że rządy Edwarda Gierka przyniosą mu kolejny wielki awans. Marzył o szefostwie telewizji, o posadzie rządowej, a w pewnym momencie o ambasadorowaniu nad Renem. Nic z tego nie wyszło. W połowie lat 70. rozstał się z Wiłkomirską i związał z aktorką Elżbietą Kępińską, która została jego drugą żoną w połowie następnej dekady. Dobrze zarabiał, był coraz lepiej ubrany i coraz bardziej rozgoryczony. Rakowski nie dołączył jednak do grona aktywnych kontestatorów systemu. Gdy w 1978 r. Adam Krzemiński radził mu odpocząć i napisać esej o Baudelairze, naczelny go wyśmiał. Pragnął uprawiać politykę. Coraz trudniej było mu jednak godzić własną polityczną grę z oczekiwaniami części redakcji.

eprasa.pl 5016b9842e

Po Sierpniu 1980 r. Hanna Krall napisała reportaż o Annie Walentynowicz, ale druk zablokował sekretarz KC Jerzy Waszczuk. Interwencja Rakowskiego okazała się nieskuteczna. Reporterka zwróciła się więc o pomoc do Stefana Bratkowskiego, prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Naczelny poczuł się zdradzony. W emocjonalnym liście do Krall napisał, że jego świat oparty na uczciwości, zaufaniu i lojalności ginie, a „mordują go również tacy ludzie jak Ty". Okazało się, że samodzielność dziennikarki naruszała porządek, w którym Rakowski negocjował granice możliwego i osłaniał współpracowników. „Ja wiem, że musiałeś prowadzić zawsze grę polityczną, żebyśmy mogli wszyscy istnieć" – odpowiadała szefowi. Uważała jednak, że po Sierpniu dotychczasowe reguły działania przestały wystarczać. „Dlaczego Ty nie jesteś ze mną w tej sprawie?" – pytała. Upominała się o prawo do własnej oceny sytuacji. To, co ona uważała za zawodową odpowiedzialność, dla Rakowskiego stawało się świadectwem zaniku więzi. Ludzie, dla których współtworzył przestrzeń samodzielności, nie potrzebowali go już jako patrona.

W lutym 1981 r. wszedł do rządu Wojciecha Jaruzelskiego jako wicepremier. Znalazł się wreszcie tam, dokąd od dawna chciał dojść, i oczekiwał wsparcia ze strony swojego otoczenia. W grę wchodziły ambicja, wiara we własną skuteczność, przekonanie o konieczności ratowania państwa. Wśród jego społecznych doradców znaleźli się niektórzy współpracownicy: Jerzy Urban, Wiesław Górnicki i Krzysztof Teodor Toeplitz. Gdy wprowadzono stan wojenny, wielu dziennikarzy odeszło z POLITYKI, gdy inni pozostali i bronili dalszego wydawania pisma. Redakcyjna wspólnota pękła. Obejmując upragnione stanowisko rządowe, Rakowski stracił część środowiska, które przez lata nadawało jego pracy wartość wykraczającą poza partyjne notowania. We wrześniu 1982 r. odszedł z POLITYKI, a jego miejsce zajął dotychczasowy wicenaczelny Jan Bijak.



Z drugą żoną, aktorką Elżbietą Kępińską, na premierze „Króla Leara", 2006 r.

© TATIANA JACHYRA/STUDIO 69/FORUM

Rachunek wdzięczności

25 sierpnia 1983 r. wicepremier Rakowski przyjechał do sali BHP Stoczni Gdańskiej. Stan wojenny został już zniesiony, zbliżała się rocznica porozumień sierpniowych. Chciał rozmawiać z robotnikami, sprawdzić siłę własnych argumentów. W sali znajdowali się zwolennicy Lecha Wałęsy, ale też partyjny aktyw oraz funkcjonariusze SB w cywilu. Wystąpienie, wielokrotnie przerywane protestami, zamieniło się w gwałtowny spór. Rakowski zapewniał, że do Solidarności nie ma powrotu. Gdy Wałęsa zaproponował rozmowę jak Polak z Polakiem, usłyszał: „Jak doktor z doktorem mogę porozmawiać". Była to drwina z doktoratu honorowego przyznanego przywódcy Solidarności przez Harvard. Człowiek, który sam tak długo zabiegał o uznanie, lekceważył uznanie zdobyte przez kogoś innego. Podczas tego samego spotkania próbował jednak przywołać wspólnotę pochodzenia. „Ja jestem takim samym człowiekiem jak wy, wyszedłem z tej samej klasy co wy" – mówił. Przekonywał, że gdyby nie socjalizm, „niejeden by krówki pasał... Ja też!". Mówił o własnym życiu i oczekiwał, że rozmówcy uznają je za świadectwo dotyczące również ich samych.

36 lat wcześniej w Szczakowej postulował otwarcie uczelni dla młodzieży wiernej Polsce Ludowej. Teraz powoływał się na dokonany awans, by uzasadnić polityczne oczekiwania. Sam poznał świat, nauczył się cenić intelektualną niezależność, krytykował partyjnych zwierzchników. Własną drogę uznawał jednak za dowód na to, że Polska Ludowa zasłużyła na wierność także wtedy, gdy rozczarowywała.

A przecież żądanie niezależnych związków nie oznaczało zaprzeczania powojennemu awansowi. Rakowski przemawiał jednak jak przedstawiciel władzy, która wystawia rachunek za otwarte przed laty możliwości. Po spotkaniu zmęczony wicepremier palił papierosa przed salą BHP, podczas gdy Wałęsę zwolennicy nieśli na rękach. W partyjnych komitetach wystąpienie przyjęto z aprobatą. Hanna Krall z niedowierzaniem kręciła głową, oglądając telewizyjną transmisję. Oceny znów rozeszły się tak daleko, jak kręgi ludzi, których uznanie Rakowski próbował kiedyś zdobyć.

U schyłku dekady doszedł jeszcze dalej. Został premierem, a w końcu pierwszym sekretarzem KC PZPR. Jednak ustrój, który próbował ratować, rozpadał się, a jego osobiste doświadczenie nie nadawało się już do tego, by opisywać przyszłość. Jego współpracownicy polityczni chcieli budować nową partię i uwolnić się od obciążeń starej. W końcowym przemówieniu w styczniu 1990 r. na XI Zjeździe PZPR, na którym podjęto decyzję o samorozwiązaniu partii, połączył jej ocenę z oceną własnego życia: „Ja apeluję po prostu o to, by nie znęcać się nad PZPR. Bo jest to znęcanie się często i nad swoim życiem". „Otóż chciałoby się chodzić jednak z podniesioną głową" – dodał. Pogodził się z końcem partii, ale odrzucał potępienie całego jej dorobku. Rozliczenie PZPR było dla niego również sporem o wartość przeżytego życia.

Rakowski miał powody, by bronić własnego dorobku. Złożyły się na niego ambicje odziedziczone po ojcu, własna praca, przyjaźnie z kręgów artystycznych i z redakcji. Polska Ludowa otworzyła mu drogę, lecz nie wyczerpywała sensu tego, co na niej osiągnął. Odejście od partii nie musiało oznaczać przekreślenia własnego życia. Dla części dawnych współpracowników było przecież kolejnym krokiem ku samodzielności.

Tymczasem w III RP, u schyłku życia (zmarł 8 listopada 2008 r.), Rakowski był człowiekiem rozgoryczonym i politycznie przegranym, choć jego biografia pozostawała historią imponującego awansu. Był self-made manem Polski Ludowej: ustrój otworzył mu drogę, ale bez własnej pracy, ambicji i uporu nie zaszedłby na niej tak daleko. Poczucie sukcesu okazało się jednak kruche. Nie przetrwało upadku świata, w którym go osiągnął.

MICHAŁ PRZEPERSKI

Dr **Michał Przeperski**, historyk, zajmuje się dziejami XX i XXI w. Pracuje w Instytucie Historii PAN oraz w Muzeum Historii Polski. Laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii humanistyka w 2021 r. Jest cenionym popularyzatorem historii (wieloletni redaktor naczelny portalu histmag.org) oraz autorem wielu książek, m.in. „Mieczysław F. Rakowski. Biografia polityczna" i wydanej w tym roku „Prawie Zachód. Historie polskiej transformacji".

eprasa.pl 5016b9842e



Zakładanie ładunków wybuchowych do rozsiewania wapna na terenie PGR w Toporowie, 1969 r.

Dynamit w służbie urodzaju

ZBIGNIEW BOREK

Gdy w 1964 r. na pole pod pszenicę wkroczyli saperzy Wojska Polskiego ze skrzynkami dynamitu, chłopi mogli pomyśleć, że wybuchła wojna. Nic bardziej mylnego – to PGR do walki o wyższe plony rzucił materiały wybuchowe.

Najbardziej widowiskowy eksperyment agrotechniczny epoki PRL, do którego doszło 14 sierpnia 1964 r., natychmiast trafił na pierwszą stronę „Głosu Wielkopolskiego". Już nazajutrz pod nagłówkiem: „Dynamit, trotyl i plastik w służbie rolnictwa" gazeta pisała: „Na polach Państwowego Gospodarstwa Rolnego Łękno w powiecie średzkim – rewelacja. Zamiast siewników i łopat, zastosowano – po raz pierwszy w Polsce – materiały wybuchowe (...). Dynamit, trotyl i plastik będzie odtąd służył do użyźniania ziemi".

Eksplozja pod kontrolą

Dziennik szczegółowo opisał przebieg eksperymentu. „Na przygotowane do orki pod pszenicę 30-hektarowe pole rozwieziono na pryzmy wapno defekacyjne. Saperzy wojskowi zakładali do wnętrz tych pryzm ładunki materiałów wybuchowych i zapalali lonty. Następowały wybuchy, jeden po drugim i po pryzmach pozostawały tylko ślady. Rozprysk spowodował równomierne, nieomal idealne rozłożenie lepkiego materiału nawozowego w odpowiednim promieniu. Grudki padały jedna przy drugiej, pokrywając całe pole".

Jak relacjonował autor, prób dokonano z dynamitem, trotylem i plastikiem. Znawcy orzekli, że najkorzystniejsze rezultaty dał dynamit „o słabszej nieco od plastiku detonacji, a mimo to doskonale rozpryskujący grudki wapna, ponadto jest on tańszy w użyciu od dwóch wymienionych środków wybuchowych". Wstępnie wyliczono, że rozsianie wapna za pomocą eksplozji kosztuje ok. 200 zł na hektar, a więc o połowę taniej niż ta sama czynność wykonana za pomocą narzędzi ręcznych: „Należy przypuszczać, że nowa metoda znajdzie wkrótce powszechne zastosowanie w rolnictwie, zwłaszcza w większych gospodarstwach".

Materiał ukazał się bez ilustracji. Być może z przyczyn wydawniczych, ale może też dlatego, że spotkał się z żywym odbiorem czytelników lub nawet został doceniony przez partyjne władze, nazajutrz gazeta opublikowała – również na pierwszej stronie – trzy zdjęcia swojego fotoreportera Kazimierza Przychodzkiego (zmarł w 1984 r.). Przedstawiały sapera zakładającego ładunek pod pryzmę, sam moment potężnej eksplozji, a dla kontrastu – rolnika na konnym wozie, który ten sam nawóz rozsypuje przaśnie jak dotąd, czyli łopatą.

eprasa.pl 5016b9842e

Dziennik donosił, że pomysł nie jest rodzimą ideą: polska delegacja rolników i działaczy wiejskich przywiozła go z międzynarodowego pokazu w Niemieckiej Republice Demokratycznej, który odbył się 28 lipca 1964 r. Skoro tak szybko zorganizowano podobny eksperyment w Polsce Ludowej, to znaczy, że miał podbić cały obóz socjalizmu.

Nie był to też jedyny taki przypadek. 11 września 1969 r. fotoreporter Centralnej Agencji Fotograficznej Tomasz Gawałkiewicz uwiecznił podobne wybuchy na polach pegeerowskiego Przedsiębiorstwa Wielozakładowego w Toporowie w ówczesnym województwie zielonogórskim. – Saperzy umieszczali ładunki ostrożnie, a nas, dziennikarzy, na czas eksplozji cofnięto na sam kraniec pola. Nawóz został rozsiany równomiernie, lejów po eksplozji nie było, no i nikt nie zginął, co chyba uznano za sukces – wspomina ze śmiechem 82-letni dziś Gawałkiewicz. Dynamit na polu testowali nawet nasi pokojowo nastawieni południowi sąsiedzi.

Nie z tej ziemi

„Po stronie czechosłowackiej, na dużej przestrzeni, w kilkunastu miejscach widać smugi dymu, słychać coraz więcej detonacji i błyski ognia" – relacjonował przez tzw. mikrotelefon dyżurny podoficer polskiej strażnicy granicznej swojemu dowódcy w okolicy Prudnika. „Dowódca strażnicy telefonicznie powiadamia stronę czeską (SNB Osoblaha) o zaistniałej sytuacji, prosząc o wyjaśnienie. Dowódca SNB przeprosił stronę polską, że nie powiadomił o pewnym eksperymencie dyrekcji gospodarstwa rolnego z Hlinki" – tak relacjonuje to po latach Mirosław Kudasiewicz, były major Wojsk Ochrony Pogranicza.

SNB oznacza Sbor Národní Bezpečnosti (Korpus Bezpieczeństwa Narodowego), a Osoblaha to po polsku Osobłoga, wieś tuż przy granicy z Polską. Mjr Kudasiewicz zmarł w 2009 r. Sprawę opisał cztery lata wcześniej w „Tygodniku Prudnickim" w cyklu „Wspomnienia Weterana WOP". „Otóż na przestrzeni kilkunastu hektarów ziemi po wykopanych burakach [Czesi] przeprowadzili doświadczenie z rozrzutem obornika i nawozów sztucznych przy pomocy ładunków materiału wybuchowego. Eksperyment ten miał dać odpowiedź na pytanie: co jest tańsze: metoda klasyczna czy przeprowadzony eksperyment z dynamitem. Dla nas w tamtym okresie był to eksperyment nie z tej ziemi" – napisał weteran, nie podając jednak jego daty.

W tym samym odcinku „Wspomnień..." opisał tradycyjną brygadę polową z pobliskiej – po polskiej stronie granicy – spółdzielni produkcyjnej w akcji: „Do każdego siewnika wsypano po dwa worki nawozów. Cztery worki zaniesiono w krzaki. Po 15 minutach operacja powtórzyła się. Po godzinie traktorzyści pędzili po polu z pustymi siewnikami. Jak długo? Nie wiem. Kończyła mi się służba. Musiałem wracać do strażnicy. Po drodze zastanawiałem się, czy nie lepsza byłaby czeska metoda?".

Hałdy błota

Dlaczego na polach użyto materiałów wybuchowych? Kluczem do zrozumienia tego nietypowego pomysłu były właściwości samego nawozu. Wapno defekacyjne to uboczny produkt powstający w cukrowniach podczas przerobu buraków cukrowych. To cenny i tani nawóz odkwaszający, ale jego wadą była konsystencja. Wapno wyjeżdżające z cukrowni zawierało 50 proc. wody, było mokre, lepkie, ciastowate i maziste – nazywano je z tego powodu błotem defekacyjnym. Dziś jego wilgotność jest niższa (30–40 proc.), bywa też sprzedawane jako granulat, ale wówczas taki nawóz nie nadawał się do mechanicznego rozsiewania. Jedyną metodą było rozrzucanie lepkiego materiału z wozów – praca wyjątkowo ciężka i niechętnie podejmowana przez rolników. W efekcie pod cukrowniami rosły gigantyczne, niechciane hałdy wapna defekacyjnego.


Głos WIELKOPOLSKI
Rok XX Wyd. AB Poznań sobota, 15. VIII. 1964 Cena 50 gr Nr 193 (6381)
Rewelacyjny pokaz w Lekn'e
Dynamit, trotyl i plastik w służbie rolnictwa
Na polach Państwowego Gospodarstwa Rolnego Lekno w powiecie średzkim — rewelacji. Zamiast siewników i łopat, zastosowano — po raz pierwszy w Polsce — materiały wybuchowe. Uciążliwe w rozprowadzaniu i dlatego niechętnie nabywane przez rolnictwo — wapno defekacyjne z cukrowni i innych zakładów przemysłowych, będzie chyba teraz rozchwytywane. Z pomocą rolnictwu przyszło bowiem nasze ludowe wojsko, z materiałami wybuchowymi. Dynamit, trotyl i plastik będzie odtąd służył do użyźniania ziemi.

Zachwyty prasy poznańskiej z 15 sierpnia 1964 r.

Właśnie ten problem miała rozwiązać rolniczo-wojskowa innowacja. Eksplozja ładunku wybuchowego miała w ułamku sekundy rozbić lepką masę i siłą fali uderzeniowej rozrzucić grudki po polu. – W minionym ustroju PGR-y z założenia miały być gospodarstwami wzorcowymi, w związku z tym nowe rozwiązania wdrażano w nich w pierwszej kolejności. Nie wszystkie były trafione – mówi Mariusz Matyka, dyrektor Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa, Państwowego Instytutu Badawczego.

PGR-y powołano do życia w 1949 r., powstawały głównie na tzw. ziemiach odzyskanych w zachodniej i północnej części kraju. W 1969 r. istniało 6110 państwowych gospodarstw rolnych, zgrupowanych w 3775 przedsiębiorstwach. Zajmowały 2,7 mln ha, co stanowiło ok. 13 proc. użytków rolnych w kraju. Przeciętne pojedyncze gospodarstwo miało 460 ha. Po politycznej odwilży w październiku 1956 r. władze komunistyczne wycofały się z przymusowej kolektywizacji, a PGR-y stawały się czymś więcej niż wyłącznie przedsiębiorstwami rolnymi: miały swoje szkoły, przedszkola, bloki i mieszkania.

W latach 60. pracowało w nich 350–380 tys. osób. Ze względu na niski stopień mechanizacji praca opierała się głównie na sile rąk ludzkich oraz wykorzystaniu koni. Ciągniki dopiero wchodziły do masowego użytku. Pegeerowska pogoń za innowacyjnością w całym okresie PRL przyjmowała jednak różne formy. Samoloty An-2 i PZL-106 Kruk nawoziły pola i wykonywały opryski z powietrza. Do PGR-ów trafiały potężne przegubowe ciągniki rosyjskie Kirowiec K-700 z ZSRR i polskie kombajny Bizon Gigant 38. Pryzmy z dynamitem wpisywały się więc w klimat uprzemysłowienia państwowego rolnictwa, a jednocześnie fascynacji wojskową myślą techniczną. Potęga i nowoczesność w jednym. Tak wygląda racjonalizacja pracy. Tak wygląda rolnictwo przyszłości – mógłby powiedzieć podniosłym głosem lektor Polskiej Kroniki Filmowej.

Ostatecznie jednak „wybuchowe nawożenie" pozostało jedynie widowiskowym epizodem. Choć wybuchy wyglądały spektakularnie na łamach gazet, dokładność takiego rozsiewu była w rzeczywistości mizerna, oszczędność czasu i pieniędzy mocno wątpliwa, a ryzyko jednak spore. Technologia wkrótce ustąpiła miejsca bardziej konwencjonalnym rozsiewaczom czy rozrzutnikom, pozostawiając w archiwach prasowych niezwykłe relacje z czasów, gdy polską ziemię próbowano użyźniać za pomocą dynamitu i trotylu. ■

© TOMASZ GAWAŁKIEWICZ/PAP, WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl 5016b9842e



Dramacik z dramatu 3/6

Violetta Villas, reż. Karolina Bielawska, prod. Polska, Bułgaria, 126 min, w kinach od 27 listopada

Życie i śmierć Violetty Villas to smutna bajka o Kopciuszku zamieniająca się w horror. Materiał wręcz nieprzyzwoicie widowiskowy. Piosenkarka była osobowością, która przekraczała granice obyczajowe i której udało się wyrwać z gomułkowskiej szarzyzny, robiąc międzynarodową karierę rewiową i występując w Las Vegas obok największych amerykańskich gwiazd. Uznawana przez niektórych za talent na miarę Marii Callas wokalistka z czterooktawową skalą głosu została ostatecznie okrzyknięta w kraju królową kiczu, odepchnięta przez środowisko. Wyśmiewana Villas pod koniec życia popadła w dewocję, uzależniła się od leków, stała się świętą od ratowania psów i kotów, była wykorzystywana i okradana. **Sandra Drzymalska** w roli ekscentrycznej polskiej divy wydawała się może nieidealnym i na pewno ryzykownym wyborem, ale udźwignęła ciężar wyzwania. Jej kreacja jest najjaśniejszym punktem biograficznego filmu debiutującej w fabule dokumentalistki Karoliny Bielawskiej. Reżyserce marzyła się opowieść o wolności, cenie sukcesu, uzależnieniu i stopniowym uwięzieniu Villas we własnym wizerunku. Niestety, niewiele z tego na ekranie udało się zawrzeć. Zamiast wnikliwej opowieści o wzlocie i upadku jednej z najwspanialszych karier polskiej popkultury powstał banalny, pozbawiony wyrazu, nijaki dramacik o tym, jak syn (nie)radzi sobie z wybrykami sławnej mamy. Szkoda, że Krzysztof Gospodarek, syn śpiewaczki, bez którego zgody na jej temat nic nie może powstać (jest właścicielem znaku towarowego „Violetta Villas"), przesunął uwagę na siebie, a historię matki wolał potraktować przyczynkarsko. SB, leki, uzależnienie, paranoja, powrót do Polski – wszystko jest, ale niemal wszystko pozostaje ilustracją. Drzymalska robi bardzo dużo, żeby ten film ocalić. Jest w niej zarówno groteskowość Villas, jak i jej rozpaczliwa potrzeba wolności. Zawodzi jednak konstrukcja, rozwleczona tam, gdzie powinno się zastosować skrót, pełna za to niewypełnionych białych plam w kluczowych momentach – bez emocjonalnego ciężaru i psychologicznej dociekliwości.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Koniec snu 4/6

Papierowy tygrys (Paper Tiger), reż. James Gray, prod. USA, 115 min, w kinach od 27 listopada

Można ten sensacyjny dramat uznać za gorzki komentarz do krachu amerykańskiego marzenia w erze Ronalda Reagana, gdy bogactwo stało się narodową obsesją. Były policjant o mrocznej przeszłości (**Adam Driver**) wciąga tu swojego brata (Miles Teller) – uczciwego, ledwo wiążącego koniec z końcem inżyniera – w mętny interes z rosyjską mafią. Konflikt dwóch



Wszystko, czego Amerykanie nie wiedzą o Rosjanach...

nacji: aspirującej do klasy średniej rodziny żydowskiej z nowo przybyłą, bezwzględną grupą Rosjan, ma przypominać, że na peryferiach Nowego Jorku walka o status ekonomiczny nigdy nie była uczciwą grą. Reżyser wraca tu do flagowej tematyki dysfunkcyjnych relacji uwikłanych w sidła przestępczości, akcentując motyw fatum. Wątek żony granej przez Scarlett Johansson, która w tajemnicy przed rodziną zmaga się z niepokojącymi objawami zdrowotnymi i zaburzeniami wzroku, sugeruje, że James Gray postrzega traumę rodzinną i zagrożenie zewnętrzne jako nierozerwalny, dziedziczny splot, przed którym nie ma ucieczki. Choć akcja filmu osadzona jest w realiach 1986 r., działania rosyjskiej mafii można bez trudu odczytywać jako celną metaforę współczesnych obaw przed nieprzewidywalną Rosją Putina – ulegając brawurze i chciwości, Amerykanie wmawiają sobie, że przybysze ze Wschodu są znacznie mniej groźni, niż się wydają, podczas gdy w rzeczywistości wpadają w zastawioną przez nich śmiertelną pułapkę. JW

eprasa.pl 5016b9842e

scena

Bez prądu 3/6

Tennessee Williams, **Słodki ptak młodości**,
reż. Małgorzata Bogajewska, Teatr Narodowy w Warszawie



Chance Wayne przyjeżdża do rodzinnego St. Cloud z podstarzałą gwiazdą filmową Alexandrą del Lago. Zdesperowany 29-latek po latach dobijania się do bram Hollywood w relacji z nią widzi swoją ostatnią szansę na karierę, zanim straci atut młodości, ona zaś chce go wykorzystać jako zagłuszacz strachu przed starością i zapomnieniem. Nie jest tam mile widziany. Rządzący miasteczkiem bigot, ksenofob i rasista Boss Finley (**Piotr Grabowski**) pała żądzą zemsty za dramat córki, z którą łączył Chance'a romans. Wystawiony po raz pierwszy w 1959 r. – 12 lat po „Tramwaju zwanym pożądaniem" – „Słodki ptak młodości" to teatr Tennessee Williamsa w pigułce: konserwatywne południe Stanów Zjednoczonych, zakleszczenie, buzująca agresja i desperacja, samooszustwa i niespełnienie, lęki starości i ograniczenia młodości, seks jako wyznacznik żywotności i waluta. Sztuka miała dwie ekranizacje, w pierwszej w roli Chance'a wystąpił Paul Newman, w drugiej Alexandrę zagrała Elizabeth Taylor. W inscenizacji Małgorzaty Bogajewskiej Paweł Brzeszcz zdecydowanie przegrywa z Newmanem, ale już Gabriela Muskała jako Alexandra jest wspaniała i dla niej warto spektakl w Narodowym zobaczyć. I tylko dla niej, bo jest to niestety reżyserska porażka – schematycznie oddane amerykańskie realia dystansują od postaci, nie czuć tu zupełnie, że bohaterowie grają o życie, nie ma stopniowania napięcia, a otwarty finał tylko potęguje to wrażenie. Jakby ktoś wyłączył prąd.

ANETA KYZIOŁ

Młody zagubiony 5/6

Richard Gadd, **Reniferek**,
reż. Tomasz Gawron, Teatr Polonia w Warszawie

Zanim dwa lata temu „Reniferek" został nieoczekiwanym – wprowadzonym bez promocji i polecanym sobie nawzajem przez widzów – serialowym hitem Netflixa, miał formę teatralnego monodramu, z którym jego twórca i wykonawca w jednej osobie Richard Gadd objechał Wielką Brytanię i rozbił bank z nagrodami. A jeszcze wcześniej wydarzyło się to, co stoi u podstaw sztuki i serialu – prawdziwy dramat. Przypadkowe spotkanie w pubie i lekki flirt przerodziły się w wieloletnie nękanie jego i jego bliskich, śledzenie w realu i w internecie, tysiące wiadomości, telefonów i komentarzy. Obsesja Marthy popchnęła Gadda na krawędź załamania nerwowego, ale też skłoniła do autoanalizy, głębokiego spojrzenia we własne motywacje, osobowość i traumy. W szerszym zaś obrazku „Reniferek" to także rozważania o męskości, a do myślenia daje też fragment o niedziałającym systemie pomocy ofiarom nadużyć. Wszystko to razem układa się w półtoragodzinny spektakl, którego nie można przegapić. **Jędrzej Hycnar**, rosnąca gwiazda małego i dużego ekranu (ostatnio np. serial „Wśród nocnej ciszy" Holoubka), gra go na małej scenie Teatru Polonia, blisko widzów. Podkreśla kruchość swojego bohatera i wiwisekcyjny charakter opowieści, występując przez większość czasu w bieliźnie – białym podkoszulku i majtkach. Jest przejmujący jako zagubiony młody mężczyzna próbujący zrozumieć, kim jest i dlaczego przydarzyło mu się to, co przydarzyło. AK



serial

Pod presją 3/6

Prawo bestii, twórca serii: Kasper Bajon, 4 odc., Netflix



Kasper Bajon, scenarzysta „Wielkiej wody" i „Heweliusza", znów wychodzi od prawdziwej historii i po raz kolejny opowiada o styku państwa, prawa i sprawiedliwości. Sprawa Mariusza Trynkiewicza, pedofila i zabójcy czterech nastoletnich chłopców w 1988 r., którego wyjście na wolność po odbyciu 25 lat kary wywołało debatę społeczną i uchwalenie tzw. ustawy o bestiach, jest pretekstem do rozważań o procesie stanowienia prawa pod presją opinii publicznej i mediów, z pytaniem, jak chronić prawa człowieka i społeczeństwo jednocześnie. Bajon, tu reżyser i współscenarzysta (razem z Anną Kasińską), nie stawia mordercy w świetle reflektorów, nie daje mu czasu i uwagi, co jest chwalebne, ale ma też słabą stronę – jego ofiary wydają się blednąć w porównaniu z pokazanymi z detalami i dość schematycznie działaniami polityków i prawników. Akcja toczy się w dwóch perspektywach czasowych: w 1988 i w 2014 r., a w centrum są dwie przyjaciółki, które sprawa Trynkiewicza (Michał Pawlik) poróżni. Grana przez **Agnieszkę Grochowską** major milicji, a potem wysoka rangą urzędniczka państwowa, jest tą, która łapie Trynkiewicza (w jaki sposób, to już pozostawia wiele do życzenia) i dąży do jego skazania i odizolowania od społeczeństwa za wszelką cenę. A psychiatrka (Agnieszka Żulewska) widzi w nim człowieka i chce ocenić jego stan psychiczny na tyle uczciwie, na ile to możliwe, ale ostatecznie ugina się pod presją. Całość jest niestety publicystyczna. AK

© ROBERT JAWORSKI (2), NICOLE RIVELLI, JOANNA SIWIEC I BARTŁOMIEJ BARCZYK, J.SOSIŃSKI/NETFLIX

eprasa.pl 5016b9842e



Gry tożsamości 5/6

Maciej Siembieda, **Posusz**, Znak Literanova, Kraków 2026, s. 576



Nowa powieść Macieja Siembiedy „Posusz" nie jest kontynuacją świetnego „Gołoborza". Wracamy co prawda w Góry Świętokrzyskie, ale już z innymi bohaterami. Samo gołoborze pojawia się jako miejsce przeklęte, podobnie jak tytułowy „posusz" – wyschnięte drzewa, które nie chcą rosnąć w miejscu naznaczonym zbrodnią. Jednak nowa powieść nie czerpie z baśniowości i zjawisk nadnaturalnych – to mięsista, realistyczna opowieść o wojennych i powojennych losach ludzi z Katowic. Przede wszystkim Rudolfa Widery (i jego rodziny) – człowieka o częściowo żelaznej twarzy, lotnika Luftwaffe, bohatera wojennego wbrew własnej woli, a potem polskiego partyzanta. Dostajemy opowieść o tożsamości. Edyta, siostra Rudolfa, najpierw była Polką, potem Niemką drugiej kategorii, zawsze czuła się Ślązaczką. „Ślązacy są jak pionki do przesuwania na planszy gry, na którą nie mają wpływu" – mówi. Rudolf, czyli Rudi, tropi Scholza, który morduje kolejne wioski, Scholz z kolei poluje na partyzantów. Śledzimy, kto kogo przechytrzy. Siembieda misternie zaplata wątki tej opowieści, która cały czas trzyma w napięciu. Dobrze też oddaje kluczowy moment tej wojny na Śląsku, czyli wejście Armii Czerwonej, traumę gwałtów. Wybory wojenne mają swoje konsekwencje, a pytanie o tożsamość jest kluczowe. Kto jest przyjacielem, a kto wrogiem? Czy dokonujemy wyborów sami, czy są one narzucone? I czy w ogóle wyrównanie rachunków krzywd jest możliwe? Autor przenosi czytelników w tamte czasy i tworzy bohaterów z krwi i kości (i metalu), ale najważniejsze, że pytania, które stawia, są cały czas aktualne.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Chłopi i punki 5/6

Michał Rauszer, **Polska zbuntowana. Ludowe strategie oporu i przetrwania**, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2026, s. 341

Książka Michała Rauszera, jak poprzednie dzieła tego autora, mieści się w nurcie tzw. zwrotu ludowego w humanistyce i naukach społecznych. Zawiera jednak wątki, które wykraczają poza zwyczajowy horyzont tego pola zainteresowań. Autor nie ogranicza się do eksploracji kultury folwarku, chłopskiej niedoli wynikającej z pańszczyzny, aberracji sarmatyzmu, ale odważnie zarysowuje ciągłość między oporem klasy ludowej wobec władzy sprzed wieków a współczesnymi odpowiednikami takiego sprzeciwu. Tytułową Polskę zbuntowaną konfrontuje ze zbuntowaną Ameryką, Karaibami, Afryką – i okazuje się, że polska historia ludowego buntu może być analizowana na gruncie studiów postkolonialnych. Arcyciekawy wydaje się wątek potransformacyjnych aktywności radykalnych sukcesorów dawniejszego ruchu ludowego (m. in. Samoobrony Andrzeja Leppera), ale też współczesnej kultury strajku czy rozmaitych form kontestacji. W ten sposób Rauszer traktuje nawet punkową rebelię ideowo-estetyczną, co nadaje temu zjawisku rys rzadko odkrywany w literaturze przedmiotu. I oto polska scena hardcore-punkowa, wraz z przyczółkami anarchizmu lat 90., pokazuje, czym może być współczesna rebeliancka ekspresja ludu. Bo przecież lud to nie tylko bohaterowie „Chłopów" Reymonta czy uczestnicy dożynek.

MIROSŁAW PĘCZAK



Zadry za kadrem 4/6

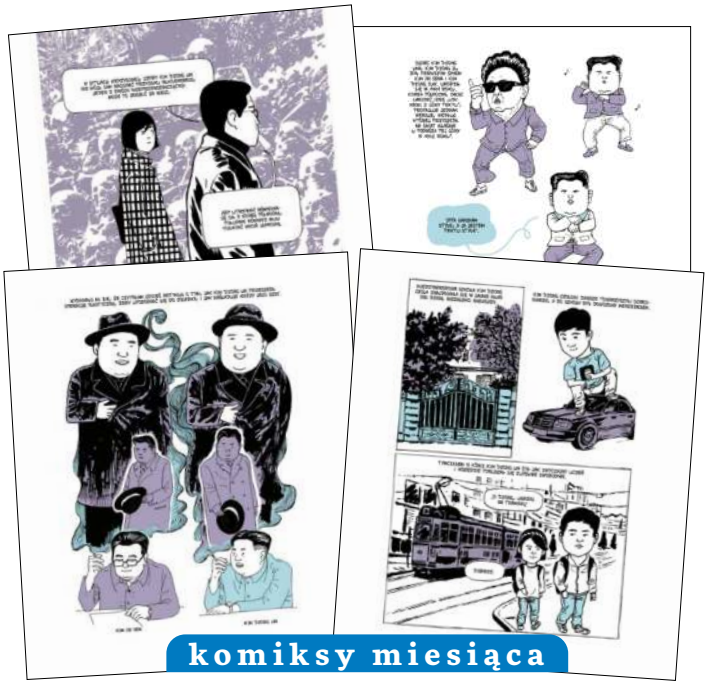
Maciej Marcisz, **Gorszy syn**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2026, s. 288

Synów jest w tej powieści trzech i nie wiadomo, który z nich tak naprawdę jest „gorszy", tzn. gorzej spełnia oczekiwania świata, ojca, braci i własne. Mikołaj, najstarszy, zawsze trochę bujał w obłokach. Wyjechał z Wodzisławia Śląskiego do Warszawy, żeby się wybić, ale artystyczne ambicje trzeba było skroić i dostosować do realiów. Pisze więc scenariusze do oper mydlanych. Nikodem, „środkowy" syn, nie odnalazł się w wielkim mieście i pomaga ojcu w interesie. Najmłodszy, Dawid, wędruje po świecie, odseparował się. Chłopcy w wiek dorosły wchodzili bez matki i – jak wiele dzieci dorastających w latach 90. – byli bardziej hodowani niż wychowywani. W dodatku to matka „przechowywała całą mówioną historię tej rodziny, odwalała emocjonalną pracę za nas wszystkich". Stąd poczucie zagubienia, gorączkowe poszukiwania własnej drogi, ale też sensownego wzorca męskości. Życiowe ścieżki braci są nieomal archetypiczne: jeden stawia na karierę, drugi na rodzinę, trzeci na siebie. To się komplikuje i wymaga ponownej weryfikacji, bo też komplikuje się samo życie, a ojciec w dziwny sposób zaczyna niedomagać. Maciej Marcisz drąży, próbuje ustalić, jak krystalizuje się charakter i co sprawia, że choć punkt wyjścia jest ten sam – ci sami rodzice, ten sam dom, to samo miasto – to wyrastamy na innych ludzi. Decydujące są rzecz jasna niuanse, istotny jest też – i dobrze tu odwzorowany – klimat Polski czasów transformacji. Dlatego ciekawa jest dynamika relacji między braćmi, ale też między nimi a ojcem. Spory tak fundamentalnie różnych pokoleń wydają się nierozwiązywalne. Autor „Taśm rodzinnych" wałkuje te same tematy. Bo nadal jest co wałkować.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, PAST PERFECT, FOTON/PAP, MP (12)

eprasa.pl 5016b9842e

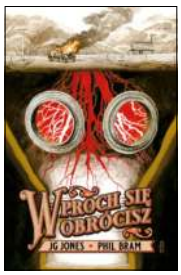


komiksy miesiąca

Dyktatura i psychotropy



Biografia przywódcy Korei Północnej to wyzwanie – spora jej część musi być oparta na domysłach i próbie odczytania prawdy ukrytej za oficjalnymi komunikatami reżimu. **Keum Suk Gendry-Kim** w albumie „Mój przyjaciel Kim Dzong Un" (przeł. Łukasz Janik, Kultura Gniewu, **5/6**) portret dyktatora konstruuje więc z porozrzucanych fragmentów: doniesień medialnych, rozmów z uciekinierami z Północy i z politykami z Południa, historycznych analiz. To opowieść nie tylko o samym Kimie, lecz również o historii podzielonego kraju, a także – co w Polsce może rezonować szczególnie mocno – o życiu w nieustającym lęku przed wojną. Poruszający i mądry wstęp do dalszych lektur na temat Korei Północnej.



Komiks „W proch się obrócisz" (**scenariusz: JG Jones i Phil Bram, rysunki: JG Jones**, przeł. Tomasz Sidorkiewicz, Nagle! Comics, **5/6**) sięga do czasów Wielkiego Kryzysu oraz okresu potężnych burz piaskowych, które pustoszyły Oklahomę w latach 30. XX w. Na tym tle rozgrywa się fabuła, której bohater – zapijaczony, małomiasteczkowy szeryf – próbuje wbrew woli burmistrza i innych oficjeli rozwiązać zagadkę serii makabrycznych zbrodni popełnianych przez tajemniczego osobnika w masce przeciwgazowej. Kapitalny jako portret życia ubogiej amerykańskiej prowincji (inspirowany z jednej strony prozą Johna Steinbecka, z drugiej zaś fotograficznym dorobkiem Dorothei Lange – wzorowana na niej reporterka jest jedną z ważnych postaci w tej historii) i tylko nieco mniej przekonujący jako brutalny thriller, wciąż jednak wart najwyższej uwagi.



Próby przekładania prozy Stanisława Lema na język innego medium często bywają chybione, ale **Rafał Mikołajczyk** potrafi znaleźć do niej klucz. Kilka lat temu wydał kapitalną adaptację „Niezwyciężonego", teraz sięgnął po rzecz jeszcze bardziej skomplikowaną, czyli „Kongres futurologiczny" (Wydawnictwo Booka, **5/6**). Halucynacyjna odyseja Ijona Tichego okazała się jednak materiałem wyjątkowo plastycznym. Mikołajczyk mógł puścić wodze fantazji (także graficznej), co pozwoliło mu na okiełznanie groteskowego chaosu oryginału. Podobnie jak w przypadku opowiadania za fabularnymi meandrami i kolejnymi warstwami podświadomości pobudzonej środkami psychotropowymi czasami trudno nadążyć (i w tym przypadku to zaleta, nie wada!), ale lektura daje pełną satysfakcję. A lemowska krytyka społeczeństwa konsumpcyjnego dziś wydaje się uzasadniona jeszcze bardziej niż ponad pół wieku temu, gdy „Kongres…" ukazywał się po raz pierwszy.

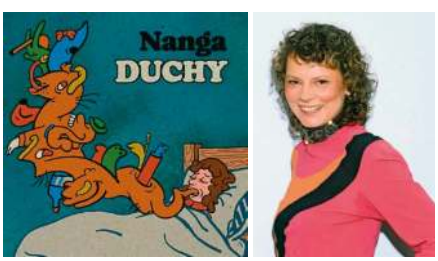
JAKUB DEMIAŃCZUK

nie przegap



Nakarmić kruki, reż. Carlos Saura, w kinach od 27 listopada

Jedno z niekwestionowanych arcydzieł europejskiego kina, zrealizowane przez Carlosa Saurę w ostatnich miesiącach życia generała Franco. Oniryczna i przejmująca opowieść o traumatycznym dorastaniu ośmioletniej dziewczynki jako metafora życia w Hiszpanii czasów dyktatury. Grand Prix festiwalu w Cannes, wybitna rola **Any Torrent**, a na ścieżce dźwiękowej piosenka Jeanette „Porque te vas", której po seansie nie przestaniecie nucić. JD



Nanga, **Duchy**, Mystic Production

Wszyscy powtarzają, że nowe dzieło zespołu **Magdy Dubrowskiej** to płyta nostalgiczna i w pewnym stopniu na pewno tak jest. Chociaż powrót do dawnych brzmień sprzed 25–30 lat nie jest tu tylko rekonstrukcją, to raczej rodzaj eksperymentu i próba redefinicji starszych estetyk avantpopowych. Współcześni wykonawcy konfrontują się z tym, co było, niekoniecznie na zasadzie „ukłonu w stronę tradycji", tu zresztą towarzyszą temu teksty przekornie komentujące samo zjawisko kulturowej nostalgii. MP



Obywatel G.C., **Tak! Tak!**, Legendy Polskiej Muzyki/N-Teq

W 25-lecie śmierci Grzegorza Ciechowskiego i w 38 lat po publikacji tego albumu – drugiego w solowym dorobku Obywatela G.C. – ukazuje się winylowa reedycja. Nagrana w wyjątkowym składzie (m.in. Tomasz Stańko, Krzysztof Ścierański, Wojciech Karolak) płyta, wyjątkowa produkcja rozrywkowa późnego PRL-u, starzeje się dobrze, a to pamiątkowe wydanie, wzbogacone o książeczkę ze zdjęciami i tekstami oraz ze wspomnieniami Jacka Sylwina i Małgorzaty Potockiej. BCH

eprasa.pl 5016b9842e



007 zgłoś się

Decyzja o obsadzeniu Roberta Pattinsona w roli Jamesa Bonda rozgrzała internet bardziej niż szczyt Trump–Xi–Putin. Czy to błąd? I czy aby wcześniej już tego nie słyszeliśmy?



007 Pozostali mocni kandydaci do roli nowego Bonda (od lewej)**: Callum Turner, Jack Lowden, Josh O'Connor, Nicholas Hoult**

eprasa.pl 5016b9842e

JAKUB DEMIAŃCZUK

Gdy po wielu miesiącach budowania napięcia studio Amazon-MGM ogłosiło wreszcie nazwisko aktora, który zagra rolę agenta 007, internet nieomal eksplodował. Robert Pattinson zepchnął w cień nawet informacje o premierze gry wideo „GTA VI". Można było odnieść wrażenie, że niemal każdy chce zabrać głos w sprawie doboru aktora, wrzucić zdjęcie stylizowane na materiały promocyjne filmu (w pozie agenta wyłaniającego się z mroku pojawiały się postaci publiczne z każdej dziedziny: od misia Paddingtona po Roberta F. Kennedy'ego Jr.) albo przynajmniej ugrać coś dla swojej marki.

Zaroiło się nie tylko od opinii i parodii, lecz również ofert marketingowych, jak gdyby hasło „James Bond" otwierało nagle magazyny producentów ubrań, samochodów, kawy i wszelkich innych dóbr, zwłaszcza tych, które chcą uchodzić za luksusowe. Podobne można było obserwować niedawno po premierze „Odysei" Christophera Nolana, a na lokalną, polską skalę po netflixowej „Lalce". Tyle że ekscytacja wokół Bonda jest znacznie bardziej egalitarna: nikt z komentujących nie widział filmu, który po prostu jeszcze nie istnieje. Co oczywiście nie powstrzymało internautów przed wygłaszaniem arbitralnych ocen, jak wypadnie Pattinson w roli 007.

Według danych Instytutu Monitorowania Mediów (IMM) na polskojęzycznych platformach społecznościowych po ogłoszeniu decyzji w sprawie roli Bonda pojawiało się co godzinę 600 nowych wzmianek na ten temat, z czego połowa neutralna, a ponad 30 proc. oceniało decyzję o zatrudnieniu Pattinsona raczej krytycznie. Jak zauważył Tomasz Lubieniecki z IMM, więcej to mówi o oczekiwaniach wobec postaci niż o samej ocenie umiejętności popularnego aktora. Zresztą zagorzałe dyskusje na temat obsady takiego czy innego filmu to w Polsce sport narodowy: wystarczy przypomnieć sobie spory o Daniela Olbrychskiego – Kmicica, Zbigniewa Zamachowskiego – Wołodyjowskiego, Michała Żebrowskiego – wiedźmina Geralta czy Tomasza Schuchardta – Wokulskiego. Dlaczego więc nie pokłócić się o Pattinsona?

Bond na czasy niepokoju

40-letni Brytyjczyk jest jednym z najbardziej wszechstronnych aktorów swojego pokolenia. Zaczynał od ról teatralnych, dopiero stamtąd trafił do kina. Gdy 20 lat temu debiutował drugoplanową rolą w „Harrym Potterze i czarze ognia", a potem osiągnął status wampirzego ulubieńca nastolatek dzięki sadze „Zmierzch", próbowano przypisać go do ról młodych romantycznych kochanków i buntowników, lecz Pattinson szybko wybrał inną drogę. Stał się ikoną kina niezależnego, wybierał projekty wymagające od niego znacznie więcej niż uroda i charyzma. Występował w filmach Davida Cronenberga, Wernera Herzoga, braci Safdiech, potem u Christophera Nolana i Bonga Joon Ho. Dał się poznać jako aktor, który nie boi się wzywań. Lubi grać odludków, dziwaków, socjopatów. Jego bohaterowie rzadko są jednoznaczni: nawet superbohaterską rolę Batmana nasycił tłumionymi emocjami, gniewem, frustracją, którą rozładowuje brutalnością i bezwzględnością.

Pattinson, który podobno podpisał kontrakt na trzy części sagi o Bondzie, ma za sobą najlepszy sezon w karierze. Występy w „Dramie", „Odysei" i „Primetime" (za tę rolę wymienia się go wśród potencjalnych kandydatów do oscarowej nominacji) przyniosły mu pochwały krytyków i widowni, rok zamknie drugoplanową rolą w trzeciej części „Diuny" Denisa Villeneuve'a, a kolejny zacznie premierą zrealizowanego dla Netflixa dramatu „The Take" w reżyserii Fernanda Meirellesa. Informacja na temat Bonda to tylko jeden z elementów tej passy, z pewnością najważniejszy marketingowo.

Jakim Bondem będzie Pattinson? Wszystkie domysły na ten temat to spekulacje, wróżenie z fusów. Jego aktorski zasięg pozwala na wiele. Może być wyrachowanym egzekutorem o nienagannych manierach albo nieobliczalnym agentem, który w głębi serca czerpie satysfakcję ze swojej licencji na zabijanie. Być może Bond Pattinsona zbuntuje się przeciwko panującym w MI6 regułom, a może będzie cierpiącym na zespół stresu pourazowego weteranem służb, który z niechęcią będzie wykonywać powierzone mu zadania. Na razie nie znamy choćby zarysu fabuły ani nie wiemy, z jakim wrogiem będzie się mierzyć 007.

Nadzieję można pokładać w zaangażowanych do realizacji filmu twórcach: ani Denis Villeneuve, ani scenarzysta Steven Knight nie należą do tych lubiących proste rozwiązania i nieskomplikowane fabuły. A cykl o Bondzie zmieniał się z biegiem lat: w czasach Seana Connery'ego odbijał postkolonialne tęsknoty Wielkiej Brytanii i zimnowojenne lęki, w epoce Timothy'ego Daltona i Pierce'a Brosnana seria mogła zrzucić ciężar zimnowojennej paranoi, wraz z Danielem Craigiem spoważniała i dorosła. I nawet gdy twórcy bawili się schematyczną formułą, jak w nakręconym na 50-lecie serii „Skyfall", wciąż był to jednak Bond serio na czasy narastającego niepokoju. Nowa odsłona cyklu też może być jakąś formą odpowiedzi na coraz bardziej posępną rzeczywistość, przeoraną przez polityczne i społeczne kryzysy.

Nudne nazwisko

Co mówią o Pattinsonie krytycy decyzji? Dla jednych jest zbyt charakterystyczny, dla innych – za stary (ma 40 lat, choć np. Roger Moore zaczynał swoją przygodę z Bondem jako 45-letni mężczyzna, a kończył, mając lat 58). Jeszcze inni desperacko przywoływali słowa Iana Fleminga, autora powieści o 007: „Gdy w 1953 r. pisałem pierwszą z nich, chciałem, by Bond był ekstremalnie nudnym, nieciekawym mężczyzną, któremu przytrafiają się pewne rzeczy; miał być tępym narzędziem. Jedną z biblii mojej młodości były »Ptaki Indii Zachodnich« Jamesa Bonda, bardzo znanego ornitologa, więc gdy szukałem imienia dla swojego bohatera, pomyślałem: »Mój Boże, to jest najnudniejsze nazwisko, jakie słyszałem«, więc je sobie przywłaszczyłem. A teraz to najnudniejsze nazwisko stało się ekscytujące. Żona pana Bonda napisała do mnie list, dziękując za to, że je wykorzystałem", mówił pisarz w rozmowie z „New Yorkerem" w 1962 r. Nuda rzeczywiście nie kojarzy się z Robertem Pattinsonem, ale podobnie można powiedzieć o większości odtwórców roli Bonda.

Wśród argumentów przeciwko Pattinsonowi pojawiał się także ten, że do tej pory w roli agenta 007 nie obsadzano gwiazd. Owszem, niektórzy aktorzy byli znani już wcześniej: Roger Moore miał za sobą wiele ról filmowych i telewizyjnych, w tym kilka lat spędzonych na planie serialu „Święty", Pierce'a Brosnana telewidzowie kochali za „Remingtona Steele'a", Daniel Craig ▶

© JAAP BUITENDIJK/AMAZON MGM STUDIOS, KARWAI TANG/WIREIMAGE, CHAD SALVADOR/VARIETY/GETTY IMAGES, BLONDET ELIOT/ABACA/FORUM, ZUMA/FORUM

eprasa.pl 5016b9842e

▶ był ceniony za role w kinie niezależnym. Jednak to dopiero bondowskie występy dały im międzynarodową popularność i globalną rozpoznawalność.

Tyle że Amazon-MGM nie mógł sobie pozwolić na obsadowe eksperymenty. Za prawa do serii koncern zapłacił miliard dolarów, produkcja filmu pochłonie kolejne kilkaset milionów dolarów, więc studio stawia na pewniaków. Już ponad rok temu ogłosiło, że za kamerą stanie Denis Villeneuve (który „Diuną" i „Blade Runnerem 2049" udowodnił, że potrafi nakręcić blockbuster niepozbawiony ambicji artystycznych), scenariusz napisze zaś Steven Knight (autor „Peaky Blinders"i „Rodu Guinnessów", a także reżyser kapitalnego dramatu „Locke" z Tomem Hardym w roli głównej). I właśnie z grubsza od tamtego czasu trwały spekulacje, kto zagra w nowym filmie – roboczo nazywanym „Bond 26" – główną rolę.

Wielka piątka

Wracały niezrealizowane fantazje o 007 w wersji feministycznej (wśród faworytek wymieniano Emily Blunt) lub zatrudnieniu niebiałego aktora (tu od lat na pierwszym miejscu wskazywano Idrisa Elbę). Lecz to znów byłoby ryzyko, którego prawdopodobnie żaden z producentów by nie podjął. Filmy z serii bywały w przeszłości żartobliwe, czasem na granicy parodii (w „Moonrakerze" Bond leci w kosmos!), lecz nawet w tym autoironicznym wydaniu pozostawały z grubsza wierne schematowi wypracowanemu w prozie Iana Fleminga. Film, w którym agent 007 nie byłby białym heteroseksualnym mężczyzną, prawdopodobnie czekałaby komercyjna klęska.

Ruszyła więc karuzela nazwisk, po drodze odpadali kolejni kandydaci (m.in. Henry Cavill), do ostatniego etapu przeszło ostatecznie pięciu aktorów: Jack Lowden, Josh O'Connor, Callum Turner, a także – ich nazwiska ujawniono dopiero pod koniec całego procesu castingu – Nicholas Hoult i Robert Pattinson. Jak donoszą amerykańskie media, w wybór tego ostatniego mocno zaangażowany był sam szef Amazona Jeff Bezos, choć nie trzeba się chyba obawiać, że będzie miał ochotę ingerować w treść filmu.

Bezos, podobnie jak inni miliarderzy ze Stanów Zjednoczonych, może być wzorcowym czarnym charakterem kapitalizmu w najgorszym wydaniu, spłacił też trybut Donaldowi Trumpowi, finansując produkcję koszmarnego dokumentu „Melania", poświęconego żonie prezydenta. Lecz jednocześnie dla należącego do Amazona serwisu VOD Prime Video powstawały rzeczy odważne, kontrujące ultraprawicową polityczną narrację, takie jak antysuperbohaterski serial „The Boys" czy postapokaliptyczny „Fallout". Zresztą nawet sympatia najbogatszych powoli zaczyna się od Trumpa odwracać, czego dowodem może być choćby niedawny wywiad, w którym Elon Musk mówił, że nie do końca wie, co oznacza skrót MAGA.

Seryjny spór

Robert Pattinson nie był rzecz jasna pierwszym Bondem, którego wybór budził emocje i spory. Od samego początku istnienia serii trwały kłótnie i przepychanki, kto ma grać agenta Jej Królewskiej Mości. Gdy powstawał „Dr. No" (1962 r.), pierwszy film cyklu, wyborem producentów był Cary Grant, uznano jednak, że nie będzie chciał podpisać kontraktu na kilka filmów. Do roli przymierzani byli m.in. David Niven (parę lat później wystąpił w parodystycznym „Casino Royale", gdzie oprócz niego Bonda grało kilkoro innych aktorów, m.in. Peter Sellers, Woody Allen



i Ursula Andress) oraz telewizyjny gwiazdor Patrick McGoohan. Zorganizowano nawet otwarty konkurs na Bonda, jego zwycięzca miał co prawda odpowiedni wygląd, ale brakowało mu aktorskiego talentu. Ostatecznie obsadzono mało wówczas znanego Seana Connery'ego.

Gdy szkocki aktor po sześciu filmach zrezygnował z roli (w międzyczasie w jednej z produkcji zagrał Australijczyk George Lazenby), wśród kandydatów znaleźli się m.in. Paul Newman, Steve McQueen, Anthony Hopkins, a także Burt Reynolds, który we wspomnieniach pisał, że odrzucił propozycję, bo czuł, że tę rolę powinien zagrać brytyjski aktor. Ostatecznie Bondem (na siedem filmów, to do dziś rekord) został Roger Moore, a choć był chwalony za wdzięk i poczucie humoru, po premierze filmu „Żyj i pozwól umrzeć" nie zabrakło narzekań, że nie dorównuje Connery'emu.

Z kolei w 2005 r., gdy zaczęły się przymiarki do realizacji „Casino Royale", a producenci zrezygnowali z udziału Pierce'a Brosnana, bo szukali młodszego wykonawcy, w castingach wzięło udział ponad 200 aktorów: od Hugh Jackmana i Christiana Bale'a, po Henry'ego Cavilla i Ewana McGregora. Zatrudnienie dostał

eprasa.pl 5016b9842e



Woskowe figury poprzednich odtwórców roli agenta 007 (od lewej)**: Roger Moore, Timothy Dalton, Daniel Craig, Sean Connery, George Lazenby, Pierce Brosnan, Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud w Londynie**

ostatecznie Daniel Craig, początkowo przymierzany do roli czarnego charakteru. Dopiero producentka Barbara Broccoli zobaczyła w nim idealnego Bonda. Tyle że przez długi czas jej zdania nie podzielali widzowie, a były to już czasy, w których opinia publiczna zyskała masowy dostęp do potężnego medium w postaci internetu. Kampania „Daniel Craig Is Not Bond" (Daniel Craig nie jest Bondem) rozkręciła się na całego, część fanów groziła bojkotem filmu, a argumenty, które wtedy wysuwano, w sporej części pokrywają się z tymi, które można usłyszeć dziś, i w wielkim uproszczeniu sprowadzają się do zdania „Nie pasuje", przy czym kwestia dopasowania okazywała się zazwyczaj bardzo subiektywna. Wbrew obawom widzów Craig był świetnym Bondem, zdaniem wielu krytyków najlepszym w całej historii serii, a niektórzy całkiem poważnie po premierze „Casino Royale" widzieli w nim kandydata do oscarowej nominacji. Więc może i Robert Pattinson przekona do siebie sceptyków.

Jednak burza wokół aktora wkrótce przycichnie, a premiera nowego filmu zaplanowana została na 2028 r. Zainteresowanie widzów trzeba będzie do tego czasu nieustannie podsycać. Zaczną się spekulacje, kto zagra przeciwnika i jaką aktorkę zobaczymy w roli „dziewczyny Bonda", choć już filmy z Danielem Craigiem zaczęły odwracać kojarzony z serią seksistowski stereotyp, a ekranowe partnerki 007 od dawna nie są traktowane jak ozdoby u jego boku. Szczęśliwie minęły już czasy, gdy producenci odrzucili podczas castingu do „Dr. No" Julie Christie tylko dlatego, że ich zdaniem miała zbyt małe piersi.

Niedługo pewnie zobaczymy pierwszy teaserowy zwiastun – może już w lutym, w przerwie futbolowego Super Bowl, gdzie często pokazywane są reklamy najbardziej oczekiwanych filmów i produktów – a gdy ruszą zdjęcia do filmu, zaczną się przecieki z planu. Reakcja na obsadowe newsy dowodzi, może nieco niespodziewanie, że widzowie są wciąż zainteresowani serią, która przecież w przyszłym roku będzie obchodzić 65-lecie. Publiczność, znużona wyeksploatowanymi do dna „Gwiezdnymi wojnami" i franczyzami superbohaterskimi, szuka czegoś, co ma szansę wywołać choć odrobinę ekscytacji. Na razie na wyborze Pattinsona stracili jedynie fani Batmana: choć gwiazdora zobaczymy w „Batmanie II" (premiera również w 2028 r.), aktor miał rozwiązać kontrakt na trzeci film o Mrocznym Rycerzu.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© BE&W

eprasa.pl 5016b9842e



Hity przy knotach

Moda na koncerty przy świecach pokazuje, że jest nowa publiczność, która chce posłuchać muzyki na żywo – nawet jeśli przeraża ją ubiór w operze i bliżej jej do Feela niż filharmonii.

eprasa.pl 5016b9842e



Koncert przy świecach w Madrycie. Takie imprezy są modne w całej Europie.

© FEVER

KRZYSZTOF NOWAK

W Polsce zapowiada się wielki triumf nostalgii. 27 listopada ukaże się dwupłytowe wydawnictwo dokumentujące tegoroczną trasę Męskiego Grania. Pierwszy krążek to przede wszystkim mieszanina coverów klasyków polskich gitar pokroju Lady Pank czy Maanamu i dawnej muzyki popularnej, reprezentowanej chociażby przez Kombi, Annę Jantar czy Papa Dance. Drugi co prawda zawiera oryginalne kompozycje młodszych postaci – jak choćby Daria ze Śląska, Igo czy Kacperczyk – lecz i tu nie zabrakło nowych wykonań dawnych utworów, z hołdami dla Stanisława Soyki czy Andrzeja Zauchy.

Popularność przedsięwzięcia zamykającego w pętli polską muzykę mówi sporo o masowym podejściu, które wciąż przypomina filozofię inżyniera Mamonia z „Rejsu". Ale jest coś, co o nostalgii mówi jeszcze więcej: po kraju – tak jak wcześniej po całej Europie – rozlała się fala koncertów przy świecach, które to, co było, zamieniają w intratny biznes w dystyngowanej, kameralnej formule. I przy zgaszonym świetle.

Stop wysokiego i niskiego

W 2019 r. na pierwszy ogień poszła hiszpańska firma Fever. Jak argumentowali jej przedstawiciele, chcieli ułatwić ludziom dostęp do klasyki postrzeganej jako ta z wysokim progiem wejścia – zarówno finansowym, jak i stylistycznym. By tak się stało, trzeba było zderzyć sacrum z profanum. Eleganckich wykonań na tradycyjnych instrumentach w dawnych kościołach, pałacach czy salach koncertowych mieli słuchać ubrani zwyczajnie normalsi. Za sprawą pandemii miniaturowe występy zyskały uwagę publiczności, a związany z obostrzeniami rozkwit platform społecznościowych ugruntował ich pozycję. Ładnie wyglądały w kadrze i wpisywały się w kulturę kolekcjonowania przeżyć, nie zaś dóbr.

Na naszym rynku pierwsze knoty zapalono w 2023 r. Z tamtym rokiem najmocniej kojarzą się koncerty na 28. piętrze, organizowane przez nieaktywną już markę Svitlo Concert. Dwa lata później o ich fenomenie opowiadał autorowi założyciel Evgenii Kryvin. Według własnych słów eksploatował ten format w Ukrainie już w 2012 r., a w Polsce chciał pokazywać jazz w sposób przyjazny i przystępny, ciepły i romantyczny. Uważał przy tym, że największą zaletą naszego rynku koncertowego jest otwartość publiczności na różnorodne formaty dzięki poziomowi edukacji muzycznej, kulturze uczestnictwa i szacunkowi dla sztuki.

Obecnie, obok europejskiej francuzy Candlelight Concerts wspomnianego Fever, najprężniej działa u nas powstała również w 2023 r. polska firma Candle Live Music. Jej działalność to spełnione marzenie dwóch sióstr, chcących odczarować elitarność świata muzyki klasycznej i połączyć wysokie z popularnym. Na ich wydarzeniach pojawia się od setki do kilkuset osób, a najpopularniejsze są wykonania muzyki filmowej Hansa Zimmera, utwory z kolejnych części „Harry'ego Pottera" oraz fortepianowe i smyczkowe aranżacje Queen, Coldplay, Adele, Metalliki czy ABBY. Wszystko to można usłyszeć w 40 polskich miastach w zabytkowych pałacach, zamkach, oranżeriach, aulach uniwersyteckich, muzeach czy nowoczesnych przestrzeniach industrialnych.

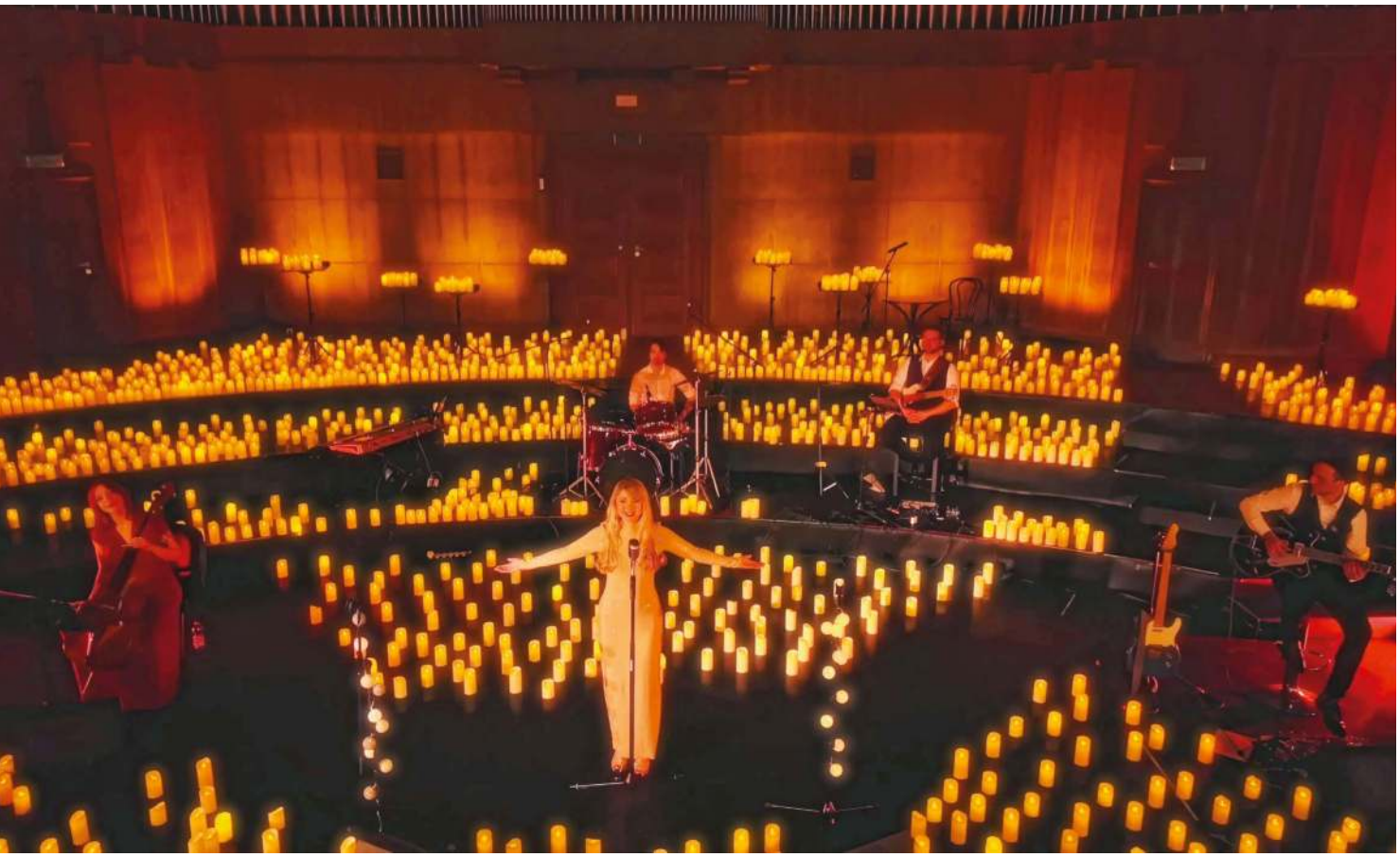
– *Nasza oferta kierowana jest do szerokiego grona dorosłych odbiorców – zarówno par szukających pomysłu na wieczorne wyjście, jak i osób, które na co dzień nie chodzą do filharmonii, ale chętnie słuchają znanych melodii filmowych czy popowych w aranżacjach instrumentalnych* – doprecyzowuje profil działalności przedstawicielka Candle Live Music. Dodaje też, że w ofercie są koncerty dla dzieci i bardziej rozbudowane widowiska z tancerzami baletowymi i flamenco oraz akrobatami.

Przegrzany świecznik

– *Największe zainteresowanie takimi wydarzeniami było w 2024 i 2025 r. W obu latach sprzedaliśmy na nie po ok. 39 tys. biletów* – ujawnia Tomasz Kiersnowski, head of sales platformy sprzedażowej eBilet. To jednak nie wspomniana liczba najlepiej ilustruje sukces, jaki odniósł pomysł. Dwa lata temu w ofercie firmy były 43 tego typu koncerty miesięcznie, a teraz, wliczając te zaplanowane do końca roku, jest ich aż 345.

Mimo to Kiersnowski zauważa, że świecznik mógł już zostać trochę przegrzany. Popularność się zmniejsza, choć rośnie liczba wydarzeń. Powody są dwa: koniec efektu nowości oraz doraźny charakter widowni. Wydarzenia nie mają zaangażowanej grupy fanów – nie jadą na drugi koniec Polski, by zobaczyć swojego idola, tylko chcą miło spędzić czas z bliskimi. A oferta miłego spędzania czasu jest w tych czasach rozbudowana. Dodatkowy problem to repertuar. Teoretycznie przy świecach można usłyszeć wszystko, lecz w praktyce to złudzenie. Twórcy wydarzeń bazują bowiem na zagranicznych dokonaniach, rzadko sięgając po lokalnych artystów. Jeśli już to robią, to stawiają na żelazną klasykę polskiej ▶

eprasa.pl 5016b9842e



Monika Wiśniowska-Basel, półfinalistka 12. edycji programu „The Voice of Poland", podczas występu przy świecach w sali koncertowej Radia Wrocław

▶ piosenki i motywy filmowe. I być może także dlatego coś tu zaczęło przygasać.

Jest i druga strona medalu. Może i liczba uczestników będzie się zmniejszać, ale rynek pozostaje solidny i daje pracę niekoniecznie znanym szerzej instrumentalistom czy wokalistom.

– *Moje pierwsze doświadczenia z koncertami przy świecach to kameralne wydarzenia, najczęściej w listopadzie: półmrok, kilka świeczników i nostalgiczny repertuar* – wyjaśnia Monika Wiśniowska-Basel, półfinalistka 12. edycji programu „The Voice of Poland", tworząca soul, pop i jazz. W młodej branży jest na tyle długo, by zauważyć rozwój. Ujmuje to obrazowo, mówiąc, że kilka świeczników zastąpiły tysiące świec, a repertuar stał się bardziej różnorodny.

Wiśniowska-Basel zaczynała od śpiewania przebojów złotej ery Hollywood, stała się ważną postacią branży, lecz nie uczyniła z niej podstawy swojej działalności muzycznej. Większą część życia zawodowego poświęca edukacji artystycznej i tworzeniu musicali. Docenia jednak zaawansowanie organizacyjno-promocyjne takich koncertów i pozafinansowe korzyści. Dzięki swoim interpretacjom kultowych piosenek dociera do nowych słuchaczy i ma szansę zainteresować ich swoją twórczością.

To blaski występów przy świecach. A cienie? Te oczywiście też są, o czym można się było przekonać w trakcie kameralnego wydarzenia w listopadzie: w półmroku, w otoczeniu świeczników i przy nostalgicznym repertuarze.

Środki nie uświęcają celu

W niedzielę Pałac Kultury i Nauki w Warszawie był dla Vicinato Piano Duo, czyli Piotra Niemca oraz Yelyzavety Akhromenko, miejscem pracy widocznym dla słuchaczy przez z grubsza pięć godzin. O godz. 16 duet grał na cztery ręce na fortepianie motywy z „Harry'ego Pottera", o godz. 18 wykonywał muzykę z serialu „Dragon Ball", a o godz. 20 zmierzył się z klasykami filmowymi. Można się zmęczyć. Na tym drugim wydarzeniu zamiast prawdziwych świec były wprawdzie plastikowe LED-y z obracającym się listkiem zamiast płomienia, ale Sala Starzyńskiego niemal się wypełniła. Wolne miejsca były tylko w najtańszej, najbardziej oddalonej od stojącego na środku fortepianu, strefie. Przy czym warto zauważyć, że znalezienie się w niej wiązało się z wydaniem 110 zł.

Przyszli tu głównie sparowani, ubrani w stylu *smart casual* milenialsi. A gdy rozległy się brawa, pojawili się elegancko ubrana artystka i jej partner w charakterystycznym pomarańczowym stroju z symbolem noszonym przez Son Gokū, bajkowego herosa. On zajął się konferansjerką, a właściwie bardziej jej namiastką, bo zapowiedzi ograniczyły się głównie do fraz w rodzaju „idziemy dalej".

Piotr Niemiec wspominał, że kluczem do przeżycia wieczoru ma być „szafowanie emocjami". Przy czym całość wydała się tyleż satysfakcjonująca, ileż grzeczna i bezpieczna. Stonowany, otulający klimat zrobił swoje – na koncercie naprawdę mało osób coś nagrywało. Ba, praktycznie nikt też nie szeptał, jak gdyby zebrani przyszli z myślą, że to trzeba

eprasa.pl 5016b9842e

przeżyć w ciszy, pokontemplować, wrócić do dawnego siebie. Wydarzenie jest może mało poruszające emocjonalnie, ale za to wyciszające i odprężające w takim stopniu, że warto to skonsultować ze specjalistką.

– *Takie koncerty to nie może być nic związanego z muzykoterapią* – kwituje Natalia Bury, muzykoterapeutka, prowadząca we Wrocławiu gabinet Music Care (sama była kiedyś na podobnym występie), w odpowiedzi na pytanie, czy można traktować uczestnictwo w tych koncertach jako terapię dźwiękami.

Zdaniem Bury to trochę jakby powiedzieć, że podczas oglądania radosnych rozmów w telewizji śniadaniowej odbywamy psychoterapię. Zwraca uwagę na fakt, że sesje odbywają się pod opieką wykształconego na akademii muzycznej specjalisty, a utożsamianie relaksacyjnego aspektu wydarzeń z muzykoterapią może wyrządzać ogromną krzywdę. Dostrzega za to społeczną potrzebę związaną z poszukiwaniem przestrzeni i sytuacji, w których układ nerwowy dostaje komunikat: możesz zwolnić.

– *Nie zakładałabym, że każdy słuchacz szuka w tym edukacji muzycznej, czasem chce po prostu przeżyć piękny wieczór, i to również ma wartość* – diagnozuje Wiśniowska-Basel, odpowiadając na pytania, czy tego typu wydarzenia naprawdę oswajają Polaków z muzyką klasyczną i czy związany z nimi szum spowoduje wzrost zainteresowania innym repertuarem. Według piosenkarki sama formuła może jednak popchnąć kogoś do pierwszego kontaktu z klasyką, a znane melodie mogą rozbudzić ciekawość instrumentów i żywych aranżacji. Przedstawicielka Candle Light Live dorzuca coś jeszcze: czas trwania koncertu, czyli ok. 60 minut, jest znacznie przystępniejszy dla słuchacza niż trzygodzinna opera czy balet.

Zanim koncepcja się wypali

– *Słyszałam o takim formacie głównie za sprawą sponsorowanych reklam w mediach społecznościowych* – zdradza Hanna Derej, 21-letnia kompozytorka, pianistka, aranżerka i dyrygentka. Jej zdaniem to ciekawa opcja dla widowni poszukującej bardziej doświadczenia i wysłuchania dobrze kojarzącej się mieszanki znanych motywów niż dobrego wykonania autorskiego. Muzyka niekoniecznie jest tu centrum poszukiwań artystycznych. Entuzjastą idei jest zaś Paweł „Wuja HZG" Stachowiak, wzięty basista, kompozytor i producent. Jako twórca wie, że wielkie znaczenie odgrywa atmosfera wydarzenia. Sam jest więc otwarty na takie doświadczenie, chętnie przeżyje je na żywo, gdy nadarzy się okazja. Według niego taki klimat może być również wartościowy dla samego artysty, bo i jego, i słuchacza odrywa od codzienności, wyciszając natłok myśli.

Nie można wykluczyć, że za jakiś czas oferty dla muzyków pokroju Stachowiaka pojawią się i w tym segmencie rynku. Bo skoro widać utratę zainteresowania formatem, to domaga się on nowej, ponownie skutecznej odsłony. Logicznie byłoby – oprócz odpowiedniego oświetlenia – zadbać o rozpoznawalnych instrumentalistów i lokalny, świeży repertuar. Tylko czy uda się coś zmienić, zanim koncepcja do cna się wypali?

KRZYSZTOF NOWAK

© TOMASZ BASEL

REKLAMA



eprasa.pl 5016b9842e

Twórczy Jarre



50 lat temu powstała płyta, która wtedy ilustrowała przyszłość, a dziś brzmi jak wspomnienie przeszłości i przypomina, że czasy science fiction zostawiliśmy za sobą.

BARTEK CHACIŃSKI

Czas od sierpnia do listopada 1976 r. Jean-Michel Jarre spędzał głównie w kuchni swojego mieszkania przy paryskiej rue de la Trémoille, w otoczeniu maszyn. Był wśród nich zepsuty Mellotron – stary klawisz udający orkiestrę za pomocą nagranych na taśmę brzmień. To z niego pochodzą dźwięki chóru w drugiej części „Oxygène". Był także wyglądający jak przyrząd laboratoryjny syntezator EMS VCS 3, na który Jarre zamienił gitarę elektryczną, oraz EMS Synthi AKS, podpatrzony u Pink Floyd, którzy wykorzystali go na „Dark Side of the Moon".

Z japońskiego miniKorga Francuz wydobywał dźwięki naśladujące flety. Prosty automat Korg Mini Pops z początku lat 70. służył najpierw jako metronom, a w końcu jako perkusja. Szczególnie gdy kompozytor zauważył, że przy użyciu taśmy klejącej można uruchamiać dwa rytmy naraz – i w części szóstej „Oxygène" połączyć bossa novę z rumbą. W części piątej wykorzystał z kolei RMI Harmonic Synthesizer, który był najnowszym krzykiem techniki i jednym z pierwszych cyfrowych urządzeń w jego arsenale. Sekwencje realizował, podkładając mały kawałek drewna pod klawisze. A szumy i trzaski wynikające z domowej produkcji zamaskował, generując za pomocą syntezatorów dźwięk wiatru (co sprawiło, że później niektórzy klienci zwracali album jako wadliwy).

„Nie ma tam tradycyjnych bębnów ani basu – elementów, które zwykle bardzo precyzyjnie zakotwiczają muzykę w czasie" – pisze dziś Jarre w książce „Machines. Historia muzyki elektronicznej", wydanej na całym świecie, także w Polsce, w 50. rocznicę „Oxygène". „Stąd zapewne

eprasa.pl 5016b9842e



Pierwszy koncert Jeana-Michela Jarre'a na Place de la Concorde w Paryżu, 14 lipca 1979 r.
Poniżej: **jego legendarna płyta sprzed pół wieku.**

bierze się ponadczasowość brzmienia tego albumu". A płyta od pół wieku kojarzy się z technologią, rozwojem naukowym, przyszłością.

Sukces od kuchni

Pieniądze na kuchenne studio Jarre zarobił, produkując piosenki pop, ścieżki dźwiękowe i muzykę do reklam. A na nagrywanej płycie chciał stworzyć coś, co nie będzie już awangardowym eksperymentem, a jeszcze nie zamieni się w banalny pop. Formę bardziej przypominającą muzykę klasyczną, ale odnoszącą się – jak dziś pisze – do atmosfery wokół. Tyle że – jak zauważa – „Oxygène" powstała w czasach „zdominowanych przez punk i disco, i nie pasowała do żadnego z tych nurtów".

Takie też były reakcje. Chris Blackwell z Island Records odrzucił materiał: Jak to, żadnego perkusisty i utwory po 10 minut? Nie będzie z tego emisji w radiu i jeszcze autor jest Francuzem! Matka artysty miała go strofować: „Dlaczego zatytułowałeś płytę nazwą gazu i dałeś czaszkę na okładkę?". Sama miała za sobą doświadczenia wojenne, była więźniarką obozu w Ravensbrück, ale obraz Michela Grangera miał być metaforą tego, co się rodziło w latach 70. – troski o planetę. Z kolei Charlotte Rampling, przyszła żona Jarre'a, zauważyła ponoć, że „nigdy czegoś takiego nie słyszała, więc nic z tego nie będzie albo będzie wszystko".



W to drugie uwierzył Francis Dreyfus. Młody wydawca słuchał podobno materiału obsesyjnie, katując nim pracowników w biurze. I wpadł na genialny pomysł: wydaną w grudniu 1976 r. płytę rozesłał sprzedawcom sprzętu hi-fi jako album demonstracyjny. Klienci go słyszeli w salonach, pytali – i tym kanałem udało się osiągnąć sprzedaż rzędu 50 tys. egz. A resztę zrobiło... radio. Nie dość, że „Oxygène pt. 4" trafiło na singiel i listy przebojów, to jeszcze rozgłośnia Europe 1 zdecydowała się wyemitować płytę w całości, a potem wykorzystać fragmenty jako ilustrację różnych audycji. Kawałek znalazł się w dźwiękowej reklamówce otwieranej we Francji autostrady, BBC wzięła zaś muzykę Jarre'a do filmu dokumentalnego, a radio holenderskie wykorzystało ją do uspokajania atmosfery po głośnym uprowadzeniu pociągu przez molukańskich terrorystów.

Do końca 1977 r. płyta stała się już globalnym fenomenem – sprzedaż liczono w milionach (dziś to ponad 18 mln). I uniwersalną ścieżką dźwiękową nowoczesności, wykorzystywaną także w polskiej telewizji, m.in. w popularnym programie „Sonda".

To sukces tego albumu – i późniejszego „Equinoxe" – doprowadził do gigantycznego koncertu dla miliona widzów na Place de la Concorde, pozwolił autorowi wypracować formułę drogich spektakli typu światło i dźwięk, a potem bić kolejne frekwencyjne rekordy Guinnessa występami w Houston i Moskwie.

Na koniec listopada br. Jarre zapowiedział specjalne jubileuszowe wydanie „Oxygène", odświeżonego dźwiękowo w studiach Abbey Road. I obiecał pierwszy raz udostępnić materiał w systemie Dolby Atmos, do którego trzeba było zmiksować całość na nowo, już nie w paryskiej kuchni. Będzie też trasa koncertowa „Oxygène & Beyond", w której ramach artysta przyjedzie we wrześniu 2027 r. na trzy – już nieco mniejsze, organizowane w dużych halach – koncerty do Polski.

Skazany na maszyny

Komercyjna rewolucja w zainteresowaniu muzyką elektroniczną, jakiej dokonał Jean-Michel Jarre, może się dziś wydawać dziełem przypadku. Tak naprawdę ▶

© FRANÇOIS ROUSSEAU, DOUGLAS DOIG/EVENING STANDARD/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5016b9842e

▶ trudno sobie wyobrazić zbieg okoliczności wyraźniej prowadzący do takiej sytuacji. Urodzony w 1948 r. artysta był synem słynnego kompozytora muzyki filmowej (Maurice Jarre stworzył ścieżki dźwiękowe do „Lawrence'a z Arabii" i „Doktora Żywago") oraz wnukiem wynalazcy i konstruktora maszyn (André Jarre zaprojektował jedną z pierwszych radiowych konsolet mikserskich). Urodził się w kraju, który miał największą tradycję eksperymentów z elektroniką – tu działało najważniejsze tego typu środowisko, czyli Groupe de Recherches Musicales. Kształcił się muzycznie od piątego roku życia i zdążył pracować w GRM pod skrzydłami legendarnego założyciela Pierre'a Schaeffera, pioniera musique concrète.

Nie był to jedyny mistrz młodego Francuza. W książce „Machines" Jarre pisze o swojej pierwszej wydanej na płycie kompozycji: „Tytuł »La Cage« zrodził się częściowo z poczucia uwięzienia, jakiego doświadczałem jako nastolatek, ale był też ukłonem w stronę kompozytora Johna Cage'a. Gdy moja matka była w ciąży, Cage dotknął jej brzucha i powiedział: Ach, to chłopiec, zostanie muzykiem". A w dzieciństwie Jeana-Michela jego matka Francette Pejot zabierała go do klubów jazzowych. Więc na jego ósme urodziny przebywający w Paryżu Chet Baker posadził chłopaka na pianinie i zagrał mu na trąbce.

Trudno więc sobie wyobrazić, żeby podobną karierę miał zrobić ktoś inny. Trudno też wskazać lepszego autora książki – będącej zarazem albumem wypełnionym zdjęciami futurystycznych urządzeń – który opowie o rewolucji elektronicznej w muzyce. Jarre miał bowiem do dyspozycji najnowszy sprzęt elektroniczny przez sześć kolejnych dekad. Wykorzystywał i wdrażał kolejne wynalazki epoki analogowej i cyfrowej. Przejście przez GRM spowodowało, że pracował na wczesnych wytworach wyobraźni konstruktorów, takich jak rzeźba dźwiękowa Cristal Baschet czy wodofon (waterphone). Dzięki inspiracji tereminem zbudowanym przez Lwa Termena zafascynował się budową laserowej harfy, którą wykorzystywał na koncertach. Znał też fale Martenota – kolejny pionierski wynalazek z lat 20., instrument, na który komponował m.in. jego ojciec, a później choćby grupa Radiohead.

Zarazem – poza zbiorem gigantycznej kolekcji starych urządzeń – Jarre pozostaje aktywnym artystą, śledzi współczesne konstrukcje, wykorzystuje nowe programy komputerowe, aplikacje na iPada i od lat eksperymentuje z AI, pisze nawet w nowej książce, że dobry prompt ma jego zdaniem esencjonalny charakter haiku. Choć przytoczone przykłady nie robią już takiego wrażenia jak „Oxygène" pół wieku temu.

Nostalgia za przyszłością

Ciekawsze jest to, w jaki sposób Jarre zauważa, co w jego starych nagraniach uderzało najmocniej: spotkanie przeszłości i przyszłości, tradycji i nowoczesności. W wywiadzie, którego udzielił ćwierć wieku temu niżej podpisanemu, opowiedział o tym, że jedną z najbardziej inspirujących dla niego rzeczy było połączenie walca „Nad pięknym modrym Du-



najem" Straussa i statków kosmicznych w „2001: Odysei kosmicznej" Kubricka. „To przenośnia czasu" – mówił wtedy. „Stoimy jedną nogą w przeszłości, w nostalgii za XIX w., a drugą – w przyszłości".

Jarre prywatnie zresztą przyjaźnił się z twórcą pierwowzoru literackiego „Odysei..." Arthurem C. Clarkiem. Ów pisarz science fiction zachęcał go kiedyś do zorganizowania koncertu na Księżycu (nie było daleko – partię saksofonową z „Rendez-vous" miał zagrać jeden z astronautów na pokładzie Challengera, tyle że start promu w 1986 r. zakończył się tragicznie), a Jarre z kolei zorganizował specjalny koncert po śmierci Clarke'a.

Od lat ma wyczucie momentu, w jakim znalazła się cywilizacja. „Dziś science fiction jest już za nami. Okazuje się, że zajmując się od lat 60. muzyką elektroniczną, zupełnie mimowolnie uczestniczyłem w tworzeniu poetyckiej wizji jutra" – mówił w tym wywiadzie sprzed lat. Przyszłość została niejako odkryta. Dziś na kartach „Machines" Jarre opowiada o futurystycznych urządzeniach jako eksponatach muzealnych. Dowiadujemy się, który z nich jest odpowiednikiem Rolls-Royce'a (syntezator Oberheim TVS-1 w wersji ośmiogłosowej), a który jest Steinwayem wśród syntezatorów (Yamaha CS-80, także ulubiony instrument Vangelisa). Na każdy patrzy indywidualnie.

„Emocjonalna więź, jaką nawiązuje się z instrumentem, jest bezpośrednio związana z inspiracją. To technologia dyktuje styl, nie odwrotnie" – twierdzi na kartach książki. Ale wspominając stare sesje w kuchni, pokazuje, że zaskakująco dużo rozwiązań kończyło się na graniu bez synchronizacji, w niedoskonały sposób, z ręcznym montażem na zawodnej taśmie i w ramach ograniczonych środków. Co więcej, udowadnia, że pewnych rozwiązań mimo szaleńczego rozwoju technologii nie da się powtórzyć. Bo nie wszystkie podzespoły z okresu pracy nad „Oxygène" są dziś dostępne, a większość urządzeń po upływie lat nie zadziałałaby tak samo.

Wspomina tu drobiazg: stosunkowo proste efekty gitarowe Electro-Harmonix Small Stone, przez które przepuszczał wiele partii na historycznej płycie. „Używałem oryginalnego fazera EH4800. W 2024 r. ukazała się jego limitowana reedycja, lecz wydaje ona zupełnie inne brzmienie: nowe podzespoły dają efekt fazowania o wiele za silny. Podobnie oryginał, liczący ponad 50 lat, nie brzmi już tak jak na »Oxygène«. Wszystko to podkreśla fakt, że dźwięk jest zarówno subiektywny, jak i chwilowy – nic nie może się powtórzyć dokładnie tak samo". Nie da się więc wrócić do tej samej rzeki, mimo gigantycznych możliwości nie da się nagrać dokładnie takiej samej płyty. Nie da się też powtórzyć wyczynu z 1976 r., o czym Jarre też dobrze wie.

BARTEK CHACIŃSKI

Jean-Michel Jarre, **Machines. Historia muzyki elektronicznej**, przeł. Adrian Stachowski, SQN, Kraków 2026; Jean-Michel Jarre, **Oxygène (50th Anniversary Edition)**, BMG

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5016b9842e



JUŻ ZA TYDZIEŃ NOMINACJE!

Film Scena Sztuki Wizualne
Muzyka Popularna Muzyka Poważna
Książka Kultura Cyfrowa

polityka.pl/paszporty

Współorganizator Gali

Partnerzy Główni

Partner Oficjalny

Partnerzy Kategorii

Książka

Sztuki wizualne

Film

Scena

Muzyka poważna

Partner Medialny

Partner Paszportów Polityki

Partner Gali

eprasa.pl 5016b9842e



Ludzie jak androidy

Serial „Blade Runner 2099” kontynuuje wątki legendarnego filmu Ridleya Scotta, lecz tym razem to replikanci mają władzę, a łowcy tropią ludzi, którzy nie chcą się podporządkować nowym zasadom.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Do końca XXI w. W Los Angeles można wciąż bez trudu odnaleźć ślady przeszłości: piramida korporacji Tyrella przyciąga wzrok, policyjne Spinnery przecinają niebo, tłumy przeciskają się wąskimi ulicami w zgiełku dźwiękowych komunikatów. Miasto nie zmieniło się tak bardzo. Może jeszcze więcej w nim podejrzanych spelun i ulicznych kramów, brudnych zaułków i buchającej z rur pary, lecz to wciąż LA, w którym bez trudu odnalazłby się łowca zbuntowanych androidów Rick Deckard. Zmienił się za to układ sił: na skutek zwycięskiego powstania przeciwko ludziom to replikanci (androidy) są w mieście dominującą siłą. Badający poziom empatii test Voighta-Kampffa, który kiedyś służył wykrywaniu replikantów ukrywających się wśród ludzi, dziś używany jest w przeciwnym celu. „Blade Runner 2099” odwraca więc porządek znany z „Łowcy androidów” Ridleya Scotta i jego kontynuacji, „Blade Runnera 2049” Denisa Villeneuve’a, lecz jednocześnie wciąż porusza te same fundamentalne kwestie: co czyni nas ludźmi? Czy człowieczeństwo daje prawo do kontrolowania innych żywych istot?

Co znaczy człowiek

Główną bohaterką serialu jest Cora (Hunter Schafer), która wraz z młodszym bratem chciałaby opuścić miasto. Ludzie jednak potrzebują specjalnych wiz, a żeby je zdobyć, trzeba kombinować i łamać prawo. Cora musi co chwila zmieniać tożsamość, udaje replikantkę, co pozwala jej ukrywać się na widoku. Trafia ostatecznie do ekipy łowców, gdzie pracuje u boku Olwen (Michelle Yeoh), której zostało tylko kilkanaście dni życia. W tym samym czasie grupa zbuntowanych androidów generacji Nexus-9 szuka sposobu na wydłużenie swojej egzystencji: wierzą, że istnieje sposób na złamanie ograniczeń – w tym czasu funkcjonowania – jakie na replikantów nałożyli przed laty ich twórcy. Oba wątki łączą się w opowieść o narodzinach nowego świata: dla replikantów wolnego od zwierzchnictwa

© AMAZON CONTENT SERVICES LLC, BE&W (2)

eprasa.pl 5016b9842e







Harrison Ford jako łowca Rick Deckard w kultowym filmie „Łowca androidów" Ridleya Scotta, 1982 r.
Powyżej po prawej: **z Ryanem Goslingiem w sequelu „Blade Runner 2049" Denisa Villeneuve'a, 2017 r.**
Po lewej: **Hunter Schafer (Cora) i Michelle Yeoh (Olwen) w serialu „Blade Runner 2099".**

korporacji, dla ludzi oznaczającego apokalipsę. „Tracimy to, co mieliśmy. Ile czasu minie, zanim stracimy wszystko? Zanim staniemy się niczym?", mówi bohaterka grana przez Hunter Schafer.

Dla twórczyni serii, scenarzystki Silki Luisy, apokaliptyczny wątek końca ludzkości był szczególnie istotny. „To opowieść na wielką skalę, ale zarazem intymna historia ocalałej, która czuje się jak wielu z nas w tej chwili – niepewna nadchodzącej przyszłości i tego, czy znajdzie się w niej dla niej miejsce", pisała w tekście, który wprowadzał do fabuły serialu. „W ostatnich latach ogarnął nas nowy lęk: przed końcem. Końcem naszej planety, końcem ludzkości". Luisa zastanawia się, czy cały nasz gatunek nie jest jak Roy Batty z oryginalnego filmowego „Łowcy androidów": staje oko w oko z własną śmiertelnością. „Chciałam zapytać: jeśli wydarzy się najgorsze, jeśli zostaniemy zastąpieni, czy będzie to koniec człowieczeństwa, czy może jego ponowne przebudzenie? Co w takim momencie będzie w ogóle znaczyło bycie człowiekiem?".

To zagadnienia tym bardziej istotne, że w przeciwieństwie do filmów tym razem zadają je kobiece bohaterki. – *Zawsze wyobrażałam sobie, że w tym męskim świecie muszą również istnieć łowczynie. Potrzebowałam kobiet, żeby rozszerzyć perspektywę, zmienić punkt widzenia* – opowiada POLITYCE Silka Luisa.

Jak łzy w deszczu

Zrealizowany w 1982 r. „Łowca androidów", luźna adaptacja powieści „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?" Philipa K. Dicka, pozostaje jednym z najważniejszych filmów w historii kina. Ridley Scott nakręcił metafizyczne, refleksyjne, a przy tym pełne napięcia ▶

eprasa.pl 5016b9842e

▶ science fiction, które w centrum stawia pojedynek policyjnego łowcy Ricka Deckarda (Harrison Ford) i tropionego przez niego zbuntowanego replikanta Roya Batty'ego (Rutger Hauer). „Łowca androidów" przypominał humanistyczny traktat w atrakcyjnym, fantastycznym kostiumie, był refleksją na temat człowieczeństwa, życia i śmierci, władzy i kontroli. A przedśmiertny monolog Roya Batty'ego zakończony słowami: „Wszystkie te chwile rozpłyną się w czasie jak łzy w deszczu" (Rutger Hauer sam dopisał je do scenariusza dzień przed realizacją tej sceny), to jeden z najczęściej powtarzanych filmowych cytatów. Tuż po premierze nie wszyscy recenzenci, zwłaszcza amerykańscy, byli zachwyceni: narzekali przede wszystkim na zbyt wolne tempo i brak typowych dla kina gatunkowego scen akcji. Negatywne opinie wystawiali filmowi najbardziej wpływowi krytycy, m.in. Pauline Kael i Roger Ebert.

Czas jednak działał na jego korzyść. Wpływ „Łowcy androidów" na popkulturę jest wciąż bardzo wyraźny. Odwoływali się do niego tacy twórcy, jak Christopher Nolan, Steven Spielberg, siostry Wachowskie czy Masamune Shirow, twórca mangi i anime „Ghost in the Shell". Jego wizualny styl – zatłoczone wielkie miasto rozjarzone neonami, skąpane w ulewnym deszczu, niczym z czarnego kryminału przeniesionego w technologiczną przyszłość – był kopiowany przez dziesiątki artystów.

Scott swoim filmem ustawił poprzeczkę tak wysoko, że nie udało się jej przeskoczyć nawet Denisowi Villeneuve'owi, gdy w 2017 r. kręcił sequel „Blade Runner 2049", skądinąd bardzo udany. Silka Luisa nie jest w branży nowicjuszką. Pracowała m.in. przy serialu „Halo", adaptacji popularnej serii gier komputerowych, była również twórczynią i scenarzystką „Lśniących dziewczyn", thrillera psychologicznego zrealizowanego dla serwisu Apple TV+. Nie ukrywa, że praca przy „Blade Runnerze" była wielkim wyzwaniem, jednak nie mogła poddać się tremie. – *Praca nad takim projektem wymaga odwagi, pewności siebie i rozmachu* – tłumaczy.

Ridley Scott był tym razem jednym z producentów wykonawczych serialu, jednak nie ingerował w proces twórczy, choć chętnie służył swoim doświadczeniem. – *Było dla mnie ważne, żeby uzyskać jego błogosławieństwo dla tego projektu* – mówi Luisa. – *Nie traktował naszego zespołu protekcjonalnie, nie zarządzał planem. Za to dzielił się swoim doświadczeniem, a jest prawdziwą skarbnicą wiedzy na temat filmu, sztuki, historii.*

Słoneczny noir

Od czasu premiery filmu Scotta uniwersum „Blade Runnera" się rozrosło. Oprócz sequela były filmy krótkometrażowe, serial animowany, kilka cykli komiksowych, a nawet parę powieści autorstwa K.W. Jetera, rozwijających wątki filmowe. Scenarzyści serialu w poszukiwaniu inspiracji sięgali jednak znacznie głębiej.

– *Filmy i powieść Philipa K. Dicka były dla nas podstawą. Ale szukaliśmy też w źródłach, z których czerpał Ridley Scott, np. z komiksów Jeana „Moebiusa" Girauda, które są pełne architektonicznych, wizualnych detali, a jednocześnie mają w sobie jakąś lekkość. Moebius potrafił w rysunkach łączyć grozę z komizmem. Staraliśmy się to wykorzystać np. przy projektowaniu kostiumów. Maska intubacyjna, którą łowcy zakładają aresztowanym ludziom, jest przerażająca i zabawna jednocześnie. To pomysł zaczerpnięty wprost z komiksów* – opowiada Luisa.

Zdradza, że często nawet najdrobniejsze detale były połączeniem inspiracji z różnych źródeł. Jako przykład podaje pojawiającą się tylko w kilku scenach zabawkę, która należy do jednej z drugoplanowych bohaterek – robota o imieniu Milord. Sam pomysł był zaczerpnięty z opowiadania „Stowarzyszenie" Philipa K. Dicka z początku lat 50., lecz rekwizytorzy inspirowali się także głośnym behawiorystycznym eksperymentem Harry'ego Harlowa, który dawał samotnym małpkom do wyboru dwie kukiełki „matki" – drucianą i szmacianą. Zwierzątka najczęściej wybierały miękką zabawkę, a serialowy Milord jest wzorowany właśnie na jej kształcie.

„Blade Runner 2099" wizualnie zachowuje estetyczną spójność z filmami Scotta i Villeneuve'a, muzyka Leopolda Rossa czerpie z dokonań Vangelisa oraz Benjamina Wallfischa i Hansa Zimmera, którzy komponowali ścieżki dźwiękowe do poprzednich filmów. Jednak fabuła wymagała wprowadzenia nowych elementów. Największa zmiana dotyczyła klimatu: zamiast nieustannie padającego deszczu palące, bezlitosne słońce. Silka Luisa żartobliwie określa swój serial jako „słoneczne noir". To symbol ewolucji miasta i jego odrodzenia po wojnie ludzi z replikantami.

Realizatorzy musieli sobie odpowiedzieć na pytania, jak mogło się rozbudować miasto przez 50 lat, które minęły od finału „Blade Runnera 2049" do momentu, w którym zaczyna się akcja serialu? Jak mogła się rozwinąć już wcześniej zaawansowana technologia? I przede wszystkim, jak zmiany demograficzne wpłynęły na tkankę miejską? W Los Angeles 2099 r. siłą rzeczy więcej usług przeznaczonych jest dla replikantów, jak lokale, gdzie mogą przymierzać sztuczne ciała, by choć na krótko doświadczyć ciąży bądź uczucia starości albo otyłości, czy też salony spa oferujące zabiegi, dzięki którym klienci mogą przed podróżą dostosować się do atmosfery pozaziemskich kolonii. „Blade Runner 2099" pozwala też wyjść poza granice dystopijnego miasta, przyjrzeć się apokaliptycznym obrazom zrujnowanej Ziemi, a nawet innym światom pozaziemskich kolonii, na których pracują replikanci.

Ukryte cytaty

Pytana, czy pracując nad scenariuszem, zastanawiała się nad tym, jak zareagują fani „Łowcy androidów", Luisa odpowiada krótko: – *Byłam przede wszystkim skoncentrowana na tym, co chcę osiągnąć. Nie mogłam się zastanawiać, jak na każdą scenę zareagują widzowie, bo to by mnie kompletnie zablokowało.* I dodaje, że zależało jej na tym, by serial był czytelny nie tylko dla fanów, lecz również dla widzów, którzy do świata przyszłości wejdą po raz pierwszy.

– *Jestem fanką „Łowcy androidów", od kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. I wydawało mi się, że każdy zna ten film równie dobrze jak ja. Dopiero, gdy napisałam pierwszą wersję scenariusza do pilotowego odcinka i dałam ją do przeczytania kilku osobom, okazało się, że część z nich nigdy nie widziała filmu, niektórzy nie przepadają za science fiction* – relacjonuje autorka. – *Musiałam wziąć to pod uwagę, odpowiedzieć w serialu na najprostsze pytania: kim są replikanci, dlaczego zostali stworzeni, co odróżnia ich od robotów i ludzi. Choć oczywiście ukrytych cytatów i „easter eggów" jest w serialu mnóstwo, fani będą wiedzieli, na co patrzeć i czego szukać.*

Zgodnie z założeniami „Blade Runner 2099" ma być zamkniętą opowieścią. Scenarzystka nie ma w planach pracy nad potencjalnym drugim sezonem. Jednocześnie serial udowadnia, że w stworzonym przez Ridleya Scotta mrocznym świecie przyszłości jest wiele miejsca na nowe wątki i opowieści. A jak zauważa Silka Luisa, pytanie o to, co czyni nas ludźmi, nigdy nie przestanie być aktualne.

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl 5016b9842e

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Grudniowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 5016b9842e



Sztuka przetrwania

Synowie są moim największym „fleksem” – z angielskiego *to flex*, czyli prężyć bicki. Znaczeniowo to blisko słowa, które starsi czytelnicy pamiętają – „szpan”. Pokolenie stanu wojennego szpanowało zielonymi kurtkami U.S. Army z paczek z darami, a teraz młodzi fleksują wszystkim, „co sobie kupili”, często za pieniądze rodziców. Nie chcę się tu chwalić, jacy to moi synowie są odpowiedzialni, dowcipni i że już w wieku 18 lat nauczyli się wstawiać garnki do zmywarki. Chciałam tylko podzielić się z wami radosnym zdumieniem, że mimo dwóch synów jeszcze żyję. Matki i ojcowie to worki treningowe dla potomstwa, a jak widać po ostatniej tragedii z Krakowa czy napaściach młodocianych nożowników agresja może skończyć się tym, że wyląduję w urnie lub – jeśli przejmie moje narządy prezydent Łukasz Gibała – posłużę za modelkę do jego wersji „Lekcji anatomii doktora Tulpa”.

Ogólna forma, jaką utrzymuję od pierwszych treningów w Legii, owszem, przydaje się do wbicia w bikini czy odparcia ataku narodowca za to, że rozmawiam w obcych językach w tramwaju z przyjaciółmi z Ukrainy, zwanymi ostatnimi laty „ukrami”. Jednak najbardziej mi się przydała, gdy syn okładał mnie pięściami, bo nie pozwoliłam mu wyjść na piłkę, zanim posprząta pokój... Nie wiem, co doprowadziło do tego, że w Ostrowcu Świętokrzyskim syn zastrzelił mamę, tatę i siostrę, ale wiem, że najwięcej śmiertelnych niebezpieczeństw niesie ze sobą rodzicielstwo. Adiustowałam testament w ciąży i przed oboma porodami. Porody okazały się preludium do niebezpieczeństw, jakie niosą troska i wyzwania macierzyństwa w erze antropocenu i turbokapitalizmu.

W Polsce rodzic jest jak saper. Tysiące godzin katechezy okazało się mało skuteczne wychowawczo.

Jasne, rodzicielstwo to też radość, czułość, bliskość, czasem poczucie dumy, ale i ryzyko o wiele większe niż sport ekstremalny. Dlatego pastele Wyspiańskiego z cyklu „Macierzyństwo” najchętniej zamalowałabym scenami z życia znajomych kobiet z krwawiącymi sutkami lub oczami pełnymi lęku przed zbliżającym się w szpitalu lub domu „patrolem laktacyjnym” (czy synuś dostaje z cycka naturalne mleko, czy jesteś leniwą lub zimną suką i dajesz mu chemię z butli?).

W Polsce, gdzie politycy wydali sferę cyfrową na pastwę tiktokizacji, rodzic jest jak saper. Własny dom, sieć wi-fi, a nawet telefon, za który mamusia synkowi być może opłaca abonament, mogą stać się źródłem niebezpiecznych gier, kontaktów i ideologii. Zamiast umawiać się na brydża z psiapsiółkami, musimy choć trochę orientować się w debilnych grach, w które łoją podopieczni. Tysiące godzin katechezy okazało się mało skuteczne w wychowywaniu empatycznych dzieci; szanujących ojców i matki.

Zastanawiam się, co mnie do tej pory uchroniło przed wyeliminowaniem przez dzieci. Może bardzo dużo gadania o uczuciach. Jeśli ktoś nie umie o nich rozmawiać z drugim człowiekiem, a przecież nasze dzieci to dla nas wielkie zagadki, może poćwiczyć z rodziną nad „Wielką księgą uczuć” Grzegorza Kasdepke. Ja w trosce o własne życie nie kupiłam synowi smartfona, dopóki nie ukończył 15 lat, choć ograniczanie dostępu do używki, jaką jest dostępny non stop uzależniający *feed*, powinno być obowiązkiem władzy. Przyzwyczailiśmy się do ograniczeń prędkości, nikotyny i żłopania piwska, a ograniczanie korzystania z netu zrzucono na barki coraz silniejszych – z konieczności! – matek.

Zobaczcie, jak zmieniły się ćwiczenia zalecane kobietom! Kiedyś ćwiczono taniec dla wdzięku, a dziś matki muszą być silne, by przetrwać w erze drapieżnych psychopatów. Nie mogą ograniczyć wspólnego czytania do fragmentów „Pana Tadeusza” czy recytowania przy śniadanku „W koszyczku jabłuszko, w jabłuszku robaczek, a na tym robaczku zielony kubraczek”. Ja musiałam już w czwartej klasie wertować z synem komiks „Fake News And How to Spot It”, by poznał, co to trolling i manipulowanie statystykami. Ryzykując ogłuchnięcie oraz zniszczenie mienia w mieszkaniu, organizowałam liczne nocowanki w domu i prowadzę nadal mieszkanie otwarte.

Bardzo ważną dla bezpieczeństwa matek sprawą są sąsiedzi. Należy ich znać i gościć czasami. Gdy wprowadzam się do nowego miejsca, jestem tą dziwaczką, która puka z ciasteczkami do wszystkich wokół, przedstawia się, gotowa pożyczyć suszarkę do grzybów. Przyjaciółki zapraszam do siebie, a nie tylko gdzieś pospiesznie widuję na służbowym śledziku. Czasem to one są w stanie dostrzec w moim domu coś niepokojącego.

Matka Polka niestety musi posiąść informacje na temat dostępu do broni, bo lobby wojskowe, strzeleckie i łowieckie urosły w siłę. Nawet w Stanach Zjednoczonych po sprawie Colina Graya zmieniło się prawo dotyczące odpowiedzialności karnej rodziców sprawców strzelanin. Matka musi liczyć się z tym, że syn może dołączyć do jakiejś patologicznej manosfery i jako manosferowiec chcieć ją usunąć z drogi. Bo matka od przedszkola jest dla syna przeszkodą. A to każe założyć czapkę w drodze do autobusu, a to odmówi pieniędzy na browar, a to pomoże synowej w aborcji, a to przeszkadza, bo faworyzuje siostrę – każdy powód może być zapalnikiem.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 5016b9842e



Niedomyci drapieżnicy

Z analiz przyczyn epickiej porażki Partii Republikańskiej w ostatnich wyborach szczególnie zaciekawił mnie tekst Ryana Brodericka z blogu „Garbage Day". Zwrócił uwagę na to, że amerykańska prawica po raz pierwszy od dobrych dziesięciu lat przegrała internet. W mediach społecznościowych toczą się nieustające „wojny memów", w których obie strony starają się ośmieszyć siebie nawzajem oraz wypromować swoją opcję jako jedynie słuszną. Sam uwielbiam zapach memów o poranku, wystarczy mnie obserwować na Facebooku (do czego skądinąd nieustająco zapraszam).

Przed wyborami głównym memem amerykańskiej prawicy był „gniew Anakina", nawiązujący do filmu „Zemsta Sithów" z tzw. trylogii prequelowej cyklu „Gwiezdne wojny". Anakin Skywalker jest szerzej znany jako Darth Vader, ucieleśnienie zła w oryginalnej trylogii. W „Zemście Sithów" przechodzi na „ciemną stronę" pod wpływem gniewu wywołanego głównie nieszczęśliwą miłością do księżniczki Amidali, ale także korupcją i niesprawiedliwością w galaktycznej republice. Pomaga ją obalić i staje się wiernym sługą tyrana Palpatine'a, by go w końcu zabić w „Powrocie Jedi" i choć częściowo odpokutować zło, które czynił przez dziesięciolecia (przepraszam za spojler tych, którzy jakimś cudem jeszcze nie oglądali).

> Może świat wróci do prostych babcinych wartości: że rządy prawa są lepsze od tyranii, a telewizja nie powinna kłamać.

Amerykańska prawica nawiązywała do tego gniewu, porównując siebie samą do młodego Anakina Skywalkera sfrustrowanego współczesną Ameryką. W różnych żarcikach przekazywali komunikat: „Dołączcie do nas, jesteśmy ciemną stroną". Przyłączyły się do tego nawet oficjalne internetowe kanały administracji amerykańskiej. Dowcip, który wymaga zawiłego tłumaczenia, generalnie jest słaby. A ten im dokładniej się wytłumaczy, tym gorzej to brzmi: „Głosujcie na nas, bo jesteśmy źli jak Lord Vader"? Kto jeszcze: Drakula, Fu Manchu, Frankenstein i Voldemort? Wyborów nie wygrywają internetowi ekstremiści, tylko osoby pogardliwie nazywane w świecie wojen memowych „normikami". Amerykańska prawica zrobiła wszystko, żeby odrzucić właśnie „normików", na których hasło „głosuj na Lorda Vadera" nie działa przesadnie zachęcająco.

Tymczasem – zwraca uwagę Broderick – internetowa dominacja prawicy od lat sprowadzała się właśnie do niby to żartobliwego głoszenia: „Jesteśmy fajni, bo jesteśmy złem!". Nabrało to rozpędu ok. 2014 r. podczas nagonki na kobiety, która przeszła do historii jako *gamergate*. Niektórych komentatorów płci męskiej denerwowało, że feministki ośmielają się analizować popkulturę, zwłaszcza gry komputerowe. Wyłonił się z tego internetowy ruch nienawiści do kobiet (tzw. manosfera) oraz pojęcie „ideologii *woke*", bo tak ówczesna internetowa prawica ochrzciła wszystko, czego nienawidzi (liberałów, rządów prawa, mniejszości, kobiet, warzyw, ścieżek rowerowych i recyklingu).

Odnieśli sukces, bo ich oponenci ustawiali się w pozycji nudziarzy zrzędzących, że „nie wypada być rasistą". A dlaczego nie wypada? A ja sobie będę rasistą, jeśli chcę! To było wtedy modne. W końcu każdy, kto był chłopcem, pamięta to pragnienie, żeby się zemścić na babci gderającej „załóż czapkę, bo zimno!" poprzez odmrożenie sobie uszu. Przekaz internetowej prawicy z ostatniej dekady sprowadzał się właśnie do „zrób babci na złość!". Liberalne elity mówią, że trzeba dokończyć warzywka? Nie słuchaj ich, zjedz tylko samo mięsko! „Dietę drapieżnika" lansuje m.in. ideolog prawicy Jordan Peterson. Elity mówią, że trzeba się myć pod pachą? No to pokonaj je smrodem! Lider manosfery Andrew Tate propagował nawet niemycie rąk po wyjściu z ubikacji.

Tate siedzi obecnie w więzieniu, dokąd zaprowadziła go postawa: „Nie wolno gwałcić? A właśnie, że sobie pogwałcę!". Wyborcy MAGA i brexitu czują, że swoimi głosami odmrozili sobie uszy. Nawet Elon Musk, gdy wytrzeźwiał z ketaminowego haju, zaczął żałować, że latami lansował i popierał tych wszystkich lordów Vaderów od siedmiu boleści.

W Polsce prawicy jeszcze wprawdzie udało się przekonać wyborców, żeby „na złość babci" wybrali prezydenta powiązanego z półświatkiem, ale ostatnio poparcie jej już nie rośnie. Jarosław Kaczyński rzucił hasło polexitu, normików tym nie przyciągnie. Prawicowy internet dzień po dniu wzywał „wszystkich pod Trybunał", w szczytowym momencie było tam może ze dwieście osób. Gdy zaś Tomasz Sakiewicz pojechał do Krakowa, by kłamać stamtąd na temat tragicznego zamachu, spotkał się ze zdecydowaną reakcją przechodniów. Zaskoczona ekipa telewizji Republika transmitowała na żywo okrzyki, które najlepiej podsumowują twórczość tej stacji: „Jak można takie bzdury gadać?" (tworząc najlepsze memy listopada).

W tym smutnym miesiącu dobrze jest szukać powodów do otuchy i nadziei. Może świat wreszcie wróci do normy i prostych babcinych wartości: że warzywa są zdrowe, gwałt jest zły, rządy prawa są lepsze od tyranii, a telewizja nie powinna kłamać. I że jednak należy się myć (nie tylko pod pachą zresztą).

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 5016b9842e



Wyrób foteli a sprawa polska

Relacje Karola Nawrockiego z Donaldem Trumpem są bardzo przyjacielskie, dlatego zdobiony bursztynem fotel, który Nawrocki przekazał Trumpowi w prezencie na jego 80. urodziny, dla wrażliwych estetycznie osób był szokiem. Zwolennicy teorii spiskowych nie wykluczają prowokacji wrogich Nawrockiemu sił, które sprytnie podsunęły mu ten mebel w nadziei, że go komuś da.

Zdaniem części komentatorów specjalna estetyka fotela podkreśla specjalne relacje między oboma prezydentami. Według innych przyjęcie fotela to dowód słabnącej pozycji Trumpa po przegranych wyborach połówkowych, a jednocześnie rosnącej siły Nawrockiego, wobec której Trump jest bezradny.

Zgadzam się, że zmuszanie drugiego człowieka do przyjęcia takiego prezentu jest trochę nie fair i że potwierdza skłonność Karola Nawrockiego do uprawiania polityki zagranicznej w sposób przemocowy. Szczęśliwie to polityka nie aż tak przemocowa jak ta, jaką prezydent uprawia w kraju; w końcu podczas zagranicznych wizyt nie przepycha się z innymi prezydentami, gdy ci próbują się z nim przywitać, i nie wdziera się po nocy do miejsc ich urzędowania.

Minister Przydacz potwierdza, że prezent od Nawrockiego zrobił na Trumpie wrażenie. Zbliża się okres przedświąteczny, dlatego mam nadzieję, że na jednym prezencie Nawrocki nie poprzestanie. Nie wiadomo tylko, iloma bogato zdobionymi fotelami jego kancelaria dysponuje. No i czy z uwagi na ożywione kontakty prezydenta i jego międzynarodową pozycję planuje się zakup foteli o większej estetycznej sile rażenia. Chodzi mi o fotele w kształcie katedry wawelskiej, Pałacu Kultury albo przypominające szopki krakowskie.

O ile prezentem w kształcie fotela Nawrocki pokazał siłę swej polityki zagranicznej, o tyle siłę na krajowym podwórku zademonstrował, twardo odrzucając zaproszenie Donalda Tuska na wigilijny opłatek i szczerą rozmowę Polaka z Polakiem. Nawrocki ogłosił, że do Tuska nie przyjdzie, bo nie ma ochoty, chociaż uważam, że większą siłę pokazałby, gdyby jednak przyszedł.

Ja wiem, że mogłoby mu to zaszkodzić w sondażach, ale przecież nie musiałby przychodzić we własnej osobie; mógłby przyjść jako pisarz Batyr, do którego jest bardzo podobny, od razu podniosłoby to poziom rozmowy i poprawiło atmosferę przy stole. Dodatkowo mógłby zaszachować premiera, stawiając warunek, że przyjdzie z europosłem Braunem, który jest elementem polskiej polityki, ma poparcie w sondażach, dlatego nie można udawać, że go nie ma.

Myślę, że Tusk szybko by wymiękł i przestał odgrywać kozaka. Może nawet sam zrezygnowałby z opłatka ze strachu przed tym, że rozmawiając z nim jak Polak z Polakiem, mocno pobudzony Braun połamie mu choinkę i potłucze bombki.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 5016b9842e



Zapraszamy do Katowic

Śląski Festiwal Nauki Katowice to największy festiwal nauki w Polsce i jedno z największych wydarzeń popularnonaukowych w Europie. Powstał w 2016 r. w Katowicach jako oddolna inicjatywa środowiska akademickiego. Przez dziewięć dotychczasowych edycji przybliżał wiedzę z różnych dziedzin nauki szerokiemu gronu odbiorczyń i odbiorców. W tym roku obchodzi swój jubileusz. Na program ŚFN składają się setki różnorodnych aktywności: wykłady, warsztaty, pokazy, wystawy, dyskusje, spotkania z naukowczyniami i naukowcami, wydarzenia artystyczne oraz inne inicjatywy łączące wiedzę z doświadczeniem. Stałą częścią ŚFN Katowice są konkursy i wyróżnienia dla badaczek i badaczy, popularyzatorek i popularyzatorów nauki, wynalazczyń i wynalazców oraz młodych osób zainteresowanych nauką. W ciągu dziesięciu edycji nagrodzono ponad 200 osób, wyróżniając ich pasję, kreatywność i zaangażowanie w rozwój nauki.

Jubileuszowy **10. Śląski Festiwal Nauki Katowice** odbędzie się w dniach **5–7 grudnia** w Międzynarodowym Centrum Kongresowym. Hasło przewodnie „Inteligencje" – celowo użyte w liczbie mnogiej – zaprasza do refleksji nad różnymi sposobami poznawania, uczenia się, współdziałania i podejmowania decyzji. Będziemy przyglądać się inteligencjom ludzkim i nieludzkim, indywidualnym i zbiorowym, naturalnym i sztucznym: od ludzkiego umysłu, emocji i ciała, poprzez świat przyrody, aż po możliwości i ograniczenia nowych technologii. W programie znajdą się m.in. wykłady, dyskusje, pokazy, spotkania i blisko 100 propozycji warsztatowych. Serdecznie zapraszamy!

© WOJCIECH WÓJCIK/MCN

POLITYKA numerem 1







Miło nam poinformować, że według najnowszych danych spółki Polskie Badania Czytelnictwa POLITYKA kolejny raz odnotowała najwyższą sprzedaż spośród wszystkich tygodników opinii w Polsce – tym razem w trzecim kwartale 2026 r. Z wynikiem 65 tys. średnio sprzedanych wydań była tym samym najchętniej kupowanym tytułem w segmencie. Na drugim miejscu w zestawieniu tradycyjnie znalazł się „Newsweek" – ze średnią sprzedażą na poziomie 57,8 tys. egz. Inne tygodniki społeczno-polityczne pozostały daleko w tyle: „Tygodnik Powszechny" sprzedawał średnio 25 tys. egz., „Do Rzeczy" – 19,7 tys. egz., „Sieci" – 17,8 tys. egz., „Gazeta Polska" – 15 tys. egz.

Pod względem sprzedaży wydań cyfrowych (tzw. e-wydań) najlepiej wypada „Newsweek", który w trzecim kwartale tego roku osiągnął średnią sprzedaż na poziomie 30,3 tys. egz. Na drugim miejscu znalazła się POLITYKA ze średnią sprzedażą 26,7 tys. egz. Natomiast żaden z pozostałych tytułów nie przekroczył progu 11 tys. egz.

Pulsar w Szczecinie

Natura powinna mieć prawa i być traktowana przez nas podmiotowo. Jest skąd czerpać inspirację: Ekwador ma tego typu zapis w konstytucji. Czy to rozwiązałoby wszystkie problemy w relacjach człowiek–przyroda? Nie. Byłoby jednak wielkim krokiem w kierunku zmiany myślenia antropocentrycznego na ekocentryczny. Czyli wyciągnięcia wniosków z faktu, że nasz gatunek nie jest właścicielem ekosystemu, lecz jego częścią. W praktyce nie powinno się wykorzystywać skutków globalnego ocieplenia, by jeszcze bardziej szkodzić. Przykładem kursy kontenerowców przez Przejście Północno-Wschodnie – udrożnione z powodu topnienia lodu. Szkopuł w tym, jak przekonać ludzi, że rezygnacja z zysku doraźnego może przynieść większy – choć niekoniecznie finansowy – w przyszłości.

Takie m.in. wątki poruszyli podczas spotkania w Morskim Centrum Nauki w Szczecinie dr Kaja Bałazy, dr Stanisław Kordasiewicz i dr Michał Wilczewski. Wrócimy do nich podczas ostatniej dyskusji w cyklu „Podróż po wiedzę". Odbędzie się ona na scenie naszego portalu Pulsar podczas Śląskiego Festiwalu Nauki Katowice 5 grudnia o godz. 16.

Sponsorem cyklu jest Enea.



eprasa.pl 5016b9842e



WINO

Jabolu, wróć!

Wino musi być z winogron? Niekoniecznie! Zachwycić może nas choćby wino robione z bananów czy jagód i miodu.

Niedawno relacjonowałem państwu mistrzostwa świata sommelierów i opisywałem zadania, z którymi muszą się zmierzyć kandydaci – w tym to najtrudniejsze, czyli degustację w ciemno różnych trunków. Przy tej okazji przypomniały mi się nasze polskie mistrzostwa sprzed paru lat, podczas których finaliści dostali w kieliszku ciemnozłote wina musujące o upajającym aromacie kwiatu pomarańczy. Dwoili się i troili, by odgadnąć, cóż to takiego mogło być. Zapach ten jest bowiem charakterystyczny dla winogron odmiany muscat (moscato, moscatel), z których jednak nie robi się win musujących – zwłaszcza tzw. metodą tradycyjną, czyli drugiej fermentacji w butelce. Jakież było ich zdumienie, gdy w końcu ujawniono, że degustowali wino... z pomarańczy! Taki właśnie unikatowy „szampan" z cytrusów pod nazwą BurNarj wymyślono – i całkiem fajnie zrealizowano – w hiszpańskiej Andaluzji.

To nie jest jednak najbardziej zwariowane wino-niewino na naszej planecie. Hitem jest Platé z Teneryfy, robione z... bananów. Nie mam pojęcia, jak z mdłego owocu udało się zrobić tak dobry napój, całkiem przypominający normalne wino gronowe (winogrona mają o wiele wyższą kwasowość niż większość innych owoców), ale doprawdy pije się ten wynalazek z wielką przyjemnością – i to nie tylko pod palmą na rzeczonej wyspie. A skoro o wyspach, to niedawno w Timorze Wschodnim moim zdumionym oczom (i kubkom smakowym) ukazało się słodkie czerwone wino Kuda Metan (z charakterystycznym czarnym rumakiem na etykiecie). Smakuje jak lekkie porto, ale w rzeczywistości powstaje z miodu, trzciny cukrowej i leśnych jagód.

Według przepisów Unii Europejskiej te wszystkie trunki z bananów, pomarańczy, czarnych malin (specjalność Korei) i innych smoczych owoców to jednak nie żadne wina, tylko co najwyżej „wina owocowe". „Wino" *tout court* zarezerwowane jest dla naturalnie sfermentowanego soku z winogron o zawartości alkoholu minimum 8,5 proc.

To jednak tylko aspekt prawny. Nawet jeśli mnie, dziennikarzowi zajmującemu się „prawdziwymi" winami, nie wypada tego przyznać, wina owocowe istnieją. I gdzieniegdzie mają się całkiem nieźle. Zwłaszcza u naszych bałtyckich sąsiadów. Potęgą jest Litwa – co roku produkuje się tu i wypija kilkadziesiąt milionów butelek wina jabłkowego. W Łotwie popularniejszym surowcem jest rabarbar, a w Estonii – porzeczki. Tak samo po drugiej stronie Bałtyku, w Skandynawii. Szczególnie poszukiwanym owocem do fermentacji są polarne maliny nadające winom wybitnej finezji.

Uśmiechacie się pod nosem? Próbowałem np. agrestu i jeżyny z litewskiej manufaktury Gintaro Sino i były genialne. A skandynawskie restauracje z gwiazdkami Michelina z dumą podają już do długiej kolacji cały *pairing* oparty na lokalnych winach owocowych, którym dodatkowo pomaga fakt, że doskonale wypadają również w coraz modniejszych wersjach bezalkoholowych.



Wojciech Bońkowski – dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 pierwszy polski Master of Wine.

Że wino owocowe fajne jest, nikt nie wie jednak lepiej niż my, Polki i Polacy. Potęgę naszej ojczyzny, 20. największej gospodarki świata, zbudowały przecież pokolenia wychowane na swojskim winie „patykiem pisanym", zwanym – też równie pieszczotliwie – „jabolem". A niech kamieniem rzuci ten, urodzony w XX w., kto z tatą lub dziadkiem nie fermentował działkowych porzeczek albo wiśni (ze szczodrym dodatkiem cukru z buraków) w szklanym gąsiorze!

Polska jest największym producentem jabłek i wielu innych owoców w Europie, nic więc dziwnego, że jeszcze w latach 80. win owocowych z naszych fabryk wychodziło ponad 300 mln litrów. Dzisiaj to produkt raczej obciachowy, choć niektórzy próbują wylansować go jako coś *cool*. Większy potencjał ma nasz cydr, czyli dużo lżejszy rodzaj wina z jabłek (3–8 proc. alk.), lecz jakoś nie może się przebić. Ale to temat na następny felieton. ■

Platé Blanco de Plátano Semi-Seco, Kanary, 69,99 zł (top-wino.pl)
Gintaro Sino Red Berry 842, Litwa, ok. 20 euro (internety zagraniczne)
Ainoa Valokki 2022, Finlandia, ok. 30 euro (internety zagraniczne)
Frederiksdal Rancio, Dania, ok. 45 euro (internety zagraniczne)

© SHUTERSTOCK, RAFAŁ MASŁOW, TVN, JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 5016b9842e

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Grzegorz Jankowski stwierdził, że wszystko, co robią celebryci typu Andziaks, Maffashion czy Chajzerowie, jest bezwartościowe. Grzegorz stara się być fajny i wyluzowany. I nie jest w tym bezwartościowy. Służy jako zły przykład.

Doda wyznała, że marzy o roli trenerki w programie „The Voice of Poland". To dobry pomysł. Podżeganie do wymuszenia rozbójniczego i zastraszanie byłego partnera wymagają treningu.

„Dawid Grądkowski odchodzi z Pudelka i wraca do »Super Expressu«". To wielka umiejętność przekazać dwie złe wiadomości w jednym zdaniu.

Plotek ogłasza: „Alicja Janosz zgłasza się na Eurowizję. Wielki powrót po latach". Lubię tę rzeczywistość, w której oni żyją. Wersja kolekcjonerska.

„Marzena Rogalska pała do mnie skrajnie wielką niechęcią. Wszędzie mnie zablokowała. A ja ją lubię". To Tomasz Kammel. Ładnie powiedziane. Parę lat temu w TVP zrobiliby z tego pasek.

Po porażce naszej kadry z Rumunią 1:2 Bogdan Rymanowski napisał na X: „I co dalej drodzy Państwo? Śmiać się czy płakać?". Cały Bogdan. Całkowicie pozbawiony swojego zdania.

„Wulgarny wpis aktora »Plebanii« o prezydencie. Jest zawiadomienie do prokuratury". To publicysta Wirtualnej Polski. Życzę mu, żeby nie skończył się jak ten serial. 14 lat temu.

Zbigniew Zamachowski został głosem świątecznej kampanii Lidla. Gratulacje. Duch osła ze „Shreka" musiał tam krążyć wcześniej. Sieć została strategicznym partnerem PZPN.

Jastrząb Post postawił ludzi na nogi: „Dorota Zawadzka nie jest przekonana do nowego Bonda". Przypomnijmy, kto jest kim. James Bond, podobnie jak Superniania, to postać fikcyjna.

„Rzeczpospolita" ujawniła, że Jacek Kurski złożył swoją ofertę w konkursie na prezesa TVP w 2016 r. po upływie terminu. Jest legenda, że zamachowiec z Sarajewa w 1914 r. też się spóźnił. A straty podobne.

Plejada melduje, że Justyna Steczkowska ma jasne zdanie o cesarce: „Mięśnie już nie będą takie same". Polski szołbiznes. Wszystkiego, co o nim wiem, dowiedziałem się wbrew własnej woli.

W programie „Nasi w mundurach" test wiedzy ogólnej. Z odpowiedzi uczestników wyszło, że proktolog zajmuje się zwłokami, a Mussolini to inaczej Mohammed. Padło też pytanie o mammografię, ale boję się zajrzeć.

Jan Tomaszewski skomentował przebieg meczu Polska–Szwecja. Według legendarnego bramkarza najlepsza była Bośnia i Hercegowina.

Kasia Tusk: „Pewien zaproszony gość nie pojawi się na spotkaniu. Moja choinka może odetchnąć z ulgą. Nikt nie każe jej się wynosić z powodu niemieckich korzeni". Na miejscu gościa bym to zawetował.

Zbigniew Zamachowski zapytany przez taksówkarza o sceny erotyczne: „Wy tak udajecie czy naprawdę?", odpowiedział: „Oczywiście, że naprawdę". Przypomina mi się dialog: „Na taksometrze jest 150, a ty mi dałeś 75". „Jechaliśmy we dwóch".

TVP2 ogłosiła gwiazdy „Sylwestra z Dwójką 2026". Doda, Maryla, Justyna. Z tej listy jasno wynika, że likwidator TVP działa dalej.

Martyna Wojciechowska ścigana jest przez policję za wyprzedzanie na podwójnej ciągłej i przejściu dla pieszych. Na Żoliborzu. A tam tylko jedna osoba ma do tego prawo.

Małgorzata Ohme powiadomiła świat, że umówiła się przez internet na seks z nieznajomym. Małgorzata jest psychologiem. Powinna częściej się odwiedzać.

„To jest kabriolet, tylko dlatego go kupiłem, że jest kabrioletem bardzo ładnym". To Andrzej Duda o Porsche Boxster 981. Czuć fachowca.



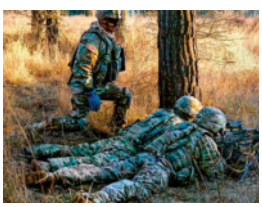
eprasa.pl 5016b9842e

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Halo? Biały Dom?

Czy Polska ma strategię „na czas chaosu" wywołanego przez Rosję i czy może liczyć na USA – o tym rozmawiamy w podkaście „Polskie demo" z Martą Prochwicz-Jazowską (ECFR Warszawa) i Edwinem Bendykiem (Fundacja Batorego). „Nie możemy budować naszej strategii na nadziei", mówi ekspertka. Trzeba działać, bo na uspokojenie i porządek w Europie teraz się nie zanosi. Co robić – o tym w naszym programie.



Baza dla nas

O tym, jak rząd negocjował stałą bazę USA, rozmawiamy z kolei z wiceszefem MON Pawłem Zalewskim. Kluczowe decyzje mają być wkrótce ogłoszone. „Okres przejściowy wymaga amerykańskiego wzmocnienia właśnie w Polsce i na wschodniej flance", mówi Zalewski. I dodaje: „To jest taki moment, w którym mamy realne szanse przeciwstawić się Rosjanom, odstraszyć ich i zbudować bardzo silną pozycję Polski".



Zbrodnia i prawo

Sprawę Mariusza Trynkiewicza latami opisywał na naszych łamach reporter Piotr Pytlakowski. Między innymi z tych tekstów czerpał Kasper Bajon, pisarz, reżyser i scenarzysta, twórca serialu „Prawo bestii", gość naszego kulturalnego podkastu. W rozmowie opowiada, dlaczego zajął się tym tematem. „Zbrodnia jest nieciekawa", przyznaje. Jakie wątki są więc najważniejsze w serialu? O tym w podkaście.



Prawie Zachód

W podkaście historycznym tym razem historia najnowsza: w rozmowie z Michałem Przeperskim, autorem książki „Prawie Zachód. Historie polskiej transformacji", wracamy do lat 90. Skupiamy się na mediach, które wyprawiały się w nieznane, o ich związkach z polityką i wolnym rynkiem. Dziennikarstwo, które znamy dziś, rodziło się wtedy. Dla POLITYKI to też był czas formatywny. O niej – o nas – również mówimy.



Mamy drugi księżyc

Obiekt 2026 QQ8, który pojawił się na ziemskiej orbicie, ma ok. 2 m średnicy. Na polityka.pl przyjrzał mu się Przemek Berg. Badacze nie byli pewni, czy to twór naturalny, czy fragment sprzętu kosmicznego. Już wiadomo, że to obiekt z grupy Aten, który zyskał miano miniksiężyca, bo zatoczy jedną pełną i pół orbity wokół naszej planety. W tekście wyjaśniamy, czy jest groźny i kiedy nas opuści.

© LESZEK ZYCH (2), MAREK ŚWIERCZYŃSKI/POLITYKA INSIGHT, ANNA AMAROWICZ, SHUTTERSTOCK

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 5016b9842e

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
Badania wstępne, okresowe i kontrolne
Orzeczenia sportowo-lekarskie
Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
blokady / neurolizy współczulne
blokady / neurolizy nerwów obwodowych
termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
Dietetyka kliniczna
Dietetyka sportowa
Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
Rehabilitacja ortopedyczna:
- *stawów rzepkowo-udowych*
- *stawów barkowych*
- *kręgosłupa*
- *stawów kolanowych*
- *kontuzji sportowych*
- *po zwichnięciach stawów*
- *urazów mięśni*
- *więzadeł*
- *po złamaniach*

Fizykoterapia
Masaż leczniczy
Diagnostyka funkcjonalna
Rehabilitacja w uroginekologii
Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 5016b9842e

ROLEX PRZEDSTAWIA

OYSTER STORY



ŚWIĘTUJEMY 100 LAT IKONY ZEGARMISTRZOSTWA

NA ROLEX.COM

ROLEX